

NA CHORE DZIECI
Gdy darczyńca
nie wszystko wie

POPIELEC
Przyjaźń postu
z karnawalem

START KAMPANII
Obietnice odnowy,
granice możliwości

PO CO SĄ BANKI
Inflacja zjada
nasze oszczędności

SMĄK ROZKOSZY
Mózg gustuje
w pikanterii

Kraków 1 marca 2020 nr 9 (3686)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

DARIUSZ STOLA

Kultura bezprawia

Resort Glińskiego i 5 mln euro



24. wielkanocny festiwal

ludwiga van beethovena

29 marca – 10 kwietnia 2020
warszawa

beethoven.org.pl

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Dotychczasowa
celebryta Ministerstwa
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego



Stowarzyszenie
im. Ludwiga
van Beethovena



Filharmonia
Narodowa



OPERA
NARODOWA



KS. ADAM

Boniecki: Bezinteresownie solidarni

KAŻDY KOLEJNY APEL O POMOC W ZEBRANIU PIENIĘDZY na ratowanie chorego dziecka wywołuje odruch lęku: czy da się aż tyle zebrać? Czy rodzice się nie zawiodą? Każda kolejna informacja o sukcesie to niedowierzanie i radość. Taką sumę dało się zebrać... wprost nie do wiary. Ileż serc drgnęło współczuciem, ileż w sercach naszych rodaków jest dobroci. Mimo oglądanej codziennie politycznej zajadłości, mimo pozornie przepastnych podziałów między nami, ten naród jeszcze nie upadł, skoro ma w sobie tylu dobrych ludzi.

Myślę o rodzicach, w których, jak obuchem w głowę, uderza informacja o chorobie dziecka i niewyobrażalnych sumach, które są konieczne dla ratowania go w chorobie. Myślę o chwiejnym płomyku nadziei, że może znajdą się ludzie, którzy im pomogą, i wreszcie o sukcesach tych apelów, o niewiarygodnej empatii tysięcy ludzi.

Do naszego świata, który, jak się wydaje, coraz bardziej staje się światem dla bogatych i silnych, do tego dusznego świata rządzonego prawem zysku i sukcesu nagle dopływa wielka porcja tlenu: bezinteresownej solidarności z „obcym”, który jest w nieszczęściu. Wciąż jeszcze cudze nieszczęście otwiera ludzkie serca.

Według Ewangelii to otwarte na potrzeby bliźniego serce decyduje o zbawieniu. Nie znajomość katechizmu, nie chodzenie w niedzielę do kościoła, nie pełniony urząd (nawet kościelny). To wszystko, co w tak wysokiej jest u nas cenie, ma znaczenie tylko wtedy, gdy służy otwieraniu serca. Bezinteresowne dobro nie musi mieć kościelnej czy nawet chrześcijańskiej pieczętki firmowej. Ono zawsze jest ewangeliczne, zawsze – według Ewangelii – jest biletem do rajów, czy ktoś tego chce, czy nie (por. Mt 25, 31-46).

Astronomiczne sumy zebrane na leczenie konkretnych dzieci robią wrażenie. Możliwość ich zgromadzenia to w znacznym stopniu efekt zasięgu środków przekazu, a także



pracy ludzi takich jak redagujący słynny portal Siepomaga.pl. Nade wszystko zaś wrażliwości darczyńców.

Kto wie, może Bóg jeszcze z nami wytrzyma dzięki obecności tych właśnie sprawiedliwych („I rzekł Pan: Jeśli znajdę w mieście Sodomie pięćdziesięciu sprawiedliwych, przebaczę całemu miejscu ze względu na nich”, Rdz 18, 26).

Dzięki tym, którzy ratują nieznajome, chore dzieci, dzięki warszawskim i krakowskim kapucynom, którzy (mądrze) wspierają bezdomnych, dzięki s. Małgorzacie Chmielewskiej, ks. Józefowi Krawcowi ze Strzelca Opolskich i wielu takich jak oni, np. bardzo leciwej emerytce, którą znam z kościoła św. Floriana. Ta starsza pani opiekuje się jednym z krakowskich bezdomnych. Wiem, że dla niego pomocą większą od kanapek, które mu przynosi, jest świadomość, że jest na świecie ktoś, kto się o niego martwi, niepokoi, że jest ktoś, dla kogo on jest ważny całkowicie bezinteresownie.

Nakarmienie głodnego, wsparcie ubogiego to czynności stosunkowo proste. Najwyżej ryzykuję, że ubogi pieniądze, które mu dałem na chleb, wyda na piwo. Ale już kapucyński ośrodek pomocy bezdomnym w Krakowie, żeby mógł pomagać licznym zainteresowanym, musi mieć mądry statut i być dobrze zorganizowany. Także zbiórki wielkich pieniędzy na leczenie dzieci wymagają od organizujących je wielkiej kompetencji. I o tym jest artykuł „Najdroższy lek świata” Przemysława Wilczyńskiego i Macieja Müllera. Zawiera on wielką pochwałę ludzkiej solidarności, ale jednocześnie zwraca uwagę na moralny wymiar choćby przedstawianych informacji dotyczących sposobów i możliwości leczenia, refundacji itp.

Otwieranie przed każdym z nas możliwości udziału we wspianym wysiłku pomocy choremu dziecku jest dziełem wspianym i właśnie dlatego wszystkim nam zależy, żeby było także dziełem – na ile to możliwe – doskonałym. ©P



SPOTKANIE Z ABP. GRZEGORZEM RYSIEM

Towarzyszące premierze książki „O rzeczach ważnych”

Prowadzenie: Anna Waclawik-Orpik

Poniedziałek, 2 marca, godz. 18

Muzeum POLIN, ul. Anielewicza 6 w Warszawie

WSTĘP WOLNY!

ZAPRASZAJĄ

TYGODNIK
POWSZECHNY

POLIN
Muzeum
Historii
Żydów
w Polsce

znak

STOW. TP
Warszawa

22 Spiesz się powoli**PAWEŁ MARCZEWSKI**

Przesłanie „oddajmy politykę obywatelom” nie musi być ożywcze. Zbyt ambitne obietnice odnowy muszą prowadzić do rozczarowania.

**44 Miłość i nuda w czasach zarazy****MARIA WIŚNIEWSKA Z PEKINU**

„Myślę, że moi rodzice-lekarze już oszaleli w tym szpitalu, tylu pacjentów przychodzi. Ale nie boję się o nich, są przecież ostrożni, noszą maseczki...” – czworo młodych Chińczyków opowiada o koronawirusie i swojej codzienności.

**68 Przez dotyk**
ROZMOWA Z IRYNĄ WIKYRCZAK, POETKĄ I ASYSTENTKĄ

OLGI TOKARCZUK: Gdziekolwiek jestem, tęsknię za kanionem Dniestru. Meandry, uskoki, pęknięcia, grotty. Historia świata w przekroju.

**30 Powód za pięć milionów****Z DARIUSZEM STOLĄ ROZMAWIA**

MICHAŁ OKOŃSKI: Wszystkie oskarżenia, jakie formułował pod moim adresem pan minister Gliński, były fałszywe. I wydaje mi się, że on musiał zdawać sobie z tego sprawę.

**36 Przyjaźń postu z karnawałem****PIOTR SIKORA**

W Środę Popielcową rozpoczynamy Wielki Post – ważny liturgiczny czas Kościoła. Jego sens dotyka uniwersalnych aspektów człowieczeństwa.

**76 Strzał rozkoszy****MICHAŁ KUŹMIŃSKI**

Odczucie pikanterii wywołuje substancja drażniąca, uruchamiając receptory bólowe. Tak jest, ostrość to wrażenie bólowe. Ból, który lubimy.

6 Sam jak palec
ANDRZEJ STANKIEWICZ

7-11 Wiadomości / Komentarze

20-21 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ
ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA /
PIOTR SIKORA

■ ■ **KRAJ**

22 Spiesz się powoli
PAWEŁ MARCZEWSKI

26 Kokosy i CoCos-y
MAREK RABJI: Czy opłaca się
jeszcze być klientem banku?

28 Coś więcej niż start
MAŁGORZATA NOCŃ: Młodzi
sportowcy w Światowych
Igrzyskach Osób z Zespołem
Downa wezmą udział bez
wsparcia ministerstwa

■ ■ **ROZMOWA**

30 Powód za pięć milionów
ROZMOWA Z DARIUSZEM STOLĄ

■ ■ **WIARA**

36 Przyjaźń postu
z karnawałem PIOTR SIKORA

40 Kłątwa maryjnej kolumny
TOMASZ MAĆKOWIAK: W Pradze
znowu trwa spór, w którym religia
miesza się z historią i polityką

43 Najlepiej nic nie zmieniać,
czyli jakoś to będzie
ZBIGNIEW NOSOWSKI: Rekolacje
wielkopostne: polskie pokusy (I)

■ ■ **ŚWIAT**

44 Miłość i nuda w czasach
zarazy MARIA WIŚNIEWSKA

47 Ludzie greckiej ulicy
ULA IDZIKOWSKA Z ATEN o walce
ze społecznymi problemami miasta

TEMAT TYGODNIKA



12 Najdroższy lek świata

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI, MACIEJ MÜLLER

Głośnie, wielomilionowe zbiórki na dzieci
z rdzeniowym zanikiem mięśni pokazują potęgę
solidarności i siłę nowych mediów. Ale prowokują
też pytania o etyczne granice apeli o pomoc.

■ **FELIETONY** ■

29 ANNA DZIEWIT-MELLER 61 WOJCIECH BONOWICZ
75 PAWEŁ BRAVO 82 STANISŁAW MANCIEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

62 Nowe Epifanie MATERIAŁ PROMOCYJNY

Oktładka: DARIUSZ STOLA

Fotografia: MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP”

Redaktorki prowadzące: ANNA GOC, EWELINA BURDA

JOANNA RUSINEK DLA „TP”

49 Wołanie z Krymu

MONIKA ANDRUSZEWSKA
Z KIJOWA: Jedyne na świecie
krymskotatarskie kanałowi
telewizyjnemu grozi likwidacja

51 Kalifat pod Kabulem

AGNIESZKA PIKULICKA-
WILCZEWSKA: Zwolennicy
Państwa Islamskiego chcieli
zaistnieć także w Afganistanie

■ ■ **HISTORIA**

54 Wielkie zmlczenie

ZBIGNIEW ROKITA: Co 75 lat temu
działo się na Górnym Śląsku?

■ ■ **NAUKA**

58 Jak zmrozić krew w żyłach

WOJCIECH BRZEZIŃSKI:
Medyczne korzyści ze schładzania
pacjentów

■ ■ **KULTURA**

64 Podłuchiwanie katastrof

KAROL FRANCAK: Krajobraz
zagrożeń sprzyja książkom
W.G. Sebald

68 Przez dotyk

ROZMOWA Z IRYNĄ WIKYRCZAK

70 Końska dawka ANNA

PIEKUTOWSKA: Animowany serial
„BoJack Horseman” jest zabawny
i jednocześnie przerażająco smutny

72 Wojna bez wygranych

ANITA PIOTROWSKA o filmie
„Nędznicy” Ladję Ly

74 Kim była Lady Makbet?

LEKTOR o książce „Teatr
i widowiska na Podolu do 1863
roku” Jarosława Komorowskiego

■ ■ **ZMYŚŁY**

76 Strzał rozkoszy

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Strona świata: Afganistan**

Za władcę uważa się tu zarówno zwycięzca wyborów prezydenckich,
jak ich przegrany – **WOJCIECH JAGIELSKI** opisuje awanturę,
w której najgorsze jest to, że doszło do niej w przeddzień
zawieszenia broni. tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

➔ **Moc kobiet [Podkast Powszechny]**

Bez tabu, bez lukru, za to z dużą dawką zaangażowania – o kobiecym
losie rozmawiają **JUSTYNA BARGIELSKA, ZUZANNA RADZIK**
I JUSTYNA DĄBROWSKA w odcinku zainspirowanym wydaniem
specjalnym „Moc kobiet”. Weź, słuchaj! powszech.net/podkast-moc



WOŚ
SIĘ JEŻY wolność równość ekonomia

Co czwartek na TygodnikPowszechny.pl



/TygodnikPowszechny



/Tygodnik



/Tygodnik



YouTube /TygodnikPowszechny



SAM JAK PALEC

Kampania Andrzeja Dudy miała być spacerkiem.
Ale ten plan właśnie legł w gruzach.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

ŚRODKOWY PALEC JOANNY LICHOCKIEJ po Sejmowym głosowaniu dotyczącym przekazania 2 mld zł na TVP stał się gigantycznym kłopotem dla PiS. Zdominował początek kampanii prezydenckiej, burząc wizerunek partii bliskiej ludziom. Żeby odwrócić uwagę od palca posłanki, obóz władzy sięgnął po specsłużby. Jednego dnia CBA przeprowadziło przeszukania u Mariana Banasia i jego dzieci, policja zatrzymała zaś Tomasza Kaczmarka (czyli agenta Tomka).

W obu przypadkach były podstawy do takich działań. Ale wiele jest też wątpliwości.

Prokuratura twierdziła, że u Banasia szukała umowy najmu krakowskiej kamienicy udostępnionej sutenerom. Wartość umowy opiewa na kilka tysięcy złotych miesięcznie. Sama jednak skala akcji – przeszukano 20 nieruchomości – wskazywała na to, że prokuratorzy nie są szczerzy. Rzeczywiście, okazało się, że prokuratura podejrzewa udział Banasia w wypraniu ponad 5 milionów złotych. Czemu o tym nie mówi?

Co do agenta Tomka, postawiono mu nowe zarzuty gospodarcze – chodzi o defraudację publicznych pieniędzy w domach

Prezydent Andrzej Duda podczas inauguracji trasy Dudabusa. Z lewej szefowa jego sztabu Jolanta Turczynowicz-Kieryłło. Łowicz, 20 lutego 2020 r.

opieki zarządzanych przez fundację Helper, którą prowadził wraz z żoną. Szkopuł w tym, że prokuratura zażądała dla niego aresztu. I to mimo że przy pierwszych, poważniejszych zarzutach w tej sprawie Kaczmarek aresztowany nie został. Tym razem sąd miał dobry pretekst, by go posłać za kratki – Kaczmarek nie wpłacił kaucji, którą miał wnieść przy pierwszych zarzutach.

Obie operacje trudno uznać za przypadek. PiS ma doświadczenie w dostosowywaniu akcji służb do politycznego kalendarza. Tak się składa, że obie operacje przeprowadziła Prokuratura Regionalna w Białymstoku. Kieruje nią Elżbieta Pieniążek, była agentka CBA, zaufana szefa MSWiA Mariusza Kamińskiego, odpowiedzialnego za specsłużby.

Na pierwszy rzut oka taka podwójna akcja to zręczne zagranie. Agent Tomek przestanie oskarżać Kamińskiego o łamanie prawa podczas operacji tropienia majątku Aleksandra Kwaśniewskiego. Ale wojna z Banasiem to większe ryzyko. Z jednej strony większość opinii publicznej uważa go za szemranego typa, więc PiS może się spodziewać poparcia dla swych działań. Ale z drugiej strony Banas może boleśnie ukąsić. Szef NIK już wcześniej – gdy prokuratura zajęła się jego majątkiem – ogłosił wyniki kilku kontroli uderzających w rząd. W planach ma dalsze. W zeszłym tygodniu kontrolerzy NIK zjawili się w Prokuraturze Krajowej, która nadzoruje prokuraturę w Białymstoku.

Palec Lichockiej, mieszkania Banasia, areszt Tomka – wszystko to komplikuje sytuację Dudzie, który potrzebuje w kampanii spokoju. Tyle że on sam także popełnia błędy. Na szefową swego sztabu wybrał – prawdopodobnie za namową Jarosława Gowina – nieznaną szerzej adwokatkę Jolantę Turczynowicz-Kieryłło. Wiele wskazuje na to, że nawołująca dziś do walki z hejtem prawniczka w ciszy przed wyborami samorządowymi w 2018 r. roznosiła ulotki z paszkwilami. Siłą zatrzymał ją jeden z bohaterów ulotek, więc pani mecenas go ugryzła. Dziś przekonuje, że broniła siebie i dziecka przed napaścią – prokuratura jednak nie uznała, że to napaść. Z panią mecenas kłopot jest taki jak z Banasiem: wódatze w PiS uznali, że skoro jest „nasza” – jej mąż działał w Ruchu Odbudowy Polski Jana Olszewskiego – to nie wymaga sprawdzenia. I napytali sobie biedy na własne życie.

A wpadki przekładają się na sondaże. Coraz więcej badań pokazuje, że co prawda Duda jest nadal faworytem, ale zyskują jego najpoważniejsi konkurenci – Małgorzata Kidawa-Błońska, Władysław Kosiniak-Kamysz oraz Szymon Hołownia. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „Tygodnikiem”.

Syria: miliony w pułapce Idlibu

MUHAMMED WALLAJA wciąż jeszcze ma ten wątpliwy komfort, by zastanowić się, co robić. Wraz z 16 członkami rodziny (rodzicami, bratem, żoną i dziećmi) są dość daleko od linii frontu – jakieś 20 km. Ten 35-letni mężczyzna stoi jednak przed pozornym wyborem: – Mam żonę, dzieci, ale nie mam pieniędzy, by wynająć gdzieś dom, nie mam bliskich gdzie indziej – mówi Wallaja w wiadomości głosowej na WhatsAppie.

Dopóki pociski nie zaczną spadać, będzie trwał z nadzieją, że wojna ominie jego dom.

W rezultacie ofensywy na prowincję Idlib w północno-zachodniej Syrii wojska prezydenta Baszara al-Asada i ich ro-

tów sił rządowych i rosyjskich, lekarzy przerasta taka liczba potrzebujących.

Wallaja widział ostatnio tłumy uciekające z terenów ogarniętych walkami. Jak mówi, były to głównie kobiety i starsi ludzie. Mieli swoje skromne dobytki na plecach, ramionach lub nosili je na głowach. Zrozpaczeni, przerażeni i wymęczeni. Jedna z uciekających kobiet upadła na ziemię. Zebrali się wokół niej gapię. Dopiero po chwili zrozumieli, że rodzi. Tam wśród strachu i rozpaczny narodziło się kolejne życie. Pół miliona uchodźców wewnętrznych w Idlibie stanowią dzieci.

Prowincja jest jednym z ostatnich bastionów rebelii rozpoczętej w 2011 r.,



MUHAMMED SAID / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

syjscy sojusznicy odbili z rąk sił antyrządowych ponad sto miejscowości. Sytuacja jest tak chaotyczna, że trudno oszacować liczbę ofiar. Przynajmniej 900 tys. osób uciekło z domów. Cywile znaleźli się w potrzasku. Z jednej strony uciekają przed nacierającymi wojskami. Z drugiej nie mogą przedostać się przez turecką granicę, którą zamknęto w 2015 r., aby zapobiec dalszej migracji. Turcja przyjęła ponad 3 mln uchodźców. W Idlibie znajduje się ich drugie tyle.

Na tym niedużym terytorium setki tysięcy ludzi szukają schronienia. Przy granicy ustawione są pola namiotowe. Wielu ludzi jednak musi koczować pod gołym niebem, często wśród gajów oliwnych, podczas chłodnych zimowych nocy. – Pojawilo się tu tylu ludzi, że trudno o namiot, jeśli nie masz kogoś znajomego w organizacji pomocowej – mówi Wallaja. – Sytuacja jest tragiczna.

W niektórych miejscowościach liczba ludności wzrosła nawet sześciokrotnie. Uciekinierzy często nie mogą liczyć na pomoc. Szpitale są celami samolo-

przede wszystkim kontrolują go różne frakcje dżihadystyczne. Byli tam wywożeni zatwardziali bojownicy z różnych części Syrii po przegranych bitwach. – Kryzys w Idlibie jest chyba zbyt duży, by można go było rozwiązać pokojowo. Rany są zbyt głębokie. Potrzeba czasu i wielu pokoleń, by się zagoiły – stwierdza gorzko Wallaja.

Cywile i bojownicy noszą w pamięci straszliwe sceny i dramatyczne przeżycia. Idlib, nawet rozgromiony, nie zapomni tego wszystkiego.

© PAWEŁ PIENIAŻEK

Współpraca: MAMED WELI



PAWEŁ PIENIAŻEK opowie o sytuacji w Syrii w rozmowie z Agnieszką Lichnerowicz w „Światopoglądzie” Radia Tok FM – w piątek 28 lutego, o godz. 15.20. 95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań – www.tokfm.pl

Wyższa szkoła rachunkowości

UCZELNIE OTRZYMAJĄ WSPARCIE w formie obligacji, a nie gotówki – wynika z zapowiedzi ministra nauki i szkolnictwa wyższego Jarosława Gowina na łamach lutowego „Forum Akademickiego”. Dofinansowanie ma dotyczyć dziesięciu placówek, którym w październiku 2019 r. MNiSW nadało status uczelni badawczych. Wyróżnienie skutkować ma przede wszystkim zwiększeniem subwencji w latach 2020-26 o 10 proc., te zaś podniesieniem poziomu dydaktyki i badań. Na prestiżowej liście znalazły się UW, Politechnika Warszawska, krakowskie UJ i AGH, Politechnika Gdańska, poznański UAM, Gdański Uniwersytet Medyczny, Politechnika Śląska, Uniwersytet Wrocławski i toruński UMK.

Pomysł przekazania obligacji zamiast gotówki podzielił środowisko naukowe.

– Wszystkie uczelnie publiczne otrzymały już pomoc w tej postaci w kwietniu 2019 r. – przypomina prorektor Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego ds. ekonomicznych i rozwoju, prof. Mirosław Gornowicz. – Skarb Państwa zobowiązał się wykupić obligacje w tzw. terminie zapadalności, który został ustalony na maj 2021 roku. To będzie realne wsparcie rozwoju polskich uczelni, z czego należy się cieszyć.

Dlaczego jednak resort nie realizuje dofinansowania w tradycyjnej postaci?

– Przypuszczam, że „żywej gotówki” po prostu nie ma – dodaje prof. Gornowicz.

Minister Gowin zapewnia, że dzięki tej decyzji uczelnie badawcze zyskają więcej: wyemitowane obligacje mają posiadać o około 10 proc. wyższą wartość nominalną niż zakładane gotówkowe subwencje.

„Zostaliśmy nabici w butelkę przez ministerstwo i rząd, teraz nasze władze muszą na gwałt szukać finansowania, bo utrzymanie uczelni badawczej przecież kosztuje” – mówił „Głosowi Wielkopolskiemu” jeden z pracowników naukowych UAM. Emocje starał się tonować w oświadczeniu rektor poznańskiego uniwersytetu, prof. Andrzej Lesicki, traktując obligacje jako nowe wyzwanie dla placówki. „Cóż, nie samochody, tylko rowery – komentowano zgryźliwie na facebookowym profilu „Obywatele Nauki”. – Ale trzeba teraz pedałowac i tyle. Inni nie dostaną nawet tego”. © JAN NOWINOWSKI

Czyszczenie sieci

MUZEUM AUSCHWITZ zaapelowało na Twitterze do szefa Amazona Jeffa Bezosa o usunięcie ze sklepu internetowego koncernu książek z nazistowską propagandą, m.in. autorstwa skazanego na śmierć w procesie norymberskim Juliusa Streichera. Pod koniec 2019 r. Amazon po apelach muzeum wycofał z oferty ozdoby świąteczne i gadżety ze zdjęciami dawnego obozu zagłady. Profil Auschwitz Memorial na Twitterze należy do fenomenów tego portalu społecznościowego – obserwuje go milion użytkowników. © P. MO

KRAJ W SKRÓCIE

SONDAŻ WYBORCZY

Wedle większości sondaży faworytem I tury wyborów prezydenckich jest Andrzej Duda, w II turze jednak jego sytuacja się komplikuje: zarówno Małgorzata Kidawa-Błońska, jak Władysław Kosiniak-Kamysz i Szymon Hołownia notują takie samo poparcie bądź mają szansę na odebranie mu zwycięstwa.

EKSPERT WYBORCZY

„Problem jest taki, że dziś osoby, które w 2015 r. zajmowały się ustawianiem kadrów czy mikrofonów, wierzyły, że mogą robić kampanię wyborczą i są strategami” – powiedział jeden ze współautorów poprzedniego zwycięstwa Dudy, b. poseł Marcin Mastalerek. „Jak można zrobić taki timing, że w tygodniu, kiedy rozpoczyna się kampania, są głosowane dwa miliardy w dość kontrowersyjnej sprawie?” – zapytał podczas wywiadu w Polsce.



TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER

EKSPERT ODWIECZNY

À propos timingu: na antenie TV Trwam Antoni Macierewicz zapowiedział (trudno już zliczyć, który raz) publikację (trudno już zliczyć, którego) raportu w sprawie katastrofy smoleńskiej, choć nie był w stanie podać dokładnej daty jego publikacji. Półtora miesiąca przed 10. rocznicą tragedii nie znamy także scenariusza obchodów, co stało się powodem wymiany uszczypliwości rzecznika prezydenta z rzecznikiem premiera („Odpowiedzialność za słowa w tym miejscu jest inna niż w min. Dworczyka” – powiedział o swoim odpowiedniku Błażej Spychalski).

Skakać, jak zagra centrala

BYLI WŁAŚCICIELE SKLEPÓW ŻABKA zakładają stowarzyszenie, które ma pomóc im w spłacie zadłużenia wobec tej sieci. Będzie też dążyć do usunięcia dysproporcji w prawach i obowiązkach pomiędzy firmą i franczyzobiorcami, które mają wpędzać tych ostatnich w dług. Byli właściciele Żabek zarzucają sieci, że wymusza na nich otwieranie placówek siedem dni w tygodniu, ingeruje w ceny i asortyment, a nawet narzuca promocje, jednocześnie uwzajemniając ich za niezależnych partnerów. Przy takim modelu współpracy trudno o utrzymanie rentowności – mimo że większość z nich prowadzi sklepy osobiście.

Z forum agentów: „Kupujesz od Żabki colę, powiedzmy za 2.00 netto, czyli 2.46 brutto. Dostajesz na to fakturę na 2.46. Nagle wchodzi promocja i cola zaczyna kosztować 1.23 brutto. Masz colę na stanie, ale Ty za nią zapłaciłeś 2.46 zł. W związku z tym, za każdą sprzedaną sztukę, sieć wystawia Ci korektę do faktury zakupowej na -1.23/szt, żeby wyrównać kwotę zakupu i sprzedaży. Korekta zmniejsza Twoje zadłużenie wobec sieci, ale z drugiej strony generuje Ci większy VAT w miesiącu. Już Ci księgowa odliczyła z poprzedniej faktury 46 groszy VATu, wyliczyła z tą kwotą podatek do zapłacenia itd. A teraz dostajesz do faktury korektę i na każdej sprzedanej w promocji sztuce, musisz zwrócić 23 grosze VATu, które sobie wcześniej odliczyłeś”.

Właściciele twierdzą również, że sieć nie reaguje na prośby o zmniejszenie dostaw towarów szybko rotujących, np. nabiału. W ten sposób narasta ich zadłużenie wobec Żabki. Część franczyzobiorców kończy współpracę z siecią mając do zapłaty po ponad sto tysięcy złotych.

Pod szyldem „Żabka” działa w tej chwili 6 tysięcy sklepów prowadzonych przez 3,7 tys. franczyzobiorców.

© P. MAREK RABIJ



MICHAŁ KUŹMIŃSKI

opowie Grzegorzowi Chłascie o bólu, który lubimy, czyli o ostrym jedzeniu (s. 76), w środę 26 lutego o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

Wyspy: praca za punkty

OD STYCZNIA 2021 ROKU Wielka Brytania chce wprowadzić system punktowy faworyzujący imigrantów posiadających ofertę pracy odpowiadającą ich wykształceniu i umiejętnościom oraz znających angielski. To da 50 pkt.; aby dostać wizę pobytową i pozwolenie na pracę, trzeba będzie zdobyć 70 pkt. Premiowane będą zarobki w wysokości min. 25,6 tys. funtów rocznie (ok. 131 tys. zł, 20 pkt.), doktorat (10 lub 20 pkt., więcej za nauki ścisłe) lub oferty pracy, na które jest duże zapotrzebowanie (20 pkt.). Obywatele UE – na Wyspach mieszka ich ok. 3,5 mln, najwięcej jest Polaków – będą traktowani tak jak imigranci z innych państw.

Zmiany to realizacja jednej z obietnic zwolenników brexitu. Rząd przedstawia je jako bodziec do efektywniejszej, opartej na nowych technologiach gospodarki i automatyzacji pracy. Krytycy obawiają się, że brak niżej wykwalifikowanych pracowników z zagranicy pogorszy sytuację m.in. w rolnictwie i opiece zdrowotnej. Najgłośniej protestują Szkoci; utrzymują, że od pracowników z Europy Środkowej wręcz zależy funkcjonowanie wsi i miasteczek na słabo zaludnionej północy kraju.

©© ŻYM



TOMEK KACZOR / DUŻY FORMAT / WORLD PRESS PHOTO

PONAD CZTERY TYSIĄCE FOTOGRAFÓW wzięło udział w tegorocznym World Press Photo. Wśród nich **TOMEK KACZOR** – jego fotografia „Przebudzenie” jako jedna z sześciu wybranych przez jury uzyskała nominację do najważniejszej dla fotografów nagrody: Zdjęcia Roku 2019. Przedstawia piętnastoletnią dziewczynę z Armenii, która w ośrodku dla uchodźców w Podkowie Leśnej wybudziła się z wywołanego traumą stanu katatonii. Wcześniej wraz z rodziną została deportowana ze Szwecji do Polski. Ogłoszenie wyników World Press Photo – 16 kwietnia w Amsterdamie. ©© MZ

Kassel, Halle, Hanau

DZIEWIĘCIORO MIESZKAŃCÓW MIASTA HANAU – głównie Kurdowie z Turcji, a także Bułgar, Rumun, Bośniak i Romka z Polski – zginęło, gdy 43-letni Niemiec zaatakował dwa bary popularne wśród imigrantów; na koniec zastrzelił własną matkę i siebie.

Gdyby przeżył i stanął przed sądem, być może zostałby uznany za niepoczytalnego: nagranie wideo, które opublikował wcześniej w internecie, to „mieszanka teorii spiskowych, rasizmu i paranoi”, jak pisze dziennik „NZZ” (manifest w języku angielskim adresowany jest „do wszystkich Amerykanów”, a mowa jest w nim np. o podziemnych bazach w USA, gdzie torturuje się dzieci). Jednak nawet gdyby sprawca był chory psychicznie, jest

to trzeci już w ciągu ostatniego roku w Niemczech morderczy atak motywowany najwyraźniej rasizmem i teoriami skrajnie prawicowymi: w 2019 r. w Kassel zginął landowy urzędnik, a w Halle sprawca zaatakował (nie skutecznie) synagogę i zabił dwie przypadkowe osoby.

W Niemczech trwa dyskusja, w jakim stopniu na radykalizację takich ludzi wpływa społeczny klimat (polaryzacja wokół tematu imigracji) oraz jak państwo może zapobiec takim aktom przemocy ze strony „samotnych wilków”: sprawcy z Halle i Hanau nie byli związani ze środowiskami skrajnej prawicy, które są dość skutecznie inwigilowane. Traf chciał, że także w ostatnich dniach niemieckie służby aresztowały grupę kilkunastu mężczyzn pod zarzutem utworzenia prawicowej podziemnej organizacji terrorystycznej. ©© WP

Wirus poszedł w świat

MACIEJ MÜLLER



EUROPEJCZYCY, DOTĄD PRZYGLĄDający się z oddali sytuacji w Azji, sami zaczynają się bać koronawirusa COVID-19. Z włoskich aptek zniknęły środki dezynfekcyjne i maseczki ochronne. Ich ceny w sieci rosną (płyn dezynfekcyjny: z 3 euro do 22, maseczka: z 10 eurocentów do 1,8 euro). Sprzedawcy opisują je hasłami: „doskonałe przeciwko koronawirusowi”, co organizacje konsumenckie nazywają haniebną spekulacją i bogaceniem się na strachu.

W weekend we Włoszech (głównie na północy, gdzie trwa sezon narciarski) zaobserwowano gwałtowny wzrost zachorowań: na zapalenie płuc powodowane przez COVID-19 zapadło już 219 osób, 5 zmarło (dane z 24 lutego). Rząd ogłosił zakaz wstępu i wyjazdów z 11 gmin, w których doszło do zachorowań. Ta druga restrykcja dotyczy ok. 50 tys. ludzi; dróg dojazdowych strzeże policja, a premier nie wyklucza użycia wojska. Szkoły nie pracują, odwołano karnawał w Wenecji oraz rozgrywki sportowe w Lombardii i Wenecji Euganejskiej, w tym trzy mecze Serie A. W niedzielę wieczorem Austria nie wpuściła pociągów z Włoch ze względu na dwoje pasażerów z gorączką; testy nie wykazały jednak u nich obecności COVID-19.

Globalne statystyki mówią już o prawie 80 tys. zakażonych, z których wyleczono ponad 25 tys., a 2,6 tys. zmarło. Do 77 tys. zakażeń doszło w Chinach, jednak po wzroście liczby infekcji w innych krajach widać, że wirusa nie udało się tam odizolować. 833 przypadki zgłosiła Korea Południowa, Japonia – 146. Trwa horror pasażerów statku „Diamond Princess” zacumowanego w Jokohamie: choruje już prawie 700 z niemal 3,7 tys. (niektóre kraje ewakuowały swoich obywateli). Szef WHO Tedros Adhanom Ghebreyesus największe obawy wiąże z krajami afrykańskimi o złych warunkach sanitarnych i słabych systemach opieki zdrowotnej. ©©

Podwójne życie Jeana Vaniera

Z RAPORTU Międzynarodowej Federacji Wspólnot L'Arche wynika, że zmarły niedawno założyciel Arki oraz ruchu Wiara i Światło Jean Vanier w latach 1975–2005 nawiązywał seksualne relacje z kobietami, które zwracały się doń o pomoc duchową. Sprawa dotyczy 6 kobiet, które były wprawdzie pełnoletnie, ale relacje z nimi noszą znamiona wykorzystania: Vanier stosował pokretną religijną argumentację, która miała rozwiązać ich wątpliwości. „Niektóre z kobiet”, piszą autorzy raportu, „zostały głęboko zranione tym doświadczeniem”.

Rzecz ma szersze tło. Podobne zarzuty udowodniono w stosunku do o. Thomasa Philippe'a, który był opiekunem duchowym Vaniera i jednym z duszpasterzy Arki. Odpowiedzialni za ruch, dowiedziawszy się w 2014 r. (przeszło 20 lat po śmierci Philippe'a), że dopuścił się on tego rodzaju czynów, postanowili przeprowadzić wewnętrzne śledztwo, by zbadać, czy nadużycia nie dotyczyły również członków wspólnot. Przy okazji chciano wyjaśnić, czy Vanier wiedział o postępach swego duchowego ojca. Vanier zawsze publicznie występował w jego obronie, choć dziś wiadomo już, że wiedział, iż o. Philippe manipulował kobietami i za pomocą dziwnych teologicznych argumentów skłaniał je do współżycia.

Trzy elementy tej sprawy sprawiają ból tym, którzy – jak niżej podpisany – dali się porwać ideałom głoszonym przez Vaniera i wiele napisanych stron poświęcili jego osobie i działalności. Pierwszym źródłem bólu jest krzywda wykorzystanych kobiet. Drugim jest to, że sprawcy wobec swoich ofiar posługiwali się argumentami religijnymi, nadużywając zaufania tych wszystkich, którzy traktowali ich jak religijne autorytety. Trzecim źródłem bólu jest milczenie Vaniera: to, że ktoś, kto wydawał się tak bardzo dojrzały, nie zdobył się na stanięcie w prawdzie i choćby próbę zażyczenia. Ani w sprawie o. Philippe'a, ani w swojej. A to rzuca cień na wszystko inne, niestety.

Jestem członkiem Wiary i Światła od przeszło 30 lat. Co mam teraz powiedzieć? Drogowskaz upadł, ale drogę wskazywał dobrą. Odtąd będzie trudniej nią iść. Ale iść trzeba.

© WOJCIECH BONOWICZ

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

PROŚBA ZIGNOROWANA

Biskup wrocławski Wiesław Mering wystosował „stanowczą prośbę” do abp. Jana Pawła Lengi, by powstrzymał się od głoszenia kazań i publicznego przewodniczenia liturgii, a także wypowiedziania się w mediach. Ignorując prośbę, abp Lenga w jednym z prawicowych kanałów telewizyjnych wezwał bp. Meringa „do nawrócenia”. Mieszkający obecnie w klasztorze marianów w Licheniu emerytowany arcybiskup Karagandy w Kazachstanie znany jest m.in. z tego, że w papieżu Franciszku widzi heretyka.



JAKUB WEDEK / AG // BP KEP

WYRÓŻNIENI

Politolog z UKSW Jan Grosfeld oraz wicemistrz Europy w kajakarstwie górskim Dariusz Popiela (na zdjęciach) zostali laureatami Nagrody im. ks. Stanisława Musiała, przyznawanej osobom zasłużonym dla dialogu chrześcijańsko-i polsko-żydowskiego. Grosfeld „konsekwentnie przypomina o żydowskich korzeniach chrześcijaństwa”, Popiela jest zaś inicjatorem projektu „Ludzie, nie liczby”, który odtwarza nazwiska Żydów pochowanych na żydowskich cmentarzach Małopolski.

MEDZIUGORJE

„Pierwsze siedem objawień Matki Bożej jest prawdziwe. Pozostałych nie można oceniać” – do takich wniosków doszła komisja badająca przez 4 lata przypadek objawień w Medziugorju, powołana w 2010 r. pod przewodnictwem kard. Camillo Ruiniego. 10 członków komisji i 3 ekspertów głosowało pozytywnie przeciw 2 głosom negatywnym. Raport został ujawniony w książce Saverio Gaeta „Dossier Medjugorje”.

Podziękowanie za zniesienie celibatu



ARTUR SPORNIK

PRZEBYWAJĄCY W WATYKANIE Z WIZYTĄ AD LIMINA biskupi z ośmiu katolickich Kościołów wschodnich z USA podziękowali papieżowi za zniesienie celibatu. I wcale nie chodzi o *fake news*, który zakłamywałby fakt, że Franciszek po synodzie amazońskim nie zdecydował się na wyświęcanie żonatych mężczyzn. Chodzi o niechlubny dekret Kongregacji ds. Kościołów Wschodnich sprzed 91 lat. W 1929 r. na terenie USA, Kanady i Australii Kongregacja wprowadziła nakaz celibatu dla księży Kościołów wschodnich będących w unii z Watykanem. Wówczas nie tylko zaprzestano wyświęcania w tych krajach żonatych kleryków, ale także zakazano pracy duszpasterskiej żonatym księżom. Skutkiem dekretu było m.in. to, że 200 tys. pozbawionych opieki duszpasterskiej grekokatolików amerykańskich przeszło na prawosławie.

Kongregacja argumentowała, że Kościoły wschodnie w diasporze powinny przyjąć dyscyplinę panującą na danym terenie. Chodziło głównie o skargi biskupów rzymskokatolickich, że żonaci księża podkopują sens celibatu i powodują zgorszenie wśród wiernych rzymskich.

Że takie „kolonialne” traktowanie mniejszych wspólnot z unijnych Kościołów wcale nie jest pieśnią przeszłości, dowodził list z 1998 r. ówczesnego watykańskiego sekretarza stanu kard. Angela Sodano, który na życzenie Jana Pawła II wypraszał z Polski żonatych księży grekokatolickich przybyłych z Ukrainy do pracy duszpasterskiej. W liście znalazła się podobna argumentacja.

Dekret Kongregacji Franciszek zniósł w 2014 r. ©P

Ikonka pojednania



LUTHERANWORLD.ORG

„WŚRÓD EMOJI są dziesiątki kotów, dwa rodzaje zombie, a nie ma żadnego związanego z przebaczeniem” – po-

wiedział Tuomo Pesonen, rzecznik Kościoła Ewangelicko-Luterańskiego Finlandii, ogłaszając w zeszłym roku konkurs na emoji. Właśnie ogłoszono zwycięski piktogram, wybrany przez byłą prezydent kraju Tarję Halonen, uważaną za ikonę pojednania. Brak emoji związanej z przebaczeniem zauważono w 2018 r., podczas debat z okazji 100-lecia zakończenia wojny domowej. Na brak zareagował Kościół luterański – podkreślając wagę przeprosin i przebaczenia w życiu codziennym. Podczas akcji gromadzono środki na działania pokojowe w Somalii, Kenii i Republice Środkowoafrykańskiej. Projekt otrzyma teraz konsorcjum Unicode, które raz do roku aktualizuje listę emoji. ©MACIEJ MÜLLER

KULTURA W SKRÓCIE

CHOPIN
JAK PIŁKA

Wystarczyli zaledwie trzy godziny, by wszystkie bilety na przesłuchania XVIII Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina rozeszły się jak świeże bułeczki. Organizatorzy uspokajają spóźnialskich, obiecując inspirowane piłkarskimi strefami kibica strefy melomana, w których konkursowe zmagania wirtuozów będzie można oglądać na dużym ekranie.

KIELCE
JAK SYCYLIA

„Przybywamy do miasta Kielce z kagankiem literatury. Naszym planem jest założenie własnego wydawnictwa. Będzie nosiło fredrowską nazwę” – zdradza Jerzy Pilch na łamach świętokrzyskiej „Wyborczej” tuż po wyprowadzce z Warszawy. Strapionego dziennikarza dopytującego o powody wyboru pustoszącego miasta Pilch pociesza: „to, że wszyscy stąd wyjeżdżają, w nieubłagany sposób łączy Kielce z Sycylią”.



KUBA ATYS / AGENCIA GAZETA

JAK RATOWANO
KSIAŻKI

„Na Belwederskiej kontener pełen książek” – od tego wpisu na Facebooku rozpoczęła się awantura wokół wyrzuconej na śmietnik biblioteki zmarłego przed kilku tygodniami powstańca i wiceprezesa Związku Powstańców Warszawskich Eugeniusza Tyrajskiego „Sęka”. Wśród odzyskanych papierów są m.in.: oryginalne egzemplarze prasy z okresu powstania warszawskiego, a także fotografie oraz archiwalia z działalności kombatantkiej Środowiska Pułku AK Baszta.



NASA

FALA CIEPŁA
W ANTARKTYCE:

NASA na satelitarnych zdjęciach pokazała, jak szybko topnieją lodowce: to dwa ujścia Wyspy Orła z 4 i 13 lutego. Luty przyniósł najwyższe temperatury w historii pomiarów: 9 lutego na wyspie Seymour termometry wskazywały 20,75 st. C, trzy dni wcześniej na kontynencie odnotowano 18,3 st. C. Na zachód od Antarktydy odkryto... nową wyspę – odsłoniętą przez cofający się lód.

© P ŁK

Nurkowie wyjaśniają
losy wyprawy Franklina

TO MIAŁA BYĆ NAJODWAŹNIEJSZA EKSPEDYCJA w dziejach: kiedy w 1845 r. opuszczały ujście Tamizy, z HMS „Terror” i HMS „Erebus”, okrętami pod dowództwem sir Johna Franklina, wiążano w Anglii nadzieje na odkrycie drogi przez Przeście Północno-Zachodnie – arktyczne wody na północ od kolonii kanadyjskich. Jednak parę tygodni później słuch po nich zaginął. Nigdy nie udało się wyjaśnić dokładnych losów 129 uczestników wyprawy (wiadomo, że niektórzy przeżyli w Arktyce dwie zimy). Dopiero kilka lat temu, nieopodal wejścia do Zatoki Królowej Maud, w odległości ok. 100 km od siebie, zlokalizowano wraki obu okrętów.

Teraz, po 93 podwodnych przeszukaniach, w Ottawie zaprezentowano niektóre przedmioty wydobyte z pokładu „Erebusa”. Ani oficerskie epolety, ani woskowe pieczęcie z odciskiem kciuka kapitana – wciąż w dobrym stanie – nie wzbudziły jednak takiego zainteresowania, jak słowa szefa ekipy nurków o tym, że we wraku odnaleziono przedmiot należący do członka załogi drugiego statku; a także, że spora część ładowni była pusta. To potwierdzałoby przypuszczenia, że 172 lata temu pozostali przy życiu członkowie ekspedycji opuścili wcześniej „Terror”, kierując się na południe, w stronę terenów inuickich, na pokładzie „Erebusa” (potem, być może, także pieszo).

Dotąd przeszukano 3 z 17 sekcji okrętu. Latem ciąg dalszy. Na nurków czeka m.in. mesa Franklina – jest nadzieja, że w niej kryje się tajemnica ostatnich momentów wyprawy. © P ŻYM

Szybka planetka

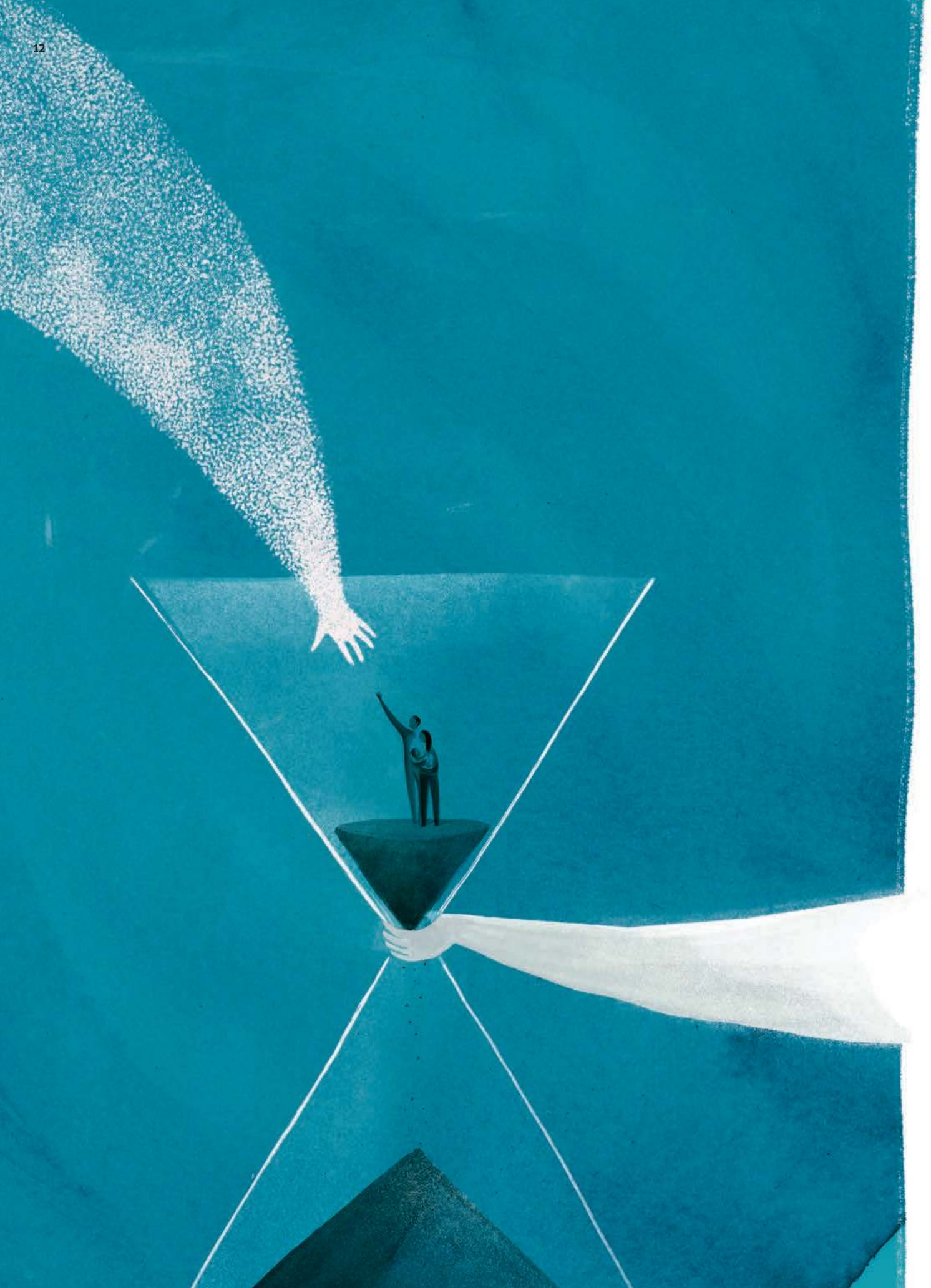
POWSTAWANIE PLANET z kosmicznego pyłu to jedna z wielkich białych plam współczesnej nauki. Wiemy, że planety istnieją powszechnie, i to nie tylko tu, w Układzie Słonecznym, ale i w całym Kosmosie. Musi więc istnieć jakiś wydajny mechanizm ich powstawania – ale jaki? Kluczowe jest pytanie o czas: gdyby udało się ustalić, ile właściwie trwa ten proces, byłibyśmy o krok bliżej sensownego modelu.

Krok ten właśnie chyba wykonano. Dzięki precyzyjnym pomiarom składu pierwiastkowego najstarszych meteorytów w Układzie Słonecznym oraz Ziemi grupa naukowców z Kopenhagi i Paryża ustaliła, że nasza planetka powstała w ciągu zaledwie około pięciu milionów lat.

W skali astronomicznej to niewiele, zwłaszcza że dominującym dziś scenariuszem powstawania planet jest ich zmuśny wzrost wskutek setek zderzeń coraz to większych „embrionów planetarnych”, co wymaga dziesiątków milionów lat.

Jest parę modeli, które da się „upchnąć” w pięciu milionach lat. Jednym z nich jest „akrecja aerodynamiczna”: nagłe zlepianie się biliarów niewielkich cząstek pyłu kosmicznego unoszących się w dysku młodzieńczego Układu Słonecznego, co przypomina nieco sklejenie się ze sobą drobin szumowiny unoszących się na powierzchni rzeki. Ponieważ zaś tego typu chmury kosmicznego gruzu w pewnym momencie zaczynają ściągać do siebie kolejne kamyczki siłą grawitacji... w niedługim czasie może się z tego wyłonić całkiem niezła planetka.

© ŁUKASZ ŁAMŻA



NAJDROŻSZY LEK ŚWIATA

Głośnie, wielomilionowe zbiórki na dzieci z rdzeniowym zanikiem mięśni pokazują potęgę solidarności i siłę nowych mediów. Ale prowokują też pytania o etyczne granice apeli o pomoc.

TEKST PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI, MACIEJ MÜLLER
ILUSTRACJE JOANNA RUSINEK

NAJPIERW, WIOSNĄ 2019 R., USŁYSZELI od znajomych pytanie: „Dlaczego on tak cicho płacze?”.

Potem sami zauważyli: Kacperek jest mało ruchliwy, nie podnosi głowy. Przyszedł na świat duży – łudzą się – może dlatego wolniej się rozwija?

Ładują w gabinecie neurologa. Po niedługim czasie gotowa jest wstępna, potwierdzona po kilku dniach diagnoza. SMA, rdzeniowy zanik mięśni – przeczytają na forach i portalach – wygasza kolejne mięśnie, by na koniec zaatakować układ oddechowy i w ciągu kilku lat zabrać dziecko (gdy natrafiają – odwiedzając nieaktualizowane strony – na podobne informacje, nie wiedzą jeszcze, że są różne postacie choroby, i że kilka miesięcy wcześniej ogłoszono refundację leku na SMA).

Dalej jak z podręcznika psychologii: załamanie, szok, wyparcie. Przez miesiąc nie powiedzą o diagnozie znajomym. Żeby uniknąć pytań: „Czy to się leczy?”, „Czy na to się umiera?”.

Później przejdą w tryb hiperaktywności. To żona podsunie mężowi – bez większego przekonania – pomysł zbiórki na zarejestrowaną tylko w USA terapię genową, a on tę zbiórkę rozkręci. W ten sposób staną się pierwszym w Polsce małżeństwem zbierającym na „najdroższy lek świata”. Kosztujący nawet do 10 mln zł.

– To, co się wydarzyło, przeszło najśmielsze oczekiwania – mówią Magda i Michał Ryło (oboje przed trzydziestką), gdy w grudniu 2019 r., w końcowej już fazie zbiórki, spotykamy się w ich domu w Zabierzowie nieopodal Krakowa. Wygląda jak centrum sztabu kryzysowego: sprzęt medyczny, kręcący się bliscy Ryłów, telefony od wolontariuszy, dziennikarzy.

– Wpłaty nawet rzędu 10 tys. zł, w najlepszych okresach wpływało 100 tys. dziennie – opowiadają Ryłowie. – Zjednoczyli się ludzie w naszym Zabierzowie. Książd ogłosił zbiórkę, obce osoby robiły licytacje. Potem takie akcje odbywały się już w wielu miejscach w Polsce. Czasami trzy w ciągu dnia, więc nie byliśmy nawet w stanie wszystkim podziękować. Zwykłym ludziom, wolontariuszom, celebrytom, piłkarzom.

Dwa miesiące po naszym spotkaniu zbiórka się skończy. A Kacperek – dziś 14-miesięczny syn Magdy i Michała – będzie drugim polskim dzieckiem (po będącym już wraz z rodzicami za oceanem Aleksie), przed którym otworzy się droga do „najdroższego leku świata”.

W sumie już trzy zakończone zbiórki – ale też kolejne, nadal trwające – pokazują siłę solidarności i nowych mediów. Prowokują też pytania. Zadawane raczej po cichu, głównie wśród lekarzy

i wśród rodziców dzieci z SMA, czasem w sieci.

Jakie są etyczne granice organizowania zbiórek? Czy zbierając na jeden lek, można deprecjonować działanie innego, w dodatku refundowanego? Czy dopuszczalne jest pisanie o „jedynej” albo „ostatniej” szansie uratowania życia, podczas gdy nie jest ani jedyna, ani ostatnia?

By pojąć zasadność takich pytań, warto cofnąć się o ponad dekadę. Do innej – pod względem wiedzy, ale też zaawansowania w leczeniu SMA – epoki.

Historia choroby

Jest rok 2007, mieszkającej wtedy w Raciborzu Dorocie Raczek rodzi się córka. Emilka do swoich pierwszych urodzin rozwija się prawidłowo, a nawet szybciej: chodzić np. zaczyna, gdy ma 10 miesięcy. Ale gdy inne dzieci przechodzą płynnie do kolejnych etapów – biegania, podskakiwania – u Emilki pojawiają się problemy.

– Zaczęła się przewracać, z trudem wchodziła po schodach – wspomina Dorota Raczek, gdy się spotykamy (dziś mieszkają w Rybniku). – To było nasze pierwsze dziecko, nie mieliśmy punktów odniesienia, a więc i powodów do niepokojów. To babcie weszły alarm.

Raczkowie w 2009 r. zaczynają pielgrzymkę po gabinetach. – Odwiedziliśmy lekarzy, fizjoterapeutów →

→ – wspomina pani Dorota. – Wszyscy mówili, żeby się nie przejmować, że do trzeciego roku życia wszystko się wyrówna.

Ostateczną diagnozę Raczkowie dostaną dopiero, gdy ich córka ukończy dwa lata. Szczęście w nieszczęściu, to SMA3, łagodniejsza postać choroby. – Szok, rozpacz, bezsenne noce, potrzebowaliśmy pomocy psychologa – opowiada Dorota Raczek. – Równocześnie wiedzieliśmy, że jeśli się załamiemy, to nikt naszemu dziecku nie pomoże. Poszliśmy w aktywność. Na początku było dzwonienie, doświadywanie się, czytanie. I odwiedzanie rodziców, którzy mają dzieci cierpiące na SMA. To jest moment desperacji, szukaliśmy pomocy nawet u bioenergoterapeutów. Jeden przepisał ziółka, których – jak się później okazało – dziecko w ogóle nie powinno pić.

Po jakimś czasie Raczkowie wiedzą już, że jest tylko jeden sposób na hamowanie spustoszeń w organizmie: regularna fizjoterapia. – Ciężka praca, pięć do sześciu spotkań tygodniowo – relacjonuje mama Emilki. – Choroba dziecka to jak dodatkowy etat. Jedno z rodziców musi zrezygnować z pracy, u nas byłam to ja. Choroba przez dekadę i tak zrobiła swoje: Emilka może przejść około stu metrów. Ale jest samodzielna, w dużej mierze dzięki rehabilitacji. Tak czy inaczej, dekadę temu te trzy literki – SMA – oznaczały wyrok.

Pierwszy przełom – na razie psychologiczny – to rok 2013. W powszechnym użyciu jest już internet, kilkoro rodziców dzieci z SMA wpada na pomysł zorganizowania spotkania-konferencji. – Emilka miała pięć i pół roku, postanowiłam pojechać z nią – wspomina pani Dorota. – Poznawałam innych rodziców, lekarzy, fizjoterapeutów, zobaczyłam, że nie jesteśmy sami. I przede wszystkim: na tej konferencji pojawił się pomysł powołania Fundacji SMA.

Ale przez te lata Dorota Raczek, mając już kontakt z innymi rodzicami, będzie się też stykała z dramataми. Odchodzi dzieci, które chorowały w tym samym czasie, co Emilka. Organizowana od 2013 r. regularnie konferencja Fundacji SMA za każdym razem zaczyna się od minuty ciszy.

Rok 2016, kolejny przełom. Amerykańska Agencja Żywności i Leków (FDA) dopuszcza do sprzedaży testowany już od jakiegoś czasu nusinersen, lek skutecznie hamujący postęp SMA. W domu państwa



DOROTA RACZEK:

Ogłoszenie refundacji
to był szczęśliwy dzień.
Baliśmy się, że lek dostaną
tylko najmniejsze
i najbardziej chore dzieci.
Na szczęście stało się inaczej.

Raczków i dziesiątkach innych święto: na ogół leki, które wchodzą do obrotu za oceanem, po jakimś czasie trafiają i do Europy. Tak też się dzieje: w maju 2017 r. nusinersen dopuszcza Unia Europejska. Producent, Biogen, wyznaczył cenę dla krajów UE na poziomie 90 tys. euro za dawkę. Roczne leczenie kosztuje 540 tys. euro w pierwszym roku i 270 tys. w kolejnych. Nusinersen to jeden z najdroższych leków świata.

W Polsce zaczyna się walka o refundację. – Byliśmy przekonani, że w końcu osiągniemy sukces, ale liczył się czas – wspomina pani Dorota. – Przecież stan dzieci się pogarszał, diagnozowano kolejne, dla których podanie leku było jedynym ratunkiem. W ramach wczesnego dostępu specyfik mogło otrzymać najpierw 10, a potem już 30 dzieci, ale nadal nie było refundacji. Organizowaliśmy eventy. Była akcja „skok po lek”: Emilka skakała ze spadochronem. Wchodziliśmy na kopiec Kościuszki. Zapraszali-

śmy media, pisaliśmy petycje do premierów.

Leniwe niemowlę

Mniej więcej w tym samym czasie, w „epoce” przed pojawieniem się skutecznej terapii, kolejne etapy choroby przechodzi córka Kacpra Rucińskiego, współzałożyciela Fundacji SMA. Dziecko dochodzi do etapu siadania, ale mimo ukończonego roku nie przechodzi do fazy wstawania. Lekarze zbywają rodziców: „Leniwe niemowlę”, „Trzeba dać jej czas”. – W końcu trafiliśmy na neurologkę, która postawiła diagnozę i potwierdziła ją badaniem genetycznym.

Jest koniec 2009 r. Ruciński wspomina: – Nie było leczenia, wiedzy, nadziei. Pani doktor pokazała nam książkę po angielsku, w której o SMA były dwa akapity i komentarz, że takie dzieci żyją najwyżej kilka lat. Dziś wiemy, że nasza córka cierpi na SMA między typem drugim a trzecim, a więc stosunkowo łagodną postać choroby. Ale wtedy prysły marzenia; okazało się, że dziecko nie będzie chodziło, a potem zacznie potrzebować respiratora. Między 2010 rokiem a pojawieniem się leków byliśmy zdani na rehabilitację i śledzenie doniesień medycznych. Było coraz gorzej, córka przez kilka miesięcy chodziła, pchając wózek dla lalek, pół roku później już nie była w stanie zrobić nawet tego. Śledziliśmy wszystkie etapy testowania leku. W dniu zarejestrowania go w Europie płakaliśmy.

SMA należy do grupy ok. 8 tysięcy tzw. chorób rzadkich; na 10 tys. osób przypada mniej niż pięć przypadków. Choroby rzadkie – razem wzięte – dotyczą 6-8 proc. każdej społeczności, w Polsce to nawet 3 mln pacjentów. Jednak nie stanowią oni jednolitej grupy: np. na SMA cierpi kilkaset osób, na mukowiscydozę ok. 2 tys. Leków, o ile w ogóle istnieją (wynaleziono je dla kilku procent chorób rzadkich), są astronomicznie drogie – producenci nie mogą liczyć na zwrot kosztów przeznaczonych na badania płynący z masowej sprzedaży.

W rozmowach z resortem zdrowia o refundacji stowarzyszenia pacjentów rozbijają się o nastawienie typu: „kolejna grupa chce hiperdrogiego leku”. Problem miał rozwiązać Narodowy Plan dla Chorób Rzadkich – od ponad 10 lat będący „na ukończeniu”, „w konsultacjach wewnętrznych” albo „trafiający pod obrady komitetu stałego”. Pozostaje nacisk na for-

mie wzbudzenia empatii opinii publicznej: SMAkom, jak mówią o sobie rodziny chorych, to się udało.

Biskup pisze do ministra

– Pomogła nam *pro bono* agencja PR, zaczęliśmy kampanię medialną – mówi Kacper Ruciński. – Wskazywaliśmy, że na mukowiscydozę cierpi niewiele więcej osób niż na SMA, a o tamtej chorobie wszyscy coś wiedzą. Tłumaczyliśmy, że SMA to konkretna choroba, na którą chorują prawdziwi ludzie – i że istnieje na nią realny lek.

Zebrało tysiące podpisów pod petycją o refundację nusinersenu. Petycję otrzymała premier Beata Szydło. Udało się nakłonić do pomocy Kościół katolicki. Przewodniczący episkopatu abp Stanisław Gądecki w grudniu 2018 r. napisał list do ministra zdrowia Łukasza Szumowskiego: „Proszę o możliwie najszybsze doprowadzenie do refundacji leku”. Hierarcha wspominał niedawną śmierć trojga dzieci z SMA i podkreślił: „Mógł je uratować lek, na który chorzy w Polsce czekają od ponad półtora roku”.

Przed Bożym Narodzeniem ministerstwo zakończyło negocjacje z Biogenem: od 1 stycznia 2019 r. nusinersen jest w Polsce refundowany. Fundacja wydała komunikat, w którym dziękowała „wszystkim, dzięki którym niewykonalne stało się wykonalne”.

17 grudnia 2018 r. Dorota Raczek zapamięta ten dzień na długo. Odprowadza

dzieci do szkoły, a tuż przed dziewiątą rozdzwaniają się telefony, sypią SMS-y i wiadomości na WhatsAppie. – Okazało się, że tuż po ósmej, w porannej rozmowie z RMF FM, minister zdrowia ogłosił decyzję o refundacji – relacjonuje pani Dorota. – To był szczęśliwy dzień, zwłaszcza że nie było wiele krajów, które nusinersen refundowały dla każdej postaci choroby i dla każdego wieku. Baliśmy się, że dostaną tylko najmniejsze i najbardziej chore dzieci. Na szczęście stało się inaczej.

Pierwsi chorzy dostaną pierwsze dawki leku w marcu 2019 r.

Niedługo potem ruszą głośne zbiórki na dostępny wyłącznie w USA inny „najdroższy lek świata”.

Ostatnia szansa

W już zakończonych zbiórkach co prawda informowano o istnieniu refundowanego leku, ale apele o pomoc na sfinansowanie amerykańskiej terapii genowej opatrywano hasłami takimi jak „jedyna” czy „ostatnia” szansa. Skuteczność nusinersenu była deprecjonowana („Ma za zadanie spowolnić rozwój choroby. Nie wyleczy jednak synka”), w dodatku w niektórych zbiórkach podawano w wątpliwość refundację, pytając, czy za dwa lata będzie nadal obowiązywać.

Trzy zbiórki szczęśliwie się zakończyły, kolejne trwają. Tak jak poprzednie, mobilizują trudną do wyobrażenia energię: tysiące darczyńców, wolontariuszy, celebrytów. Jedną z najlepiej rozpropago-

wanych zbiórek wsparł niedawno popularny aktor Mateusz Damięcki, inicjując akcję łączącą aktywność fizyczną z pomaganiem (jeden skok na skakance za każdą złotówkę wpłaconą na chore dziecko). Pomysł podchwycili – nominujący do akcji kolejne znane postaci – eksbramkarz reprezentacji Polski w piłce nożnej Artur Boruc czy bokser Artur Szpilka.

Znowu jednak wątpliwości może budzić treść apelu opublikowanego na Siepomaga.pl. Deklarowany cel zbiórki: „Terapia genowa – jedyna szansa na uratowanie życia”. „To jedyna nadzieja na pokonanie choroby” – czytamy dalej w apelu, by w dalszej części natrafić wreszcie na informację o istniejącym leku, który „wstrzymuje niszczycielski pochód choroby”, opatrzoną jednak zastrzeżeniem, iż „nie daje nadziei na pełne wyleczenie”.

Podobnych subtelności próżno szukać w materiałach medialnych poświęconych zbiórkom – w wielu z nich fakt istnienia refundowanego leku jest w ogóle przemilczany. Tak było w reportażu popularnej telewizji śniadaniowej (o nusinersenie wspomniała dopiero obecna w studiu ekspertka), podobnie w opublikowanym przez jeden z największych portali omówieniu akcji zainicjowanej przez Damięckiego („Jedyną szansą na uratowanie życia Kacpra jest terapia genowa”), nie inaczej w popularnym porannym wywiadzie internetowym z samym aktorem, gdzie Damięcki – nie wspominając choćby zdaniem o dostępnym

Co to za choroba i jak się ją leczy

SMA (*spinal muscular atrophy* – rdzeniowy zanik mięśni) jest chorobą o podłożu genetycznym, powodującą – przez obumieranie neuronów ruchowych – stopniową utratę zdolności poruszania się, przelatywania i oddychania. Przyczyną jest mutacja genu SMN1 odpowiedzialnego za kodowanie białka SMN, kluczowego dla funkcjonowania neuronów ruchowych.

Rozróżnia się cztery typy

SMA. Pierwszy, najcięższy (objawy pojawiają się w pierwszym

półtroczy życia) oznacza, że dziecko nigdy nie będzie w stanie samodzielnie siedzieć. Drugi (objawy między 6. a 18. miesiącem życia) – że nie będzie o własnych siłach chodzić. Chorzy na pierwszy i drugi typ zazwyczaj umierali przedwcześnie ze względu na niewydolność oddechową. Trzeci typ jest łagodniejszy: chorujący chodzi samodzielnie, choć z czasem musi poruszać się z pomocą wózka. Czwarty wiąże się z problemami z chodzeniem i pojawia się dopiero u dorosłych. Zanim pojawiły się leki, leczenie SMA po-

legało jedynie na rehabilitacji, której celem było maksymalne przedłużenie zdolności do samodzielnego poruszania się.

W 2016 r. Agencja Żywności i Leków (FDA) dopuściła do obrotu w USA pierwszy lek na SMA, nusinersen (nazwa handlowa: Spinraza). Lek jest syntetycznym fragmentem kwasu nukleinowego, który modyfikuje działanie genu SMN2 tak, aby ten gen przejął funkcję nieaktywnego genu SMN1. W normalnych warunkach gen SMN2 nie prowadzi do powstania w pełni funkcjonalnych białek SMN – jednak lek zmusza go do tego. W efekcie w organizmie pojawia

się wystarczająco dużo białka SMN, by zapobiec obumieraniu neuronów motorycznych, co zatrzymuje postęp choroby.

Terapia genowa za pomocą preparatu AVXS-101 (nazwa handlowa w USA: Zolgensma) polega na podaniu do organizmu wirusa przenoszącego syntetyczną sekwencję DNA odpowiadającą genowi SMN1. W rezultacie organizm „uczy się” kodować brakujące białko. Lek podaje się tylko raz; nie można go zastosować u niemowląt posiadających naturalną odporność na wirusa AAV9 (kilka procent populacji).

© MACIEJ MÜLLER

→ w Polsce leczeniu – mówi nawet, iż polskie państwo nie refunduje terapii genowej (a nie refunduje, bo nie może refundować leku niedopuszczonego na rynek europejski).

Krytycy podobnych przekazów zaznaczają w niemal każdym zdaniu, że nie chodzi o sam fakt organizowania zbiórek. Przeciwnie: te nie tylko przyczyniły się do zebrania pieniędzy na leczenie, które być może – choć trudno mieć dziś co do tego pewność – okaże się skuteczniejsze niż dostępne w Polsce, ale również pokazały ludzką solidarność, dodatkowo zwiększając świadomość Polaków na temat SMA. Mówią bądź piszą też jednak otwarcie: przekłamania nie tylko wprowadzają w błąd potencjalnych darczyńców, ale mogą także wywoływać panikę wśród rodziców, którzy dowiadują się o chorobie swoich dzieci.

„Kochani rodzice nowych SMAków, nie piszcie w opisach zbiórek, że Spinraza [nazwa handlowa nusinersenu – red.] nie działa. Nie piszcie, że tylko spowalnia chorobę, bo to nieprawda! Mnóstwo ludzi bardzo ciężko pracowało na to latami, aby wasze dziecko mogło tuż po diagnozie dostać lek” – napisała kilka miesięcy temu na blogu Preclowa Strona zwią-

zana od lat z Fundacją SMA Małgorzata Rybarczyk-Bończak, mama 14-letniego Szymona z SMA1, który przyjmował dopuszczony w Polsce lek jeszcze na etapie badań klinicznych.

Nie budujcie mitów

Co wiadomo o obu lekach na SMA: dostępnym w Polsce i refundowanym nusinersenem oraz o amerykańskiej terapii genowej? Takie pytanie zadajemy prof. Annie Kosterze-Pruszczyk, kierownicze Kliniki Neurologii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, jednemu z najwybitniejszych autorytetów w tej dziedzinie w Polsce. – O nusinersenem wiemy najwięcej, bo tym specyfikiem jest już leczonych na świecie tysiące pacjentów w różnym wieku, na różnym etapie choroby i cierpiących na różne typy SMA – mówi neurologka. – To są doświadczenia wynikające nie tylko z badań klinicznych, ale też z naszych własnych obserwacji podczas leczenia. Pozwalają one na wniosek, że wprowadzenie specyfiku było absolutnym przełomem w leczeniu. Na terapię nusinersenem odpowiadają praktycznie wszyscy poddawani jej pacjenci, nawet ci, których leczenie rozpoczęło się na zaawansowanym etapie choroby. O do-

stępnej na terenie USA terapii genowej wiemy na razie za mało, by formułować kategorię wniosków.

W sierpniu 2019 r., podczas konferencji American Academy of Neurology, zaprezentowano statystyki, które jednoznacznie, we wszystkich kryteriach, wskazywały na przewagę terapii genowej nad nusinersenem (np. przeżycie: 90 proc. wobec 61 proc.; obracanie się na plecach: 41 proc. wobec 10 proc.). Sęk w tym, że badanie kliniczne preparatu AVXS-101 (Zolgensma) przeprowadzono tylko na 22 dzieciach. – Mówiąc wprost: to są za mało dane, by porównywać skuteczność obu leków. Nie mamy jak na razie wiarygodnych informacji, które wskazywałyby na mniejszą skuteczność dostępnego w Polsce i refundowanego leku – komentuje prof. Kosterza-Pruszczyk.

– Czy te specyfiki wyłącznie hamują postęp choroby, czy po prostu z niej leczą? – pytamy.

– Oba wpływają na mechanizm genetyczny choroby, a więc leczą – odpowiada prof. Kosterza-Pruszczyk. – Żaden z nich nie jest lekiem objawowym, łagodzącym jedynie symptomy. Różnica polega na tym, że o ile w przypadku nusinersenu konieczne jest regularne podawanie leku,

Nowy lek: od idei do produktu

DO POWSTANIA NOWEJ terapii konieczne jest zrozumienie patogenetycznej choroby. Poszukując biochemicznego i biologicznego podłoża, dąży się do znalezienia nowego punktu uchwytu – miejsca w patofizjologicznym szlaku, w które można uderzyć odpowiednio skonstruowanym lekiem. Nową bronią mogą być białka – enzymy, inhibitory czy przeciwciała, ale również prostsze związki organiczne, a nawet nieorganiczne. Ten twórczy okres to tzw. faza wy-

nalazku. Jeśli dana substancja daje nadzieję na terapeutyczny sukces, przechodzi do fazy badań przedklinicznych. Zostaje przebadana w warunkach laboratoryjnych, początkowo

in vitro na tkankach zwierzęcych i ludzkich, a następnie na kilku gatunkach zwierząt. Pozwala to sprawdzić, czy kandydat na lek trafia w odpowiedni cel, czy może wywoływać genetyczne mutacje, czy nie powoduje śmierci komórek i reakcji zagrażających życiu zwierząt. Kluczowe jest bezpieczeństwo substancji czynnej.

Pomyślne przejście tego etapu pozwala rozpocząć czterofazowe badania kliniczne. Tu znów priorytetem jest bezpieczeństwo. Początkowo niewielką grupę zdrowych, młodych osób obserwuje się pod kątem groźnych dla życia ostrych działań niepożądanych. Dopiero w II fazie działania leku poddaje się osoby

chore. Na 100-300 pacjentach, często podzielonych na grupy badawczą i kontrolną, sprawdza się skuteczność terapeutyczną oraz dawkę, która równoważy skutki zamierzone i uboczne. Faza III, której celem jest porównanie efektów leku nowego i starszych, trwa najdłużej. Ocenia się rzeczywistą skuteczność leku w praktyce klinicznej oraz tzw. twarde punkty końcowe (np. śmiertelność z powodu chorób sercowo-naczyniowych). W II i III fazie wykonywane jest badanie eksperymentalne, do której kwalifikacja pacjentów odbywa się dzięki kryteriom włączenia i wyłączenia. Ośrodki kliniczne często nie leczą wszystkich chorych, ale poszukują osób, które np. są w odpowiednim wieku, nie były wcześniej leczone albo

były leczone ściśle określonymi lekami.

Dopuszczenie do obrotu daje możliwość leczenia wszystkich pacjentów zgodnie ze wskazaniami, jednak nie oznacza końca zbierania informacji o działaniu leku.

W fazie IV ocenia się długoterminowe bezpieczeństwo i skuteczność. Proces wprowadzenia leku jest długotrwały i kosztowny – aby z 5 tys. substancji powstał jeden lek, w ciągu ok. 12 lat trzeba zainwestować nawet kilka miliardów dolarów. To ma swoje odbicie w cenie rynkowej. Biorąc pod uwagę 20-letnią ochronę patentową (po tym czasie pojawiają się dużo tańsze zamienniki) i to, że część leków już po jednej kuracji ma wyleczyć chorego (terapię genową), ceny mogą sięgać wielu milionów dolarów. © BARTOSZ KABAŁA



mniej więcej co cztery miesiące, o tyle dostępne informacje na temat terapii genowej wskazują, że lek ma być podany jednorazowo. Z jednym zastrzeżeniem: informacje te mówią o konieczności podania go do 2. roku życia dziecka.

– Czy znane są pani przypadki dzieci, u których nie zadziałała terapia nusinersenem?

– Nie znam takich przypadków, choć warto podkreślić, że kluczowym elementem wpływającym na skuteczność jakichkolwiek terapii we wszystkich postępujących chorobach wiążących się z zanikiem mięśni jest moment rozpoczęcia leczenia. Na zaawansowanym etapie choroby niemożliwe jest „wymazanie” wszystkich skutków, które do tej pory poczyniło schorzenie, aczkolwiek widzimy poprawę także u osób, które miały już duży zanik mięśni. Nie znam jednak przypadków uczulenia bądź oporności pacjentów na nusinersen.

Gdy pod koniec 2019 r. ukazały się apele dotyczące terapii genowej, głos w sprawie zabrała też Fundacja SMA. Podkreśliła, że „nusinersen jest nowoczesnym lekiem o wysokiej skuteczności i znanym profilu bezpieczeństwa. Jego wprowadzenie w Polsce radykalnie zmniejszyło śmiertel-

ność w wyniku komplikacji SMA z około 50 zgonów rocznie do 2–3, a setkom chorych przyniosło wymierną poprawę stanu zdrowia”. Stanowisko wyjaśniało, że na razie nie można powiedzieć o terapii genowej, że jest skuteczniejsza od nusinersenu. „Preparat AVXS-101 został dopuszczony do stosowania w Stanach Zjednoczonych na podstawie trzech badań klinicznych z łącznym udziałem zaledwie 68 pacjentów w wieku 1–8 miesięcy” – podkreślono.

Ekspert Fundacji SMA, Kacper Ruciński, nie krytykuje jednak rodziców zbierających na terapię genową: – Każdy rodzic ma prawo zbierać na to, co według niego jest najlepsze dla jego dziecka – deklaruje. – Po diagnozie o SMA rodzice chwytają się każdej deski ratunku i to jest naturalne. Złe jest natomiast – uważa Ruciński – budowanie mitu wokół terapii genowej. On zaszkodzi ewentualnej przyszłej decyzji o refundacji.

– Chcielibyśmy oczywiście, żeby i terapia genowa była refundowana – dodaje Ruciński. – Tylko że w USA lek został dopuszczony przez FDA na podstawie niepełnych, szątkowych danych. Europejska Agencja Leków przygląda mu się dłużej i staranniej.

Kto pisze apele

– Gdy widzę podobne apele, czuję się rozdarta – przyznaje Dorota Raczek. – Rozumiem desperację i rozpacz, sama pewnie w analogicznej sytuacji organizowałabym zbiórkę. Oni po prostu robią coś, na co my, rodzice dzieci zdiagnozowanych lata temu, nie mieliśmy szansy, walcząc o kolejne terapie, i często niestety zapominając, że najważniejsza jest opieka nad chorym dzieckiem: fizjoterapia, pomoc oddechowa, żywieniowa. Mam tylko jeden problem: skoro jako społeczeństwo tak długo pracowaliśmy na to, by nusinersen był dostępny dla każdego dziecka i dorosłego, to podważanie skuteczności tego leku bądź przemilczanie faktu jego istnienia jest nie *fair*.

O treści apeli pytamy w Zabierzowie Magdę i Michała Ryłów: – Rzeczywiście, niektóre z nich zbyt epatują dramatem. W naszym znalazło się np. sformułowanie: „8 milionów za życie Kacperka”. Poprosiliśmy portal Siepomaga.pl o wykasowanie tego stwierdzenia. Zdajemy sobie sprawę, że wiele osób pracowało latami na to, by lek był dostępny – przyznają Ryłowie, zaznaczając, że w ich apelach pojawiła się informacja o nusinerse-

nie. Zapytani, dlaczego wyrażają publicznie wątpliwości, czy refundacja leku zostanie po dwóch latach przedłużona, odpowiadają pytaniem: – A czy panowie, mając chore dziecko, nie mieliby podobnych obaw? Przecież może się zmienić minister, może się zmienić władza. Nie da się powiedzieć w stu procentach, że za kilka lat refundacja będzie działać nadal. Czy ktoś jest nam w stanie to zagwarantować?

Tymczasem dwuletni okres refundacji leku nie jest niczym nadzwyczajnym i wynika z przepisów; jeśli lek wypada z listy ministerialnej, to dlatego, że pojawił się nowy, skuteczniejszy.

Jedno jest pewne: zastrzeżenia trudno kierować do rodziców chorych dzieci, którzy nie muszą rozumieć skomplikowanych procedur rządzących refundacjami. Zwłaszcza że (jak dowiadujemy się nieoficjalnie) nie mają ani wyłącznego, ani decydującego głosu w kwestii ostatecznego kształtu apeli o pomoc na Siepomaga.pl, czyli najpopularniejszej tego typu platformie pomocowej.

Gdy jednak chcemy porozmawiać o sprawie z władzami portalu, otrzymujemy z dawkowego maila. „Jako Fundacja Siepomaga nie będziemy pełnić funkcji →

→ pola bitwy dla walki rodzic kontra rodzic. Ci wszyscy ludzie są w ciężkiej sytuacji. My staramy się pomóc tym, którzy do nas się zwrócili, bo to możemy zrobić. Opinie rodziców co do leczenia są różne. Różne są również opinie lekarzy (w zbiorze rodziców chorych dzieci również są lekarze). Każdy z nich ma prawo do opowiedzenia swojej historii. Rozumiemy interesy Fundacji SMA. W organizacji są również rodzice chorych dzieci” – pisze prezes Monika Urban, ale na pytanie o odpowiedzialność za ostateczną treść apeli już nie odpowiada.

– Powiem wprost: przekaz, że nusinersen nie działa, jest oszukiwaniem darczyńców – podkreśla Kacper Ruciński, potwierdzając informację o tym, że to portal odpowiada za treści apeli. – Wielu rodziców mówi nam wprost: nie mają wielkiego wpływu na to, co ostatecznie się tam pojawia. Gdy prosimy, by wymogli na Siepomaga.pl jakąś zmianę, czasami się udaje, zawsze jednak to portal decyduje o ostatecznym kształcie tekstu.

Batalia o przesiew

Od walki o refundację kolejnych leków (na horyzoncie jest eksperymentalny risdiplam; decyzja o jego rejestracji w USA zapadnie w maju) istotniejsza może okazać się inna batalia, o której w przekazach medialnych ciszej. Chodzi o starania, by SMA objąć programem badań przesiewowych.

Na czym polegają? Każdego noworodka bada się dzisiaj pod kątem wystąpienia ponad 20 chorób, m.in. fenyloke-



KACPER RUCIŃSKI:

Po diagnozie o SMA rodzice chwytają się każdej deski ratunku i to jest naturalne.

tonurii czy mukowiscydozy. – Polska ma świetny program badań przesiewowych, to jedna z tych rzeczy, z których możemy być dumni – podkreśla prof. Kostera-Pruszczyk. I tłumaczy, dlaczego włączenie SMA do programu mogłoby się okazać kolejnym przełomem w leczeniu choroby: – Podanie leku przed wystąpieniem objawów daje nam wymarzony pułap skuteczności. Wiemy to, bo takich pacjentów mamy. Najmłodszy, który w ramach refundacji otrzymał w Polsce le-

czenie nusinersenem, miał dwie doby. Dziecko jest leczone przez zespół neurologów dziecięcych z Rzeszowa pod kierunkiem dr Elżbiety Czyżyk. Wykryć chorobę tak wcześnie, mimo braku badań przesiewowych, udało się dlatego, że wcześniej chorowało rodzeństwo tego dziecka. My również mamy swoje obserwacje dzieci, które zaczęły leczenie przed objawowo za granicą. Tu również obserwujemy coś, co można by nazwać cudem medycyny: chorujące na SMA dzieci rozwijają się normalnie. To pokazuje, jak ważne jest wczesne leczenie, a więc jak ważne byłoby wprowadzenie badań przesiewowych dla SMA.

– Mamy dostępny relatywnie prosty test: badanie genetyczne, które w 97 proc. przypadków wychwytywa chorobę – dodaje prof. Kostera-Pruszczyk. – Mamy pracownię, która może to zadanie zrealizować. I mamy refundowany dla wszystkich lek. A więc spełniamy wszystkie warunki, by rozpocząć leczenie natychmiast, gdy jest ono najskuteczniejsze.

Wszystkie warunki, poza jednym: decyzją o włączeniu SMA do programu badań przesiewowych. Gdyby i ta batalia – podobnie jak refundacja nusinersenu – zakończyła się powodzeniem środowiska chorych, SMA ze schorzenia wywołującego jeszcze dekadę temu rozpacz i rezygnację setek ludzi zamieniłaby się ostatecznie w schorzenie ciężkie, ale w niemal stu procentach przypadków wyleczalne. I to bez opuszczania kraju.

©© PRZEMYŚLAW WILCZYŃSKI,
MACIEJ MÜLLER

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabiń,
Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiatkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdań, Sylwia Frolow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczmieńska (kierownik),
Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz,
Monika Ochędowska, Mateusz Gawron,
Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Fetietoniści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dzięwił-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Kłata, Stanisław Manciewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozłowska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyć, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocun, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczmieńska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83,
prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.



„TP” 7 / 2020

Na kolizyjnym kursie

W tekście Olafa Osicy została użyta piękna metafora zmiany polityki obecnego rządu w stosunku do polityki poprzedników. „Zwrot przez rufę” – miał obrazować zawrócenie z drogi integracji europejskiej na rzecz polexitu, czyli radykalną zmianę kursu. Tymczasem zwrot przez rufę, piękny, trudny technicznie oraz dynamiczny manewr w żegludze,

podczas którego wiele się na łodzi dzieje, jest jednym z mających przybliżyć załogę do wcześniej obranego celu. Kurs jachtu zasadniczo się po jego wykonaniu nie zmienia. Położenie natomiast zmieniają, i to o 180 stopni – żagle. Wypełnione wiązaniem od strony rufy (stąd nazwa zwrotu) wiatrem po jednej stronie jachtu, podczas manewru zostają przeniesione na drugą stronę – i tak samo rozpostarte szeroko. Wygląda to bardzo atrakcyjnie – widok bomu przelatującego nad głowami bywa niezapomniany! Wobec tego użycie metafory „zwrotu przez rufę” w odniesieniu do radykalnej zmiany jest kuszące, ale jednak nieuprawnione. Gdyby pozostać w sferze żeglarskich metafor, bardziej uprawnionym byłoby chyba stwierdzenie,

że rząd „odpadł” od wytyczonego wcześniej kursu i na fali narodowych sentymentów dryfuje w stronę polexitu. Choć też nie do końca: żeglarstwo jest sportem podporządkowanym prawu, nawet jeśli to tylko prawo fizyki.

CZYTELNICY – ŻEGLARZE

Pierwsze zapisane zdania

Serdecznie dziękuję za publikację „Jerzy Turowicz. Książka do pisania”. To był wspaniały pomysł jubileuszowy „Tygodnika”. Zwłaszcza dla najstarszego pokolenia czytelników, do których należę. Mogę patrzeć i wspominać znane i szanowane przeze mnie osoby, mogę czytać cenne i aktualne fragmenty ich

tekstów. Mogłam sięgnąć pamięcią do przełomu lat 40. i 50., kiedy moja matka, bibliotekarka Książnicy Miejskiej w Toruniu, skrupulatnie składała w domu przeczytane „Tygodniki Powszechnie”, by potem kolejny rocznik ofiarować bibliotece. Nawet format „Książki do pisania” każe się z nią zaprzyjaźnić! A pierwszym zapisanym tekstem jest to, czym się dzielę z aktualną redakcją „TP” w podziękowaniu.

ELŻBIETA SMUŁKOWA

Autorzy
opublikowanych
listów dostaną
od nas notes
TUROWICZ
na 75-lecie.



REKLAMA

Wierzimy, że warto pomagać

JEDENPROCENT.CARITAS.PL

indywidualnie,
rodzinnie,
zawsze

KRS 0000198645



PRZEKAŻ **1%**
DLA CARITAS

PAWEŁ

Śpiewak: Piekarz, garncarz, artysta



CZŁOWIEK JEST JEDYNĄ ISTOTĄ STWORZONĄ z lepkiego połączenia wody i ziemi. Raszi komentował: „Po to, by stworzyć człowieka, głębiny wypuściły opary wodne, te zrodziły chmury i nawodniły pył ziemi i tak oto człowiek został stworzony jakby przez piekarza, który dodawał wody do ciasta, a potem je wymiesił! Najpierw wygniatał, a potem Bóg stworzył człowieka”. W pierwszym opisie stwarzania Bóg czyni to aktem mowy. A tylko człowiek, pisał Raszi, powstał z rąk Elohim. Tak jak mówi Psalm 139; „Kładziesz na mnie rękę swoją”. Mniej ważne są antropomorficzne wyrażenia, ważniejsze, że Bóg z najwyższą ostrożnością zabrał się w tym przypadku do dzieła, by nie wdarł się w Jego prace pierwotny chaos.

Inni komentatorzy sięgają po postać garncarza. Ten zwykle zna materię, z którą pracuje, i jak dodawał Jeremiasz (18, 4): „A gdy naczynie, które robił ręcznie z gliny, nie udało się – wtedy zaczął z niej robić inne naczynie, jak garncarzowi wydawało się, że powinno być zrobione”. Jest jeszcze inny wymiar związku między garncarzem a gliną. „I wtedy doszło do mnie słowo Pana, Domu Izraela, czy nie powinienem postępować z tobą jak garncarz? Rzekł Bóg. Tak jak glina w dłoniach garncarza, tak ty jesteś w moich rękach, Domu Izraela. W jednej chwili mogę zadekretować, że naród lub królestwo zostaną wyrwane z korzeniami, ale jeśli naród, przeciw któremu oznajmiłem dekret, odwróci się od grzechu, zmienię zdanie i cofnę swoje kary. W innej chwili mogę oznajmić, że naród lub królestwo powstanie i zostanie zasadzone, a gdy mnie zawiedzie i nie będzie mi posłuszne, zmienię zdanie i nie obdarzę je dobrem”. Tylko Bóg może stworzyć i zniszczyć człowieka. Jest w tym jakaś gra. Podobna wysiłkowi artysty, który może obraz poprawiać, niszczyć, zaczynać od nowa. Jest wolny, ale poznaje w pracy nad dziełem swoje ograniczenia. To, co powstaje, ma swoją autonomię i wewnętrzną siłę, nad którą nikt, nawet artysta, nie panuje. Jak mówiło mi wielu pisarzy, to oni piszą, ale słowa wyrastają z aktu pisania, z palców trzymających pióro, z nieświadomości. Piszą coś, czego nie pomyśleli, nie zaplanowali, ba, nie mieli przed chwilą tego w głowie. Dzieło artystyczne zda się, że powinno wręcz żyć samo i zaskakiwać nie tylko czytelników, ale i samego autora. Takim zapewne dziełem był człowiek. Stworzony z wielką ostrożnością, jako byt doskonały, ale wolny w swoim szaleństwie. W biblijnej opowieści Bóg rzeczywiście zmienił zdanie o dziele swoich rąk i zniszczył świat Powodział.

Jak pisał wielki Raszi: „Oplakiwał utratę dzieła swoich rąk”. W tym mieście się ryzyko wpisane w sztukę. Jest w niej to, co niespodziewane, i klęska. Oboje są podatni na zranienie – twórca (Stwórca) i dzieło. Są ze sobą związani węzłem czułości, a w niej zawsze jest też miejsce na rozczarowanie. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Rodzinny post



WIELKI POST, SZUMNA NAZWA, ZA KTÓRĄ jednak wielkości jak na lekarstwo. Za postny obiad, np. z dorszem, trzeba zapłacić znacznie więcej niż za schabowego, nie mówiąc już o krewetkach. Jeśli więc post miał polegać na rezygnacji z luksusu, a takim było mięso, to dzisiaj te potrawy nie są już żadnym rarytasem. Bywa nawet, że przestrzeganie gastronomicznego postu prowadzi do ośmieszenia tej zbawiennej praktyki.

W pewnym mieście, podzielonym na dwie diecezje, granica biegnie środkiem rzeki, przepoławiającej miasto. Z racji jakiegoś święta jeden biskup udzielił swoim diecezjanom dyspensy, ale drugi nie. Mówiono potem, że ci bez dyspensy całe święto okupywali tę zdyspensowaną połowę miasta, zawzięcie grillując. Na szczęście prohibicji na alkohol nie zaordynowano. Jak widać, z postem jest tak samo, jak z innymi pobożnymi praktykami. Jedne odchodzą do historii, inne przychodzą na ich miejsce również po to, by ustąpić następnym i nie ma co z tego powodu rozpaczć nad upadkiem Kościoła. Bardziej po chrześcijańsku będzie, gdy poszukamy właściwych dla naszych czasów sposobów poszczenia.

W wywiadzie dla „Daily Mirror” Bill Gates mówi, że kiedy z żoną zauważyli, iż jedno z ich dzieci zaczyna zbyt często grać na komputerze, zaczęli dzieciom ograniczać dostęp do technologii. Najpierw ustalili czas, w którym całą rodziną nie korzystają z telefonów. Uczą też dzieci, jak korzystać z elektroniki podczas odrabiania lekcji czy do utrzymywania kontaktów z przyjaciółmi. Dalej Gates mówił: „podczas posiłku nigdy nie kładziemy smartfonów na stół. Nie daliśmy dzieciom telefonów komórkowych, dopóki nie skończyły 14 lat”. Gatesowie założyli więc post dzieciom, ale również sobie, gdy zauważyli, że ich dzieci, korzystając nadmiernie z elektroniki, tracą kontakt z rzeczywistością i przenoszą się w świat wirtualny.

W pierwszą niedzielę postu czyta się ewangelię o kuszeniu Jezusa na pustyni. W naszych czasach szczególnie aktualna wydaje się być pokusa ostatnia: „Wyprowadził go diabeł na bardzo wysoką górę, pokazał Mu wszystkie królestwa świata z całym ich przepychem i powiedział: »Dam Ci to wszystko, jeśli upadniesz na kolana i oddasz mi hołd«. Lecz Jezus mu odpowiedział: »Idź precz, szatanie! Bo napisano: Panu, twemu Bogu, będziesz oddawał hołd i tylko Jego będziesz czcił«. Wtedy opuścił Go diabeł, a zbliżyli się do Niego aniołowie i służyli Mu”. Jak na diabła przystało, obiecuje dać to, czego nie posiada. Coś podobnego dzieje się w mediach, które zacierając granicę między światem realnie istniejącym a istniejącym wirtualnie potrafią, zwłaszcza dziecko, uwieść i uwięzić w ułudzie. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Jakubowa skala wartości

*Myślisz sobie niekiedy,
że człowiek powinien tego
unikać, a tamtego szukać.*

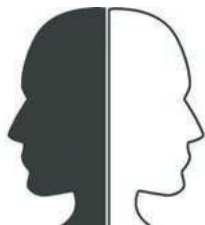
*(...) Jeśli nie uciekniesz
od siebie samego,
wtedy bądź pewny,
że dokądkolwiek
pobiegiesz, gdziekolwiek
się znajdziesz,
zawsze natrafisz
na przeszkody i niepokój.*

MISTRZ ECKHART



*Podejmować praktykę,
by przebudzić się i pojąć
zjawiska tego świata,
wychodząc od „ja”
i trzymając się „ja”
– to ułuda.*

DOGEN KIGEN



Wybrał PIOTR SIKORA



BRACIA MOI, NIECH wiara wasza (...) nie ma względu na osoby” – pisze św. Jakub w liście, który od jakiegoś czasu odczytujemy na

naszych codziennych liturgiach. I natychmiast daje przykład takiego nagannego postępowania: „Bo gdyby przyszedł na wasze zgromadzenie człowiek przystrojony w złote pierścienie i bogatą szatę, i przybył także człowiek ubogi w zabrudzonej szacie, a wy spojrzycie na bogato przyodzianego i powiecie: »Ty usiądź na zaszczytnym miejscu«, do uboższego zaś powiecie: »Stań sobie tam albo usiądź u podnóżka mojego«, to czy nie czynicie różnic między sobą i nie stajecie się sędziami przewrotnymi?” (Jk 2, 1-4).

Sędziowie przewrotni – kto zasługuje na takie określenie? Czy nie ktoś, kto oceniając rzeczywistość przewraca do góry nogami właściwy system wartości? Przy czym „właściwy” oznacza dla Jakuba po prostu tyle, co ustanowiony przez Boga. Jesteśmy sędziami przewrotnymi, gdy oceniamy odwrotnie niż Bóg: gdy wybieramy przeciwnie niż On, w niezgodzie z ustaloną przez Niego skalą wartości, gdy pomijamy ludzi, sprawy, dla Niego ważne i pierwszoplanowe, a wywyższamy i promujemy to, co u Niego – choć dobre – nie zajmuje pierwszego miejsca.

Widać stąd, że nie chodzi tu wcale o proste przeciwstawienie ubogich bogatym, nawet jeśli kolejne trzy wersety

zdają się sugerować taki kierunek myślenia („Czy Bóg nie wybrał ubogich tego świata na bogatych w wierze oraz na dziedziców królestwa? Czy to nie bogaci uciskają was bezwzględnie? Czy nie oni bluźnią zaszczytnemu Imieniu, które wypowiedziano nad wami?”). Jeśli Bóg „naprawdę nie ma względu na osoby” (zob. Dz 10, 34), to ostatecznie bliski jest Mu każdy człowiek, niezależnie od jego stanu posiadania – jednakowo Mu zależy na bogatym i biednym, jeden i drugi mają w Jego oczach taką samą, tzn. nieskończoną wartość; pieniądź nie jest w stanie niczego do niej dodać ani niczego z niej ująć.

Dlatego też ostateczne (a nie uproszczone) pouczenie pada w wersetach 8. i 9. Jakub pisze: „Jeśli przeto zgodnie z Pismem wypełnicie królewskie Prawo: »Będziesz miłował bliźniego swego jak siebie samego«, dobrze czynicie. Jeżeli zaś kierujecie się względem na osobę, popełnicie grzech, i Prawo potępi was jako przestępców”. Mówiąc dosadniej, autor listu wyzywa nas, byśmy postavili sobie pytanie o to, dlaczego posadziliśmy bogatego człowieka na zaszczytnym miejscu. Jeśli uczyniliśmy to kierując się miłością do niego – to wszystko jest dobrze; jeśli natomiast zrobiliśmy to z miłości do jego pieniędzy, pozycji i możliwości – to jesteśmy sędziami przewrotnymi. Nie dlatego, że postaviliśmy bogatego przed ubogim. Dlatego że postaviliśmy pieniądze ponad człowiekiem. A to jest ciężki grzech i tytuł do potępienia. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (1 – 8 III)

1. niedziela Wielkiego Postu: Rdz 2, 7-9; 3, 1-7;

Ps 51; Rz 5, 12-19; Mt 4, 1-11;

Poniedziałek: Kpł 19, 1-2. 11-18;

Ps 19; Mt 25, 31-46;

Wtorek: Iz 55, 10-11; Ps 34; Mt 6, 7-15;

Środa: Syr 51, 13-20; Ps 16; Flp 3, 8-14; J 15, 9-17;

Czwartek: Est 4, 17k. l-m. r-u;

Ps 138; Mt 7, 7-12;

Piątek: Ez 18, 21-28; Ps 130; Mt 5, 20-26;

Sobota: Pwt 26, 16-19; Ps 119; Mt 5, 43-48;

2. niedziela Wielkiego Postu: Rdz 12, 1-4a;

Ps 33; 2 Tm 1, 8b-10; Mt 17, 1-9.



SPIESZ SIĘ POWOLI

Przesłanie „oddajmy politykę obywatelom”
nie musi być ożywcze. Zbyt ambitne obietnice odnowy
muszą prowadzić do rozczarowania,
na którym skorzystają tylko populiści.

PAWEŁ MARCZEWSKI

W WYWIADACH, KTÓRYCH UDZIELA Szymon Hołownia, to nazwisko nie pada. Kiedy bezpartyjny kandydat na prezydenta mówi o „premiu za innowację”, która pozwala zwyciężyć w wyborach, wymienia Wołodymyra Zełenskigo na Ukrainie i Zuzanę Čaputovą na Słowacji. Ale jego pomysł zarówno na kampanię, jak i na prezydenturę ma jeszcze jedną, o wiele wyraźniejszą, inspirację – Baracka Obamę.

Co może łączyć pierwszego czarnoskórego prezydenta kraju naznaczonego piętnem niewolnictwa z reprezentantem katolickiej większości, wprawdzie otwartym na rozmowę, ale który w szczególnie palących kwestiach, jak prawo do aborcji czy równouprawnienie związków jednopłciowych, nie odbiega zasadniczo od głównego nurtu? Wydaje się, że trudno w ogóle porównywać potencjał radykalnego przewartościowania krajowej polityki w obu tych przypadkach. Nie chcąc narazić się na złośliwości i oskarżenia o megalomanię, Hołownia unika przywoływania przykładu z Ameryki.

Spóźniony uczeń

Mimo oczywistych różnic te dwie postacie łączy jednak całkiem sporo. Zwłaszcza jeśli zapomnimy na chwilę o Obamie wyprowadzającym się z Białego Domu po dwóch kadencjach i przypomnimy sobie, jak wyglądały początki jego pierwszej kampanii. Wtedy okazało się, że obaj lokują się świadomie poza główną ośią sporu politycznego. Obiecywana przez nich nowa jakość w polityce ma polegać na zawieszeniu albo wręcz unieważnieniu fundamentalnych, tożsamościowych podziałów wyznaczających kształt zastanej przez nich sceny politycznej.

Obama rozpoczynając kampanię w 2008 r. chce być prezydentem ponadpartyjnym i „postrasowym”, obiecuje zakończyć swoistą bezkrwawą wojnę domową, jaka wybuchła w Stanach po 11 września, wprowadzeniu Patriot Act i inwazji na Irak. Postuluje na przykład zamknięcie więzienia w Guantanamo, ale jednocześnie zarzeka się, że nie będzie rozliczeń za tortury, jakich dopuszczano się na przetrzymywanych tam więźniach. Przedstawia perspektywę wyboru pierwszego czarnoskórego prezydenta jako wielki przełom, ale jednocześnie dowód na wieczną żywotność →

*Prezydent Obama w Warszawie.
4 czerwca 2014 r.*



JAKUB KAMIŃSKI / EAST NEWS

→ amerykańskiego snu, spełnienie obietnicy równości i sprawiedliwości dla wszystkich, a nie rozliczenie z brzemieniem niewolnictwa.

Szymon Hołownia jak dotąd nie mówi nic o godzeniu Polski pańskiej z chłopską, ale jego obietnica wyjścia poza podział na Polskę PiS-u i Polskę PO, zakończenia polaryzacji przyjmującej postać fundamentalnego konfliktu wartości, nie odbiega aż tak daleko od podjętej przez Obamę próby wyprowadzenia Ameryki z epoki Busha.

Obu polityków poza zasadniczym przesłaniem kampanii – ponadpartyjnością, a wręcz obietnicą unieważnienia sporu partyjnego i podziałów tożsamościowych, których ten spór jest pochodną – łączy też wygrywanie jej obywatelskiego charakteru. Drobne wpłaty z wielu źródeł zamiast kilku możliwych donatorów, sprawne i niekiedy faktycznie innowacyjne wykorzystanie mediów społecznościowych, sztab wyborczy, w którym jest miejsce nie tylko dla wyjadaczy od sondaży i wizerunku, ale też dla grona młodych zapaleńców – to rozwiązania może nie szczególnie odkrywcze, ale ożywcze w dobie wielkiego znużenia budzącymi coraz mniejsze zaufanie partiami politycznymi.

Sam sposób prowadzenia kampanii staje się tu elementem programu i wizerunku, ma uwiarygadniać główny przekaz. Nie przypadkiem Hołownia tak mocno podkreśla, że jego kampania będzie sfinansowana ze zbiórki społecznościowej, a jej nowatorski charakter nie może zostać zawczasu ujawniony, bo inni kandydaci mogliby go skopiować.

Obama, ogłaszając walkę o nominację, też był traktowany pobłażliwie, zarówno przez komentatorów, jak i partyjnych wyjadaczy, ale miał za sobą doświadczenie zarówno w senacie stanu Illinois, jak i przytłaczające zwycięstwo w wyborach do senatu krajowego w 2004 r. I mimo całej otoczki kandydata spoza głównego nurtu dobrze rozumiał meandry polityki partyjnej, którą Hołownia wydaje się raczej brzydzić. Nie oznacza to, że nie może się jej nauczyć jako człowiek z zewnątrz, ale najpierw musiałby uświadomić sobie, iż politykę partyjną przekroczyć może tylko ktoś, kto rozumie jej zasady i potrafi je, tak jak Obama, wykorzystać przeciwko nim samym.

Nawet jeśli zdobędzie makiaweliczną wiedzę o realiach polityki partyjnej, po-

zostając jednocześnie wiarygodnym jako herold ponadpartyjności i zgody narodowej, Hołownia stanie przed poważniejszą przeszkodą. Otóż Barack Obama zdobywając fotel prezydencki symbolicznie rozpoczął współczesną epokę ponadpartyjnej obietnicy, ale sprawując władzę dokonał po ośmiu latach również jej symbolicznego zamknięcia.

A potem nadszedł kompromis

Tuż przed jego zwycięstwem w 2008 r. John Judis, wytrawny publicysta m.in. „The New Republic” i zarazem przekonany Demokrat z dobrym rozeznanie w wewnętrzpartyjnych rozgrywkach, pisał, że jego początkowy sceptycyzm wobec Obamy zastąpił niemal bezwarunkowy entuzjazm i przekonanie, iż młody stażem senator w prezydenckiej roli może się okazać „nowym Adamem”, odnowicielem amerykańskiego życia politycznego, którego kraj raz na kilka pokoleń bardzo potrzebuje. Obama okazał się prezydentem niekiedy bardzo skutecznym. Wbrew ogromnemu sprzeciwowi oponentów politycznych potrafił np. przełamać wprowadzenie w USA systemu ubezpieczeń zdrowotnych, radykalnie poprawiającego dostęp do opieki medycznej. Ale ani w sferze gospodarczej, ani w polityce międzynarodowej nie okazał się odnowicielem. Całkowicie świadomie wybrał rolę raczej spokojnego reformatora niż rewolucjonisty.

Być może tak właśnie rozumiał realizację swoich obietnic wyborczych, ale dla wielu niedysyjszych zwolenników, wiążących z jego wygraną ogromne nadzieje, było to stanowczo za mało. A jednocześnie wystarczająco dużo, by zmobilizować rzesze oponentów i pozwolić im zewrzeć szeregi. Bez tego kontrastu między oczekiwaniami a rzeczywistością, bez kompromisu, który dla jednych był zdradą, a dla drugich oznaką słabości i niezdecydowania, nie byłoby zapewne zwycięstwa Donalda Trumpa.

W pułapce hipokryzji

Kandydaci „spoza systemu”, obiecujący przekroczenie partyjnych podziałów, to inna kategoria niż populistyczni politycy antysystemowi. Ci pierwsi zapowiadają odnowę demokratycznego życia politycznego, podważenie utrwalonych i dobrze okopanych interesów grupowych, autentyczną reprezentację szerokim rzeszom obywateli, ale w przeciwieństwie do po-

pulistów pozostają przywiązani do zasad liberalnego państwa prawa. Nawet wydając kontrowersyjne decyzje o eliminowaniu terrorystów za pomocą dronów, Obama dokładał starań, by zespół prawników za każdym razem znajdował dla nich uzasadnienie prawne.

To, co miało zgodnie z intencjami zapewnić zgodność nawet bardzo dyskusyjnych poczynań z wymogami praworządności, dla wielu było jedynie pokazem hipokryzji. Kiedy w październiku 2019 r. amerykańskie oddziały specjalne zabiły Abu Bakra Al-Baghdadię, przywódcę Państwa Islamskiego, media obieły nagrania Trumpa, który chwalił się tą akcją swoich sił specjalnych zestawione z wyważonym komunikatem Obamy po zabiciu Osamy bin Ladena w maju 2011 r. podczas rajdu komandosów na jego kryjówkę w Pakistanie. Miało to przekonać widzów, że Obama był o wiele bardziej szacowny i godny urzędu prezydenta. Dla sporej części odbiorców ten montaż odniósł efekt zupełnie odwrotny do zamierzanego. W obu przypadkach mieliśmy do czynienia z egzekucją pozasądową. Okazało się, że dla wielu osób Trump przynajmniej nie owija w bawełnę i nazywa rzeczy po imieniu.

Te dwa zupełnie inne sposoby ogłoszenia w istocie bardzo podobnego posunięcia, które ma budować autorytet władzy i pokazywać nieustępliwość prezydenta, dobrze pokazują, jak polityka w zamierzeniu ponadpartyjna i „ogrywająca” system uzyskuje mroczny, populistyczny rewers.

Populiści, podobnie jak ponadpartyjni odnowiciele, stawiają się w roli trybunów ludowych, wyrazicieli autentycznych potrzeb i emocji swoich wyborców. Różnica polega na tym, że populistę uważa, iż jego elektorat jest tożsamy ze społeczeństwem, a w każdym razie z jego zdrową, patriotyczną częścią i do niej tylko się odwołuje. Polityk „pozasystemowy” świadom jest niemożliwych do całkowitego wyeliminowania różnic między różnymi grupami społecznymi.

Obaj obiecują unieważnienie tych różnic – pierwszy siłą i propagandą, drugi za pomocą dialogu. Kiedy dialog zawodzi – a jeśli oczekujemy, że przyniesie szybkie rezultaty, zawodzi niemal zawsze – populistyczne rozwiązanie zyskuje na popularności. Kiedy „nowy Adam” nie spełniła pokładanych w nim nadziei, łaskawie patrzy się na „nowego Kaina”.

Czy można ufać outsiderom?

Polityczne przesłanie Hołowni, „oddajmy politykę obywatelom”, może okazać się spóźnione nie tylko wobec światowej polityki, w której kandydaci spoza systemu zdążyli już rozczarować i ustąpić miejsca populistom, ale również wobec naszego krajowego podwórka. Wydaje się ożywcze wobec pogłębiającej się polaryzacji społecznej, ale wcale nie jest nowe. Szeręg polityków używało go wielokrotnie w odpowiedzi na coraz niższe zaufanie do partii i całej klasy politycznej.

Zanim zrobił to Paweł Kukiz i jego ugrupowanie, które po uzyskaniu bardzo dobrego wyniku w 2015 r. konsekwentnie przypominało, że nie jest partią, tylko ruchem społecznym, próbowała tego Platforma Obywatelska, usiłująca wyjść poza dominujący w chwili jej powstawania podział na postkomunistów i postsolidarnościowców. U swojego zarania miała być czymś więcej niż partią – miała być organizacją dla wszystkich, którym marzyła się Polska nowoczesna, niezapatrzona w przeszłość, stawiająca przede wszystkim na poprawę infrastruktury i integrację z Europą. Z tego marzenia w gruncie rzeczy nigdy nie zrezygnowała i jest to w moim przekonaniu jedną z zasadniczych przyczyn jej niepowodzeń w formułowaniu wiarygodnej alternatywnej narracji w warunkach dominacji Prawa i Sprawiedliwości.

Z poprzednich porażek ponadpartyjnej, pozasystemowej polityki, a przede wszystkim z faktu, że paradoksalnie częściowo przygotowała grunt pod populizm, nie wynika jednak jeszcze, że próby uprawiania jej bliżej obywateli są z góry skazane na porażkę. Co więcej: wobec kryzysu zaufania do instytucji demokracji przedstawicielskiej wydają się niezbędne. O ile chcemy ocalić wiarę w demokrację jako ustrój, który nie tylko pozwala ludziom wyrazić bez skrupowania swoje frustracje, ale też wyłonić przedstawicieli z rzeczywistym mandatem społecznym i zdolnych do, potrzebnych działań naprawczych.

Odnawiciele, którzy obejmowali urzędy z olbrzymim kredytem zaufania i bardzo długo uchodzili za wyjątkowych przez swoją „fajność” i „normalność”, prędzej czy później zawodzili pokładane w nich nadzieje. Obama nie zbudował Ameryki bez podziałów rasowych i dla wielu niedysyjszych zwolenników, zgadzając się na używanie dronów do eg-

Hołownia nie mówi o godzeniu Polski pańskiej z chłopską,

ale jego obietnica zakończenia fundamentalnego konfliktu wartości nie odbiega aż tak daleko od podjętej przez Obamę daremnej próby wyprowadzenia Ameryki z epoki Busha.

zekucji pozasądowych, wszedł w nieco czystsze i lepiej wykonane, ale w istocie te same buty, które przed nim nosił Bush junior. Justin Trudeau, czempion równouprawnienia i otwartości na uchodźców, skończył pierwszą kadencję obciążony poważnym naruszeniem etyki (usiłował stordedować proces korupcyjny firmy deweloperskiej SNC-Lavalin).

Wielu rywali tych niegdyś wzorcowych demokratów ma z pewnością na koncie dużo poważniejsze przewiny, ale w ich przypadku kontrast między nadzieją a rzeczywistością jest szczególnie dotkliwy.

Skromne cele

Tego rozdzwieku – i jego negatywnych konsekwencji dla samych polityków spoza systemu oraz dla instytucji demokratycznych – można jednak uniknąć. To możliwe, jeśli odnowicielski wysiłek będzie skierowany na wyzwania i problemy, które polityk ma szansę naprawdę rozwiązać. Nawet jeżeli te cele są o wiele skromniejsze niż przezwyciężenie podziałów rasowych czy polaryzacji społecznej.

Dobrym przykładem polityka ponadpartyjnego, któremu udało się nie tylko wygrać wybory, ale po kilku latach poprawić notowania i zapewnić sobie autentyczne poparcie, jest austriacki prezydent Alexander van der Bellen. Jego droga do zwycięstwa nie była łatwa, ostro atakowany przez skrajną prawicę, która doprowadziła do powtórzenia drugiej tury wyborów, nie porzucił swoich pryncypiów. Gdy kryzys uchodził był daleki

od zakończenia, a sporo polityków, nie tylko na prawicy, zaczęło lansować rozwiązania oparte na bilateralnych porozumieniach z państwami bałkańskimi, a nie wynegocjowane w Brukseli, uparcie przekonywał, że Austria powinna pozostać otwarta i wyraźnie proeuropejska. Jeździł po kraju, budował sobie lokalne poparcie (taka wytrwałość może się okazać akurat jednym z większych atutów Hołowni). Wszystkich nie przekonał, i przekonać nie mógł, ale okazał się wystarczająco wiarygodny, by w dogrywce wyraźnie poprawić swój wynik. Doceniono zwłaszcza jego wyraźne stanowisko w sprawach, które faktycznie należą do dość ograniczonych kompetencji prezydenta.

Prawdziwy test przyszedł jednak wraz z tak zwaną aferą z Ibizy, która doprowadziła do rozpadu rządzącej koalicji chadeków i skrajnej prawicy oraz przedterminowych wyborów. Van der Bellen nie miał powodu, by kibicować politykom skompromitowanym przez skandal. Nie uległ jednak pokusie rewanżyzmu czy promowania interesów politycznych środowiska Zielonych, z którego się wywodził i które mogło na aferze coś ugrać. Zamiast tego stał na straży zasad konstytucyjnych, szybko powołał sprawny rząd tymczasowy i dbał, by na skandalu nie ucierpiał autorytet państwa. Jego notowania, utrzymujące się od zwycięstwa wyborczego na stałym poziomie, poszły znacząco w górę i wiosną 2019 r. jego pracę pozytywnie oceniało 76 proc. ankietowanych – to wynik, którego może pozazdrościć każdy prezydent i dowód przezwyciężenia podziałów partyjnych i społecznych.

Ten przykład wskazuje, że polityka ponadpartyjna jest możliwa i niekoniecznie musi w dłuższej perspektywie prowadzić do tryumfu populistów. Powinna jednak przekuć szczytne postulaty zgody narodowej na przyziemną praktykę polityczną, co w sytuacji kryzysów, afer czy skandali oznacza przede wszystkim stanie na straży praworządności i międzynarodowych standardów. W tej dziedzinie prezydent może akurat bardzo dużo również w Polsce – i to, czy korzysta z tych możliwości, jest prawdziwym testem na jego ponadpartyjność.

© PAWEŁ MARCZEWSKI

Autor jest szefem działu Obywateli w forumIdei, think tanku Fundacji Batorego.

Kokosy i CoCos-y

MAREK RABIJ

W Polsce przestaje się opłacać prowadzenie banku – twierdzą kolejni przedstawiciele tej branży. Ale czy opłaca się jeszcze być klientem banku?

OPLACALNOŚĆ TO POJĘCIE WZGLĘDNE, dlatego coś, o czym posiadacze lokat oprocentowanych na właściwie homeopatycznych warunkach mogą dziś tylko marzyć, polskim bankowcom jawi się jak kres pewnej epoki. Według wstępnych obliczeń Narodowego Banku Polskiego żaden bank komercyjny w Polsce nie osiągnął w ubiegłym roku 10-procentowego progu rentowności. Większość musiała zadowolić się wynikiem w okolicach 7 proc., choć jeszcze na początku tej dekady bez trudu wycisnęła 13-14 proc.

Być może to zbieg okoliczności, ale informacja o coraz krótszej koldercie rodzimego rynku bankowego zbiegła się w czasie z pogłoskami o wyjściu z Polski hiszpańskiej grupy Santander, która kilka lat temu przejęła BZ WBK. Wcześniej gotowość sprzedaży swojego mBanku zadeklarował niemiecki Commerzbank. A przecież rynek huczy także od plotek o niepewnej przyszłości Alior Banku, który mógłby zostać wchłonięty przez Pekao SA, możliwej sprzedaży polskiej części Credit Agricole i wyjściu amerykańskiej Citigroup z Banku Handlowego.

„Banki się kończą” – deklarował kilkanaście miesięcy temu w wywiadach Wojciech Sobieraj, jeden z najzdolniejszych polskich menedżerów bankowych. Trudno się z nim nie zgodzić patrząc chociażby na sieć placówek bankowych, która w 2018 r. – na nowsze dane jeszcze poczekamy – stopniała o 226, a pracę w nich straciło kolejne 1,8 tys. osób.

Topniejące zyski

Konsolidacja, która bankowcom może się wydawać wolnorynkową odmianą doboru naturalnego, dla klientów oznacza jedno: osłabienie konkurencji, a wraz z nią droższe usługi. Z ponad 150 banków komercyjnych, które działały w Pol-

sce w połowie lat 90., w grze pozostały już tylko 32. I na tym nie koniec. W porównaniu z najbogatszymi krajami Europy polski rynek bankowy jest i tak bardziej rozdrobniony, kolejne połączenia i przejęcia są więc tylko kwestią czasu.

Bankowość zawsze była zabawą z dużymi pieniędzmi, a dziś potrzeba ich do niej jeszcze więcej. Mniejsza nawet o informatyczną stronę tego biznesu, którą polskie banki mają na wciąż nie najgorszym poziomie, choć ich zapewnieniom o miejscu w technologicznej awangardzie branży bliżej już do przechwałek niż prawdy. Po upadku Lehman Brothers, który udowodnił, że w bankowości bardziej niż reputacja liczy się kwartalny wynik finansowy i zależna od niego premia dla zarządu, przerażona Europa dokręciła branży regulacyjną śrubę. W górę poszły zwłaszcza wymagania co do wysokości kapitału własnego, by ewentualne bankructwa mniej biły w klientów i podatników. Ostatnia umowa Basel III narzuciła branży obowiązek wprowadzenia nowych zabezpieczeń zwanych obligacjami CoCos, które w pewnych okolicznościach automatycznie zmieniałyby się w akcje dla klientów. W Polsce do 2023 r. banki będą musiały zamrozić w CoCos-ach łącznie około 50-55 mld zł, czyli równowartość blisko czteroletnich zysków. Rentowność znów ucierpi, a przecież na horyzoncie narasta kolejna burza – kryzys frankowy.

Po ubiegłorocznej decyzji TSUE branża drży przed falą pozwów od frankowiczów i tworzy rezerwy na poczet przegranych. W tej chwili liczba pozwów sięga już 20 tysięcy i banki nie wiedzą, na jakiej liczbie się to zatrzyma. Aktywnych, wciąż spłacanych hipotek frankowych jest niepełna 460 tys., ale banki udzieliły łącznie 775 tys. kredytów indeksowanych do kursu szwajcarskiej waluty lub nią denominowanych. Istnieje spore ryzyko,

że gdyby sądy zaczęły masowo przyznawać rację kredytobiorcom, pozwy złożą także ci, którzy kredyty już spłacili. Niepokój bankowców budzi również kierunek orzecznictwa TSUE, który stwierdził, że umowę należy uznać za nieważną, jeśli nie można z niej wymontować zakazanej klauzuli indeksacyjnej. A stąd blisko do ćwiczonego już serio scenariusza, że po unieważnieniu umowy bank będzie musiał oddać klientowi wszystkie wpłacone przez niego pieniądze, ale może nie odzyskać kwoty, którą mu udostępnił na początku. Stwierdzenie przez sąd nieważności umowy kredytowej może ucylnić takie roszczenie bezpodstawnym.

Bank dla zamożnych

Trzymanie pieniędzy w banku przestaje jednak opłacać się także klientom. Przy inflacji, która z końcem stycznia sięgnęła 4,4 proc., utrzymywanie depozytów oprocentowanych średnio 1,6 proc. rocznie oznacza realną stratę rzędu 2,8 proc. w skali roku. O podwyżce stóp procentowych nie chce jednak słyszeć prezes NBP, który uspokaja, że ceny przestaną niebawem rosnać, a dotychczasowe straty zrekomensują Polakom kolejne podwyżki wynagrodzeń.

Jak to możliwe w obliczu inflacji, która po kilkunastu latach spokoju znów zerwała się NBP z łańcucha także na skutki szybko rosnących zarobków? Wyższe stopy oznaczałyby wprawdzie stopniową podwyżkę oprocentowania depozytów bankowych, ale też natychmiastowy skok kosztów kredytów – co uderzyłoby w konsumpcję napędzającą wzrost PKB, a rykoszetem także w dochody z podatku VAT, które są kluczowe dla budżetu. Zrównoważenie wydatków publicznych z wpływami podatkowymi rząd PiS przedstawia dziś jako swoje sztandarowe gospodarcze osiągnięcie. Dlatego trudno pozbyć się wrażenia, że mając do wyboru stan budżetu i stan domowych oszczędności, prezes Adam Głański – jeden ze współzałożycieli Porozumienia Centrum, które z czasem przeobraziło się w PiS – stawia po prostu na opcję wygodniejszą dla własnego zaplecza politycznego.

Szef NBP byłby może bardziej wrażliwy na głos bankowców, gdyby im także doskwierały niskie stopy procentowe, np. zniechęcając Polaków do oszczędzania w bankach. Sęk w tym, że jest dokładnie na odwrót. Dzięki rosną-

cym pensjom i wysokiej dynamice PKB polskie banki – zwłaszcza te największe – toną w gotówce. Tylko w 2018 r. łączna wartość samych depozytów złotówkowych wzrosła im o 130,3 mld zł, czyli aż o 10,5 proc. w skali zaledwie jednego roku. Rzecz w tym, że alternatywy dla kiepsko oprocentowanej lokaty bankowej brak. Polska giełda zapadła w letarg; wskaźnik WIG w ciągu ostatniego roku spadł z blisko 62 tys. do 54,8 tys. punktów, ilustrując los kursu większości akcji na stołecznym parkiecie. Obrót ziemią rolną, swego czasu bardzo atrakcyjną lokatą kapitału, zamroziły zmiany przepisów wprowadzone jeszcze przez poprzedni rząd PiS. Po demolce, jaką władze urządziły w systemie emerytalnym, mało kto ma również odwagę inwestować w fundusze emerytalne. Nadwyżki zawsze można ulokować w nieruchomościach, ale ich ceny w największych miastach zmierzają już do katastrofy zwanej fachowo pęknięciem bańki spekulacyjnej. Mając w tyle głowy kolejne zapowiedzi nadchodzącego spowolnienia, wielu Polaków woli odłożyć pieniądze na koncie, nawet za cenę realnej utraty części ich wartości.

Konsumpcyjny napęd

Przeciętny Polak, nawet średnio zainteresowany gospodarką, jest jednak nadal przekonany, że banki są sercem gospodarki. Branża oczywiście chce za taką uchodzić, aby cieszyć się szczególną ochroną ze strony państwa. W ten sposób aż do 2015 r. zdołała zatrzymać sobie m.in. anachroniczny przywilej bankowego tytułu egzekucyjnego. Dziś podobny ton zagrożenia dla płynności gospodarki pojawia się w wypowiedziach przedstawicieli banków szukających wsparcia państwa w narastającym konflikcie z frankowiczami. Tylko ile prawdy jest w hasło o bankach jako kole zamachowym gospodarki?

W 2018 r. nasze krajowe PKB urosło realnie aż o 5,1 proc. W około jednej czwartej wzrost ten wypracowały inwestycje: publiczne, jak i prywatne, finansowane często właśnie z kredytu. Na koniec 2018 r. łączna wartość kredytów udzielonych przedsiębiorstwom wzrosła do 373,1 mld zł. O wiele więcej, bo aż łącznie 708,4 mld zł, banki pożyczyły jednak gospodarstwu domowemu. W stosunku do PKB, które w tym czasie urosło do ponad 2,1 biliona złotych, kredyty dla firm

stanowiły w 2018 r. niespełna 17,7 proc. Kredyty dla osób fizycznych – ponad 33,4 proc.

Jeszcze w 2005 r. z każdych pożyczonych stu złotych 53 zł szły na finansowanie potrzeb klientów indywidualnych. W 2018 r. – już 65 zł, i to przy zmniejszonej podaży kredytów hipotecznych, wymuszonej zmianami prawnymi, które wprowadziły m.in. obowiązkowy limit 20 proc. wkładu własnego na zakup nieruchomości. Opowieść o bankach jako kole zamachowym polskiej gospodarki można więc uznać za zgodną z rzeczywistością, o ile opatrzy się ją przypisem: że chodzi przede wszystkim o konsumpcję. Bankowcy bardziej palą się do pożyczania na bezpieczne cele, jak mieszkania, samochody, pralki czy wakacje, niż do finansowania nowych biznesów o potencjalnie wysokiej stopie zwrotu, ale i sporym czasem ryzyku – czym z kolei uwielbiają się publicznie chwalić.

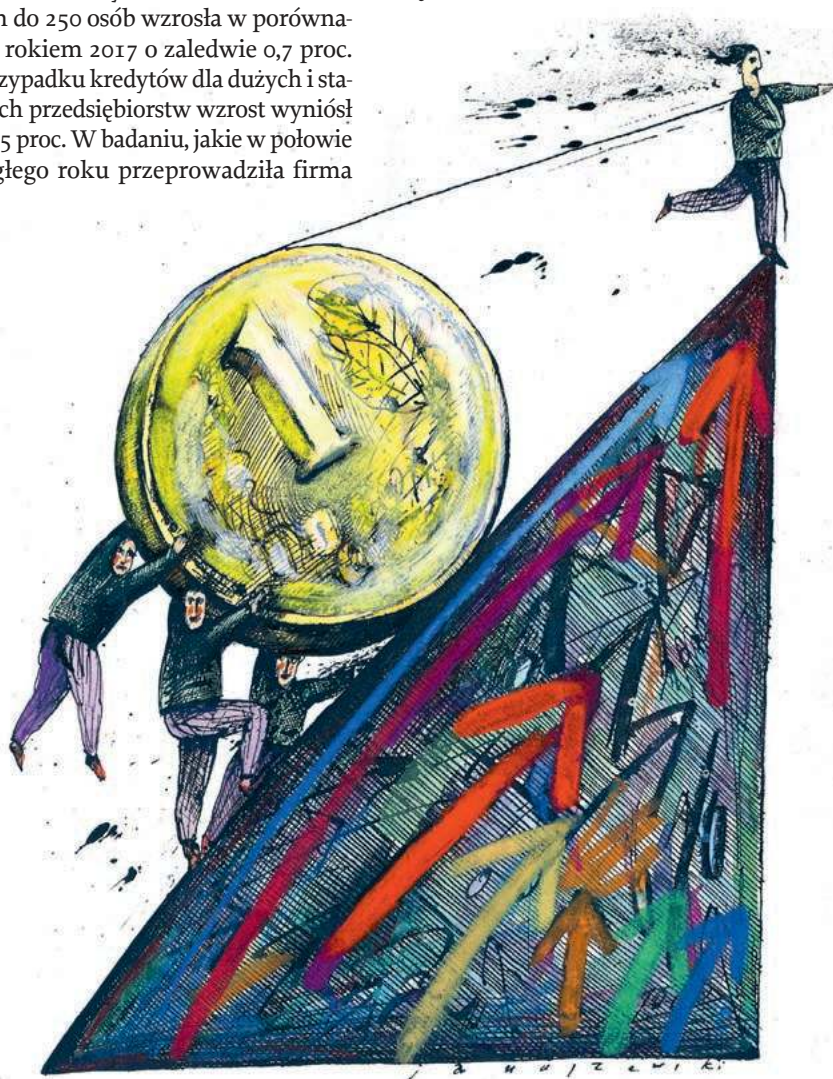
W 2018 r. skumulowana wartość kredytów udzielonych firmom zatrudniającym do 250 osób wzrosła w porównaniu z rokiem 2017 o zaledwie 0,7 proc. W przypadku kredytów dla dużych i stabilnych przedsiębiorstw wzrost wyniósł aż 16,5 proc. W badaniu, jakie w połowie ubiegłego roku przeprowadziła firma

badawcza Keralla Research, 20,6 proc. ankietowanych przedsiębiorców, którzy ubiegali się o kredyt w banku, przyznało się do odejścia od okienka z kwitkiem. W 2016 r. podobnie odpowiadało tylko 14,1 proc. badanych. W przypadku właścicieli małych spółek odsetek odmów sięgnął aż 25 proc.

Banki mają rację wskazując na drugą stronę tego kredytowego medalu. Z danych Krajowego Rejestru Długów wynika, że odsetek firm, które przestały terminowo spłacać kredyty, wzrósł w ciągu roku o 30 proc. To także oznacza nadchodzącego spowolnienia. Ostatnie przeżywaliliśmy na początku dekady. Wtedy polskie banki gremialnie zamroziły podaż kredytów czekając na rozwój wypadków – zgodnie z anglosaskim przysłowiem, które widzi w nich kogoś, kto chętnie sprzedaje parasol, kiedy świeci słońce, a zabiera przy pierwszych opadach deszczu.

Pod tym względem w bankach wiele się nie zmieniło. ©P

ZYGUNT JANUSZEWSKI





Reprezentacja Polski w pływaniu na Mistrzostwach Europy SU-DS osób z zespołem Downa, Sardynia, wrzesień 2019 r.

Coś więcej niż start

MAŁGORZATA NOCŃ

Najpierw przeżywa się załamanie: dlaczego moje dziecko jest niepełnosprawne? Ale mija kilka lat i to dziecko przywozi złoty medal z mistrzostw Europy – mówi Paulina Dzieciół, mama dziewczynki z zespołem Downa.

LISTA SUKCESÓW SPORTOWYCH SZESNASTOLETniej Zosi jest długa. Dziewczynka pływa, jeździ na nartach, uprawia lekkoatletykę, biega. Z zawodów przywozi złote i srebrne medale.

Zosia, jak każde dziecko z niepełnosprawnością, ćwiczyła z rehabilitantami. Rodzice zauważyli, że dziewczynka to lubi. Szybko nauczyła się pływać. Woda dobrze oddziaływała na samopoczucie Zosi i jej postawę, ale dawała coś jeszcze. – Zosia lubi czuć ducha rywalizacji, bardziej się stara podczas treningów, kiedy wie, że nie trenuje tylko dla siebie, ale przygotowuje się do udziału w zawodach – mówi jej matka. Zaczęła na własną rękę szukać córce trenerów i opłacać zajęcia. Zosia startowała w olimpiadach specjalnych. W 2017 r. mama pojechała z nią na mistrzostwa innej organizacji do Porto. – Jakbym nagle znalazła się w innym świecie. Zobaczyłam świetnie wysportowanych zawodników z zespołem Downa, przekonałam się, jak wielka dys-

cyplina panuje podczas zawodów. To nie były zawody „specjalne”, ale sport „wyczynowy” – wspomina

W 2018 r. Paulina Dzieciół (z wykształcenia prawniczka) założyła Fundację Sportu Osób Niepełnosprawnych Intelktualnie (SONI). Zaczęła starać się o pozyskanie środków na udział dzieci z zespołem Downa w wyczynowych zawodach. Niestety, Ministerstwo Sportu nie przyszło jej z pomocą. – Okazało się, że ministerstwo nie sfinansuje uczestnictwa w zawodach organizowanych przez światową organizację SU-DS (Sports Union for athletes with Down Syndrome), zajmującą się sportem wyczynowym osób z zespołem Downa.

Z prywatnej kieszeni

W tym roku 24 polskich zawodników zakwalifikowało się do startu w Światowych Igrzyskach Osób z zespołem Downa (organizowanych właśnie przez SU-DS), które odbędą się wiosną w Tur-

cji. Młodzi sportowcy wezmą udział w rywalizacji, ale tylko dzięki wsparciu prywatnych darczyńców, sponsorów i fundacji.

Czym różnią się zawody wyczynowe od olimpiad specjalnych? Rodzice dzieci z zespołem Downa odpowiadają w sposób wyważony. Podkreślają, że każdy rodzaj aktywności fizycznej i każde wsparcie dla ich dzieci jest ważne, ale zawody wyczynowe są najlepszą formą rehabilitacji. Żeby przygotować się do startu w tej rywalizacji, trzeba ciężko ćwiczyć. Dziecko uczy się dyscypliny, ten typ rywalizacji dobrze wpływa na jego samopoczucie psychiczne i rozwój intelektualny. – Podczas tych zawodów nikt na nic nie przysmyka oka. Przestrzega się reguł, m.in. by zakwalifikować się do startu. Jeśli złamie się regulamin – dyskwalifikacja. Podczas zawodów olimpiad specjalnych liczy się sam fakt startu i udziału w rywalizacji, mniej wynik sportowy – mówi Paulina Dzieciół.

Jakub Muszyński jest pływakiem. Szesnastoletni chłopiec musi codziennie trenować, by przygotować się do udziału w Igrzyskach Światowych SU-DS. – Dziecko z zespołem Downa rodzi się z wiotkością mięśni, Kuba musiał sam wypracować sobie sprawność. Cztery razy w tygodniu ma trening pływacki, korzysta m.in. z olimpijskiego basenu o długości 50 metrów. W domu także ćwiczy, m.in. na bieżni – mówi Magdalena Muszyńska. Kuba podczas treningu pokonuje dystans 1,9 kilometra. To ogromny wysiłek.

Paulina Dzieciół próbowała zainteresować ministerstwo wyczynowymi zawodami dla dzieci z zespołem Downa.

– Zorganizowałam przyjazd prezesa organizacji SU-DS do Warszawy. W ministerstwie nawet odbyło się spotkanie, prezentowaliśmy filmy z mistrzostw, wyniki sportowe. W tym roku środków na przygotowanie naszych zawodników i ich start nie otrzymaliśmy.

Pytam ją, czy za rok będzie inaczej. – Nie wiem – odpowiada.

Z tym pytaniem zwróciłam się do Ministerstwa Sportu. Temat osób niepełnosprawnych intelektualnie będzie w najbliższym czasie przedmiotem rozmów Społecznej Rady Sportu, powołanej przez Panią Minister – dowiedziałam się w odpowiedzi. ©

ANNA

Dziewit-Meller:

Pasztet



DZIEŃ DOBRY, MAM WIADOMOŚĆ: ŻADEN kraj nie chroni odpowiednio dzieci, ich środowiska i przyszłości. Tak przynajmniej wynika z raportu opublikowanego w ubiegłym tygodniu przez komisję złożoną z ponad 40 światowych ekspertów ds. zdrowia dzieci i młodzieży, powołaną przez Światową Organizację Zdrowia (WHO), UNICEF i czasopismo naukowe „The Lancet”. Oczywiście jestem spokojna, że takie grono może nie być dostatecznie wiarygodne dla wielu, w końcu każdy ma prawo wyboru autorytetów i tego, komu i w co wierzy. Przyjmijmy jednak roboczo na potrzeby tego krótkiego tekstu, że eksperci WHO tym razem się nie mylą. Dajmy szansę tej hipotezie i idźmy z nią dalej, słuchając głosu byłej premier Nowej Zelandii Helen Clark, obecnie współprzewodniczącej wzmiankowanej eksperckiej komisji, która powiedziała: „Pomimo poprawy stanu zdrowia dzieci i młodzieży w ciągu ostatnich 20 lat obecnie postęp ten zahamował, a wszelkie dokonania w tym zakresie mogą pójść na marne. Szacuje się, że około 250 milionów dzieci poniżej piątego roku życia w krajach o niskim i średnim dochodzie może nie rozwinąć swojego pełnego potencjału. Jeszcze większy niepokój wzbudza to, że k a ż d e [podkreślenie moje – ADM] dziecko na świecie stoi obecnie w obliczu zagrożeń związanych ze zmianami klimatu i presją płynącą z reklam. Państwa muszą zmienić swoje podejście do zdrowia dzieci i młodzieży. Należy zapewnić nie tylko opiekę nad najmłodszymi dzisiaj, ale także ochronę świata, który odziedziczą jutro”.

Koniec cytatu. Tymczasem nasz swojski, chłopski rozum podpowiada, że może jednak bez przesady. Każdy wie, że dziecko w takiej np. Somalii ma mniejsze szanse na zdrowe, długie i szczęśliwe życie niż dziecko w sytej Norwegii, i co ma do tego zmiana klimatyczna, skoro tak było, odkąd pamiętamy. Wyślemy Polską Akcję Humanitarną, będzie udzielona pomoc na miejscu, nasza chata z kraja, to w ogóle nie są nasze problemy.

Niestety, zdaniem komisji nadmierna emisja dwutlenku węgla zagraża przyszłości wszystkich dzieci. Norweskich i somalijskich. A także polskich. Kasandry z UNICEF-u powiadają: jeśli globalne ocieplenie przekroczy 4°C do 2100 r., doprowadzi to do katastrofalnych konsekwencji zdrowotnych dla wszystkich dzieci z powodu wzrostu poziomu oceanów, fal upałów, rozprzestrzeniania się chorób takich jak malaria i denga oraz niedożywienia. Komisja powiada jednak dalej, że zagrożenie czyha tuż pod naszym nosem: „Praktyki marketingowe związane z reklamą niezdrowej żywności i sło-

dzonych napojów zwiększają popyt na *fast food*, co wiąże się z alarmującym wzrostem liczby dzieci z nadwagą i otyłością. Liczba otyłych dzieci i młodzieży wzrosła z 11 milionów w 1975 r. do 124 milionów w 2016 r., co stanowi 11-krotny wzrost”. Szach mat, niedowiarki, tu wystarczy wejść na wagę, nie trzeba skomplikowanych badań!

I kiedy tak sobie to czytam, chcąc ułożyć w głowie dane, przychodzą do mnie moje dzieci, nieco znudzone ostatnim dniem ferii, trochę gnuśniejące w domu, przewalające się hałaśliwie z kąta w kąt, i pytają, co czytam. Mówię im więc, po chwili lekkiego wahania, że raport o przyszłości dzieci. „Czyli o naszej, mam?” „O waszej” – przyznaję niechętnie. „I co?” – pytają wlepiając we mnie niebieskie oczęta. Wzdycham więc i mówię: „Dużo by gadać, idźcie się pobawić” – bo wyjątkowo ciężko jest mi powiedzieć prawdę. Ale wtedy mój syn staje za mną i czyta mi przez ramię tekst na ekranie: „Żaden kraj nie chroni odpowiednio dzieci, ich środowiska i przyszłości” – mówi na głos, po czym pyta: „Serio?”.

Bierze swoją siostrę i mówi: „Chodź”. Przynoszą po chwili kartki i flamastry, gryzmołą kulfoniaste litery, cyzelują rysunki, a potem wręczają mi je i mówią: „Tu masz ilustrację, dzieci wołał ilustrowane teksty”. A ja patrzę na te plakaciki traktujące o naszym wielkim dorosłym oszustwie pt. „Zapewnimy wam lepszą przyszłość”, i czuję, jak mnie ściska w gardle.

Abstrakcyjnie brzmiące scenariusze, które sufluje UNICEF, nabierają przeraźliwie realnego kształtu, gdy wyobrażam sobie ich oboje za 30 lat. Czy będą mogli jak ja we względnie spokojnym wychowywać swoje dzieci? Dobiegać czterdziestki i mieć podobne moim problemy? Czy może świat, jaki znamy dziś, rozpadnie się z powodu wojny o kurczące się zasoby wody? Dzieci w Kaszmirze mogą nam już dziś coś o tym powiedzieć – one w tej chwili, w której moje snują się po domu w czasie ferii, cierpią od takiego konfliktu.

W ramach prokrastynacji i by nieco odsunąć od siebie te czarne myśli, chwilę później przeglądam portale internetowe i trafiam na tekst o tym, jak prezydent Duda w swej kampanii wychwala pasztet, kielbasę i kaszankę. I to pozostawiam jako puentę do rozważań nad przyszłością gatunku ludzkiego. ©

TP

Kluby „TP” zapraszają na spotkania

LUBLIN

▪ **poniedziałek,**
2 marca, godz. 16.00
„Kościół wobec
wyzwań ekologicznych
i klimatycznych”. Gościem
będzie o. Stanisław Jaromi.
Miejsce: aula klasztoru oo.
dominikanów (ul. Żłota 9).

WARSZAWA

▪ **sobota,**
29 lutego, godz. 16.00
Kawiarenka „By rozjaśnić
noc”. Gośćmi będą Barbara
Engelking oraz Michał
Okoński.
Miejsce: Stacja Muranów
(ul. Gen. Andersa 13).

POWÓD ZA PIĘĆ MILIONÓW

DARIUSZ STOLA:

Idę do ministerstwa, mówię, że się cieszę z tego spotkania, bo najwyższy czas brać się do roboty. I słyszę, że nie: że musimy o tym poważnie porozmawiać, bo to niesprawiedliwe, żeby tylko muzeum dostało te pieniądze.



MICHAŁ OKOŃSKI: Co Pan teraz robi?

DARIUSZ STOLA: Spróbuję napisać artykuł, właściwie już zacząłem, ale idzie mi jak krew z nosa: przy pracy naukowej i zarządzaniu mózg pracuje jednak na różne sposoby.

O czym Pan pisze?

Wracam do tematu, którym zajmowałem się przed sześcioma laty. Natura reżimu komunistycznego po stalinizmie.

O, nie o Żydach.

Bo ja nie jestem historykiem tylko od spraw polsko-żydowskich.

Przez 5 lat, do 2019 r., był Pan dyrektorem Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN. Później wygrał Pan konkurs na to stanowisko, ale przez 9 miesięcy minister Piotr Gliński nie podpisywał Pańskiej nominacji. W ubiegłym tygodniu oświadczył Pan, że rezygnuje. Dlaczego teraz?

W ubiegłym tygodniu pan minister oznajmił jednoznacznie i przy świadkach, że mnie nie mianuje. Moje późniejsze oświadczenie, że dla dobra muzeum jestem gotów powstrzymać się od realizacji przysługujących mi praw, było reakcją na taki krok z jego strony – krok bezprawny i bezprecedensowy, bo jeszcze się w Polsce nie zdarzył minister tak ostentacyjnie nadużywający swojej pozycji. Chciałem pomóc w ratowaniu instytucji, którą 15 lat temu powoływali trzej partnerzy: Stowarzyszenie Żydowski Instytut Historyczny, miasto stołeczne Warszawa i Ministerstwo Kultury. Chyba nikomu się wtedy nie śniło, że ratować muzeum trzeba będzie właśnie przed ministerstwem.

Dlaczego właściwie niepowoływanie Pana na stanowisko dyrektora miałoby być bezprawne?

Według prawników jest to bezprawna beczynność. To nie jest swobodna decyzja ministra, co robi po rozstrzygnięciu konkursu. Może go unieważnić – ale wtedy musi to uzasadnić – a jeśli tego nie zrobi, musi zrealizować jego wynik.

Będzie proces Stola–Gliński?

Zastanowię się. Na razie czekam, aż minister wywiąże się z deklaracji i podpisze nominację Zygmunta Stępińskiego.

Stępiński to Pański zastępca, który przez ten czas był p.o. dyrektora. Ma Pan do niego pełne zaufanie?

Tak, ale nie chciałbym mu teraz zaszkodzić pochwałami. Pracowaliśmy razem 5 lat. Czasem się różniliśmy, ale to dobrze: muzeum to nie koszary, tylko instytucja kultury, w której dyskusja jest niezbędna. Jestem mu wdzięczny, że podjął się tego zadania. A kierowanie muzeum w stanie zawieszenia, kiedy wycofywali się darczyńcy i nie było wiadomo, co dalej, musiało być nieporównywalnie trudniejsze niż moja kadencja.

Właściwie czemu Pan ustąpił? Chodziło o uniemożliwienie przejęcia muzeum jednoosobową decyzją ministra, bez oglądania się na pozostałych patronów placówki?

Zmniejszałem prawdopodobieństwo złych rozwiązań. Moja sprawczość była ograniczona, bo w tej grze byłem przecież przedmiotem, a nie podmiotem. Byłem

po prostu człowiekiem, który wystartował w konkursie na dyrektora i wygrał, a dwie instytucje współtworzące muzeum widziały go na stanowisku. Podkreślałam to, bo niektórzy dziennikarze zagraniczni błędnie opisują sytuację jako konflikt między Polakami a Żydami.

A jak Pan definiuje strony sporu?

Po jednej stronie Polacy i Żydzi, którym leży na sercu dobro muzeum, a po drugiej Polacy, którzy mają na głowie ważniejsze sprawy niż przejmowanie się dobrem jakiegoś muzeum.

Może oni nie mają tego dobra gdzieś, tylko mają jego inną wizję.

Jeśli ją mają i się jej nie wstydzą, powinni ją ujawnić. Może coś ich krępuje?

Na przykład co?

Zastanawiam się nad tym. Wszystkie oskarżenia, jakie formułował pod moim adresem pan minister, były przecież fałszywe. I wydaje mi się, że on musiał zadowalać siebie z tego sprawę.

Pierwszy zarzut: nie chciał Pan zorganizować w muzeum konferencji o zasługach Lecha Kaczyńskiego w dialogu polsko-żydowskim.

Lech Kaczyński to jeden z trzech założycieli muzeum – więc pomysł zorganizowania poświęconej mu konferencji wydał mi się jak najbardziej na miejscu. Na spotkaniu z przedstawicielem Ruchu Społecznego im. Lecha Kaczyńskiego (towarzyszyła mu również Marta Kaczyńska, ale w zasadzie nie zabierała głosu) mówiliśmy o naukowej konferencji pod roboczym tytułem „Prezydent Kaczyński a stosunki z Izraelem”. Ponieważ dbamy o jakość naszych konferencji i zawsze szukamy do nich partnerów akademickich, poprosiłem, żeby Ruch także znalazł takiego partnera. Zasugerowałem jako współorganizatora Polski Instytut Spraw Międzynarodowych – instytucję związaną z rządem, ale jak najbardziej naukową. Proponowałem też Wydział Studiów Międzynarodowych UW. Mój rozmówca nie był tym jednak zainteresowany. Pamiętam zresztą, że podniósł na mnie głos, bo nie spodobało mu się, że wśród sal konferencyjnych muzeum jest audytorium im. Jana Kulczyka. Wyjaśniłem, że śp. Jan Kulczyk w kluczowym momencie prac nad tworzeniem naszej placówki ofiarował jej 20 mln zł, w gruncie rzeczy →

MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP”

Dariusz Stola w Muzeum POLIN, luty 2020 r.

→ ratując przedsięwzięcie. Usłyszałem pretensje, że nie ma auditorium im. Lecha Kaczyńskiego. No ale on nie był prywatnym darczyńcą, tylko prezydentem miasta, które muzeum współtworzyło: mowa o nim jest na wielkiej tablicy przy wejściu.

Czyli nie odmówił Pan zorganizowania konferencji?

Ależ skąd. Zaraz potem napisałem nawet maila do tego pana, w którym proponowałem konkretne daty na zorganizowanie konferencji, a po dwóch tygodniach kolejnego, bo martwiłem się, czy poprzedni nie wpadł do spamu (mam kopie tych maili). Próbowałem się też dozwonić do obydwojga, ale bez rezultatu.

Dodam, że wszystko to działo się wiosną 2017 r. Nie bardzo wierzę, że minister Gliński dowiedział się o tym dopiero teraz, bo sprawa krążyła na partyjnych korytarzach i mówił mi o niej z pretensjami pewien wiceminister już kilka tygodni po wspomnianej wizycie. A jeśli nawet wcześniej nie wiedział, to czemu nie spróbował ustalić, jak było naprawdę? Jest wicepremierem, nie powinien ot tak powtarzać plotek. Moim zdaniem chodzi tu raczej o starą zasadę, że jak chcesz uderzyć psa, to kij zawsze się znajdzie. A jak się nie znajdzie, to trzeba go wyprodukować.

Drugi kij: wystawa „Obcy w domu. Wokół Marca '68”. Znalazły się na niej tweety Magdaleny Ogórek i Rafała Ziemiakiewicza jako przykłady współczesnej mowy nienawiści. Tego akurat minister mi nie zarzucał.

Pisały o tym prawicowe media.

Moim zdaniem było tak: najpierw, w trakcie sporu o ustawę o IPN i naszą wystawę o Marcu, jacyś politycy zachęćli swoich dziennikarzy do ataku na muzeum i na mnie. Na spotkaniach w rocznicę Marca pojawiał się u nas z kamerą pan Matecki, prawicowy bojownik na froncie internetowym, *nota bene* zatrudniony wtedy w resorcie sprawiedliwości. Atak propagandowy ładnie się rozwijał, pamiętam np. słowa pana Dawida Wildsteina, który nazwał nas kanalami i oszołomami. Politycy czytali takie komentarze, a potem zaczęli w nie wierzyć. Pani Ogórek, przypomnę, złożyła pozew przeciwko muzeum – i został on oddalony.

Było warto? Nie mogła się wystawa obejść bez dwóch tweetów?

Wszystkie oskarżenia,
jakie formułował
pod moim adresem
pan minister Gliński,
były fałszywe. I wydaje mi
się, że on musiał zdawać
sobie z tego sprawę.

Wszystko, co wydarzyło się potem, potwierdziło słuszność tego wyboru. W polskim internecie wezbrała wówczas wielka fala antyżydowskiego hejtu. Podobieństwa do języka propagandy z 1968 r. były uderzające. Działo się to na tle sławetnej nowelizacji ustawy o IPN, przeciwko której również protestowałem.

To trzeci kij.

To, że jest szkodliwa i głupia, widać było od początku. Chyba że jej intencje były inne, niż twierdzili autorzy.

Na przykład jakie?

Inne niż obrona dobrego imienia Polski za granicą. Bo jeśli taki był jej cel, to powinna trafić do księgi rekordów Guinnessa jako najbardziej przeciwnie skuteczna ustawa w dziejach świata.

Nasze placówki dyplomatyczne od dłuższego czasu rejestrowały pojawianie się w zagranicznych mediach zwrotów typu „polskie obozy koncentracyjne”. Wiemy, że takich przypadków było 100-200 rocznie – polscy dyplomaci reagowali, wysyłali sprostowania, które zwykle były uwzględniane, bo takie wypowiedzi wpływały przeważnie z niewiedzy i z dwuznaczności takiego zwrotu w języku angielskim, gdzie oznacza po prostu obóz umiejscowiony w Polsce. Jeśli ustawa miała spowodować, że ta fraza zniknie, to wydarzyło się coś przeciwnego: w ciągu następnych paru tygodni pojawiła się w światowych mediach kilka milionów razy.

O co więc chodziło? O uprzykrzenie życia Janowi Tomaszowi Grossowi?

Mnie się wydaje, że przynajmniej dla niektórych promotorów ustawy cel był wewnętrzny: roznociec wśród Polaków przekonanie, że ktoś nas poniża, a zwłaszcza że poniżają nas jacyś straszni Żydzi.

Kiedy Polska się wycofała z ustawy o IPN, podpisano deklarację premierów Morawieckiego i Netanjahu, gdzie pada słowo „antypolonizm”.

Nikt już nie pamięta, co w tej deklaracji było. Słyszał pan o jakichś działaniach podjętych w jej następstwie? Co jakiś czas ktoś z polityków, np. wiceminister Sellin, mówi, że to był wielki sukces, i tyle. A przecież zawierała np. zdanie o zespole ds. dialogu na tematy historyczne. Kiedy je przeczytałem, pomyślałem, że może pójdzie za tym jakieś wsparcie dla wybitnego i uznawanego w świecie zespołu badaczy Zagłady, mającego siedzibę w jednym pokoiku na piętrze Pałacu Staszica.

Mowa o Centrum Badań nad Zagładą Żydów.

Żeby chociaż drugi pokój dostali...

Ale na początku 2018 r. wydarzyło się coś jeszcze. Pod koniec stycznia zostałem wezwany do Ministerstwa Kultury na spotkanie z dwiema wyższymi urzędnikami w sprawie grantu norweskiego, które muzeum miało i wciąż ma dostać. Historia tego grantu jest ciekawa sama w sobie. Otóż kilka lat temu Norwegowie postanowili przeznaczyć 3 miliony euro na duży projekt dotyczący żydowskiego dziedzictwa kulturowego, a na wykonawcę wybrali właśnie Muzeum POLIN. Zrealizowaliśmy za te pieniądze wiele świetnych, innowacyjnych działań edukacyjnych: odbyło się kilka tysięcy wydarzeń w kilkuset miejscowościach, powstały programy dla szkół, w Polskę ruszyło obwoźne „muzeum na kółkach”. Odwiedzali nas norwescy ministrowie, był nawet wicepremier, komplementowali i gratulowali, na koniec dołożyli jeszcze milion euro, co pozwoliło kontynuować projekt przez dodatkowy rok, a po wszystkim powiedzieli, że powinniśmy koniecznie aplikować po raz kolejny. Pamiętam słowa jednego z norweskich dyplomatów, który mówił, że to ich najlepszy miękki projekt w Europie.

Miękki?

Niezwiązany z inwestycjami w infrastrukturę.

Zapytałem wtedy, o ile możemy aplikować, i usłyszałem, że o 10 milionów euro. Przygotowaliśmy więc projekt na 6 lat, zgodnie z procedurą przekazaliśmy go Ministerstwu Kultury, skąd trafił do Norwegów. Pamiętam, jak wiceminister Sellin dopytywał o jakieś szczegóły, ale nie były

to żadne zastrzeżenia: byłem raczej zbudowany przejawami jego autentycznego zainteresowania. List intencyjny między rządami Polski i Norwegii podpisano w grudniu 2017 r. – w dość grubym dokumencie znalazł się też akapit o tym, że Muzeum POLIN wraz ze wskazywanymi zawsze przy tej okazji partnerami norweskimi będzie realizować projekt związany z żydowskim dziedzictwem kulturowym i otrzyma kwotę 10 milionów euro. Pełni radości zaczęliśmy się przygotowywać do wdrożenia programu, świadomi, że Norwegowie mają bardzo wyśrubowane wymagania związane ze sprawozdawczością, mierzalnością wyników itd.

No i wtedy właśnie wezwano mnie do ministerstwa.

Zamieniam się w słuch.

Idę z koleżanką, na wstępie dziękuję, mówię, że się cieszę z tego spotkania, bo to już najwyższy czas brać się do roboty. I słyszę, że nie: że musimy o tym poważnie porozmawiać, bo to niesprawiedliwe, żeby tylko muzeum dostało te pieniądze. „Co pani przez to rozumie?”. „Jest tyle cennych przedsięwzięć z zakresu żydowskiego dziedzictwa kulturowego, dlaczego tylko wy macie dostać te pieniądze?”. „Bo Norwedzy nam ufają, wiedzą, że potrafimy to robić, a tak w ogóle to o jakich projektach pani mówi?”. „No, konkretnie to chodzi o Muzeum Getta Warszawskiego”. „To ono istnieje?”. „Nie, jeszcze nie”. „Ma dyrektora może?”. „Nie”. „Ma jakąś załogę, która potrafi takie projekty realizować?”. „Nie, ale będzie miało”. Przysnaję: powiedziałem, że dla mnie to nie brzmi poważnie. Usłyszałem, iż pan minister oczekuje, że zrobimy partnera z nieistniejącego muzeum i że ono powinno dostać sporą część pieniędzy – trzy do pięciu milionów euro.

Dyplomatycznie powiedziałem, że jestem bardzo zdziwiony, ale tak naprawdę byłem zaszokowany. Przecież gdybym się zgodził, byłoby to z mojej strony działanie na szkodę Muzeum POLIN. Żaden prywatny darczyńca nie dałby nawet pięciu centów komuś, kto lekką ręką pozbywa się pięciu milionów euro. Poprosiłem moje rozmówczynie, żeby się upewniły, czy taka jest wola pana ministra, bo nie mogę w to uwierzyć. Dwa tygodnie później wysłałem w tej sprawie pismo – szczęśliwie również zachowałem kopię – w którym proszę o to potwierdzenie, bo nie bardzo wiem, co robić, i wyliczam po-

wody, dla których muzeum nie może się czegoś takiego podjąć. Nigdy nie dostałem odpowiedzi. Po dłuższym milczeniu ministerstwo zaakceptowało wreszcie projekt bez udziału Muzeum Getta, ale usłyszałem z dobrze poinformowanych źródeł, że minister był bardzo niezadowolony. *Nota bene* grant nie został uruchomiony do dziś: 10 milionów euro gdzieś leży.

Gdzie?

Nie mam pojęcia.

Ale już na polskich kontach?

Z całą pewnością nie na koncie muzeum, które nie może realizować projektu. Był planowany na 6 lat, z których zostały tylko 4.

Czyli to jest prawdziwy powód, dla którego Pan podpadł ministerstwu?

Przypuszczam, że pan minister mógł po tym zapalać jeszcze większą niechęć do mnie i kierowanej przeze mnie instytucji. Ale doprawdy nie wiem, jak on to sobie wyobrażał. Że oddamy pieniądze nie wiadomo komu na coś, co nie istnieje? Że będziemy ponosić za to odpowiedzialność? Przecież na koniec to ja musiałbym podpisywać faktury!

Powiedziano Panu kiedyś wprost, że niepowoływanie na kolejną kadencję wiąże się z tamtą odmową?

Nie. Ale to właśnie od tamtego czasu, czyli od wiosny 2018 r., muzeum znalazło się pod ostrzałem rządzących i prorządowych mediów.

Pan zna Piotra Glińskiego? Nie mijaliście się na korytarzach w PAN?

Nasze instytucje miały siedziby w różnych miejscach. A jako minister – mimo moich próśb – nigdy nie znalazł czasu, by się ze mną spotkać. Nasza najdłuższa rozmowa trwała 30 sekund, na przyjęciu w ambasadzie USA. Z tego, co wiem, nigdy nie był na naszej wystawie. Częstszym gościem był wiceminister Sellin, który jest członkiem rady muzeum. To zresztą ciekawe: min. Gliński zarzucał mi straszne grzechy, w tym złamanie statutu muzeum, a jego zastępca nadzorował na bieżąco nasze prace i w przypadku wątpliwości mógł przecież formułować zastrzeżenia, np. podczas przyjmowania sprawozdań rocznych.

Formułował?

Miał jakieś drobne uwagi, np. że zapraszamy niewłaściwych duchownych, zresztą w związku ze spotkaniem z ks. Bonieckim. Na szczęście kilkanaście dni wcześniej bardzo pochwalił nas kard. Nycz, więc mogłem w dyplomatyczny sposób dać mu do zrozumienia, że nie musi być bardziej katolicki od kardynała.

Z posiedzeń rady muzeum sporządzane są protokoły. Żaden z zarzutów, jakie padały wobec mnie w ostatnich miesiącach, w ich trakcie nie padł. Albo więc zostały wymyślone *ad hoc*, albo ministrowie Gliński i Sellin się nie komunikują.

Czuje się Pan kozłem ofiarnym?

Raczej ofiarą bezprawia, kłamstw i krótkowzrocznej wiary w nagą siłę. No i nie mogę się nadziwić niezdolności do przewidzenia długofalowych konsekwencji takich działań. Kto będzie wierzył wicepremierowi, który nawet nie zaprzecza, że oszukał swoich partnerów? Kto przystąpi do otwartego konkursu, który oprócz reguł zapisanych w regulaminie ma jeszcze jakieś tajne reguły dodatkowe, takie mianowicie, że partia musi zwyciężyć lubić?

Nie wszystkie konkursy wiążą się z takim ciężarem. Polityka historyczna i stosunki polsko-żydowskie to dla PiS sprawy dość istotne.

To, co jest neutralne i tolerowane dziś, za trzy miesiące może dostać epitet antypolskie, lewackie, wrogie. W partii rządzącej widać coś takiego, jak wewnętrzna dynamika radykalizacji. Przecież do nas przez lata nikt się nie przyłączał. Ministerstwo lojalnie wpłacało dotacje, ministrowie pojawiali się na otwarciach wystaw. Prezydent Duda zwiedził wystawę główną, sam go oprowadzałem i pamiętam, jak na koniec powiedział, że każdy młody Polak powinien ją zobaczyć.

Mnie się wydaje, że władze chcą opowiadać o historii Polski tak, żebyśmy mogli czuć się z niej dumni. „Pedagogika wstydu”, przeciwko której oponują, osłabia wspólnotę.

Gdyby chodziło o opowiadanie historii w jej chwalebny wydaniu, to mógłbym im zarzucać jedynie nadmierne uproszczenia, ale spora część wysiłków władz zmierza do zamiatania pod dywan rzeczy nieprzyjemnych, a to już przeinaczanie historii. Do tego dochodzi zwalczanie brzydkimi metodami tych, którzy mówią →

→ o rzeczach niechwalebnych: grożenie prokuratorem, opluwanie w mediach itd.

Wie pan, moim zdaniem nasz powód do dumy to debata wokół „Sąsiadów” albo wiedza, jaką zawdzięczamy Centrum Badań nad Zagładą Żydów. Wielkie osiągnięcie polskiej demokracji i czynnik jej rozwoju. Coś, co wzmacnia, a nie osłabia wspólnotę. Wielokrotnie spotykałem ludzi okazujących Polakom szacunek, bo jako jedyni w Europie Wschodniej okazali się zdolni do poważnej rozmowy na temat trudnych momentów w swojej historii. Co przecież nie znaczy, że np. Gross jest niekrytykwalny. Sam podważałem tezę, że oto pół miasteczka zabiło drugie pół miasteczka – nieprawdziwą i pedagogicznie przeciwną. Ale była to dyskusja, a nie nagonka.

Zanim uderzono w POLIN, zaatakowano Muzeum II Wojny Światowej.

Można się było spodziewać tego ataku, bo był to sztandarowy projekt Donalda Tuska w zakresie polityki historycznej, stanowiący poważne wyzwanie dla PiS-u, i to na kluczowym polu – pamięci o latach 1939-45. Moim zdaniem było to wybitne muzeum, znakomicie oddające środkowoeuropejskie doświadczenie wojny. Nie doświadczenie mężczyzn w mundurach, tylko okupowanych cywilów. A że ta perspektywa była dla PiS niewygodna, więc pod wydumanymi zarzutami doprowadziło do przejęcia placówki.

W trakcie ataku na MIIWŚ było już jasne, że następnym celem będzie Europejskie Centrum Solidarności – bo czy władza może tolerować muzeum, po którym przechadza się żywy Lech Wałęsa?

No to musiał się Pan spodziewać ataku na POLIN.

Nie sądziłem, że nastąpi tak szybko. Wydawało mi się, że ze względu nie tylko na parasol założycieli, ale także głos zagranicznych przyjaciół i darczyńców to miejsce jest względnie bezpieczne. Ci zagraniczni przyjaciele, dodam, wspierali muzeum nie tylko czasem i pieniędzmi, ale też reputacją, bo przecież musieli się zderzać z poglądem ludzi, którzy sądzą, że z Polakami nie ma co rozmawiać: byli antysemitami i nimi pozostaną.

Można by dojść do wniosku, że wszczynanie awantury na takim odcinku szkodzi wizerunkowi Polski za granicą, czyli się nie opłaca.

Odpowiedzią władz na oszczerczy wykład Putina o historii Polski było...
powołanie Instytutu Dmowskiego – ojca założyciela nowoczesnego polskiego antysemityzmu.
Świetny timing, naprawdę.

To nie musi być to samo. Owszem, szkodzi interesowi Polski za granicą, potwierdza najgorsze stereotypy na nasz temat. Ale w polityce wewnętrznej, jak widać, się opłaca.

Inny przykład samobójczego gola. Kilka tygodni temu Władimir Putin wygłosił oszczerczy wykład o dziejach Polski. Nie znam drugiego przypadku w historii najnowszej, żeby prezydent potężnego państwa ościennego poświęcił na coś takiego 40 minut. Odpowiedzią naszych władz było... powołanie Instytutu Romana Dmowskiego – ojca założyciela nowoczesnego polskiego antysemityzmu – i postawienie na czele prof. Żaryna, dla którego endecki antysemityzm nie jest żadnym problemem. Świetny *timing*, naprawdę.

Przecież to nie była odpowiedź na wykład Putina.

Oczywiście: najpewniej nikt w otoczeniu ministra Głińskiego nie pomyślał, że dla propagandy rosyjskiej będzie to kolejny przydatny argument. Wiele wydarzeń w historii jest efektem chaosu, głupoty i beżmyślności.

Nie twierdzę, że za takimi decyzjami nie ma nic racjonalnego, ale jest to racjonalizm ograniczony, krótkowzroczny albo stawiający wyżej interes partykularny nad ogólnopolskim. Dobrze to ujął Christian Davies na łamach „Haaretza” w artykule o rzekomym KL Warszaw.

Przypomnijmy: po zdławieniu Powstania w Getcie Niemcy utworzyli przy ul. Gęsiej obóz dla wykonujących niewolniczą pracę Żydów.

Wedle pewnej szalonej teorii spiskowej działały tam komory gazowe, w których zamordowano 200 tys. Polaków. Nie ma na to żadnych dowodów. IPN zamówił nawet analizę historycznych zdjęć lotni-

czych, która jednoznacznie obala te fantazje – w środowisku o niej wiadomo, ale IPN jej nie ujawnia. Przenikliwa uwaga w „Haaretzu” brzmi mniej więcej tak: „Nie sądzę, by kierownictwo IPN albo władze PiS wierzyły w istnienie komór gazowych, w których zamordowano 200 tys. Polaków, ale chętnie korzysta z emocji, które takie legendy budzą”. Tak, takie legendy budzą resentyment, gniew, podejrzliwość wobec świata (świetne paliwo polityczne), a ponadto podważają zaufanie do naukowców, którzy takim fantazjom przeczą, czyli są kłamcami i narodowymi zaprzańcami na pasku wiadomych sił.

A kiedy mówimy o przemówieniu Putina: rosyjska kampania dezinformacyjna dopiero się rozkręca. W ciągu ostatnich dwóch tygodni zgłosiły się do mnie trzy rosyjskie stacje telewizyjne i radiowe, które szykują materiały o historii II wojny światowej i stosunkach polsko-żydowskich. Wiem od kolegów z branży, że nie jestem jedyny. Wiem też, że jeden z reżyserów, który się do nas zwrócił, dostał w ubiegłym roku nagrodę artystyczną od Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Jedna ze stacji przygotowuje materiały anglojęzyczne na rynek amerykański. Nie wydaje mi się, żeby Polska była przygotowana na obronę przed taką akcją.

Nie ma Pan wrażenia, że w dzisiejszych czasach jakoś łatwiej uwierzyć w historyczne brednie?

Mam wrażenie, że nie można zrozumieć kryzysu demokracji bez uwzględnienia skutków działania mediów społecznościowych, których algorytmy faworyzują treści kontrowersyjne i emocjonalne. I mam nadzieję, że wynajdziemy narzędzia ich kontrolowania, zanim doprowadzą do zniszczenia świata, w którym żyjemy. Porównanie historyczne, które przychodzi mi do głowy, dotyczy drugiej połowy XIX wieku, kiedy wymyślono technologie obniżające znacznie koszt produkcji papieru i druku. Zbiegło się to w czasie z pojawieniem się pierwszego pokolenia umiającego czytać i pisać, bo europejskie państwa wprowadziły wtedy obowiązkowe szkolnictwo podstawowe. Pod koniec XIX w. mieliśmy więc masowy rynek czytelnicy, którego częścią była tzw. żółta prasa, skandalizująca i przeważnie szowinistyczna. Bez przyjrzenia się temu fenomenowi nie sposób zrozumieć np. wydarzeń lata 1914 r., kiedy politycy europejskich rządów, przy-

parci do muru oskarżeniami o brak patriotyzmu, doprowadzili do wojny, na której straciły wszystkie strony. Otóż dziś również mamy nową technologię komunikacyjną, która jest między nami – „media” to środki przekazu, coś między ludźmi – i wpływa na znaczną część naszych cyfrowych rozmów. Nieprzypadkowo wielkie debaty historyczne – takie jak o słynny tekst Błońskiego w „Tygodniku” czy o „Sąsiadów” – już się w naszym kraju nie toczą. One toczyły się w epoce druku.

Jestem z tygodnika, który – mam wrażenie – opiera się temu trendowi.
Dlatego jestem waszym czytelnikiem.

I w związku z tym jestem daleki od twierdzenia, że nic się nie da zrobić.

Zrobić można wiele. Media społecznościowe też tworzą ludzie, algorytmy Facebooka czy YouTube’a to nie jest dzieło natury. Różnica w porównaniu z poprzednimi rewolucjami technologicznymi polega na tym, że mamy najwyższy stopień koncentracji władzy w historii świata. Kiedyś kształt każdej gazety zależał od wydawcy, redaktora, właściciela. Mediami społecznościowymi zarządza kilka osób mieszkających w Kalifornii, które oczywiście zatrudniają informatyków, ale tak naprawdę to ta mikroskopijna grupa określa zasady, według których miliardy ludzi widzą coś lub nie widzą.

Skrajna prawica skarży się, że to im owa grupa utrudnia życie. Pamiętam, jak Facebook zamknął profil Marszu Niepodległości.

Media społecznościowe wypracowują swoje standardy. Czy wystarczająco szybko? Rozumiem, że jak ktoś ma 5 miliardów zysku kwartalnie, to nie ma wielkiej motywacji, żeby zmieniać swój algorytm, ale wtedy przypomina mi się zdanie Lenina, że „kapitałści sprzedadzą nam sznur, na którym ich powiesimy”.

Zastanawia mnie pewien paradoks. Dziś krytykuje się POLIN za krytyczne podejście do relacji polsko-żydowskich, ale gdy powstawało, zarzucano mu nadmierną ostrożność.

Prawica mówi, że za mało w muzeum o dzielnych Polakach ratujących Żydów, lewica – że za mało o antysemitach. Proszę zauważyć podobieństwo: obie strony

uważają, że w muzeum historii Żydów jest za mało o nie-Żydach. Jakby sama historia Żydów była nieciekawa. Stanowiła tylko lustro, w którym przeglądają się Polacy nieżydowscy.

Jacek Leociak w „Krytyce Politycznej” mówił o rzeczach, które się twórcom wystawy głównej (sam do nich należał) nie udały. Rekonstrukcja kładki nad ul. Chłodną, z której mieszkańcy getta widzieli życie po aryjskiej stronie, to porażka.

Moim zdaniem lepsze są rzeczy niedoskonałe, ale zrobione – od doskonałych, które nie ujrzały światła dziennego. Dziś widać, że muzeum powstało w bardzo wąskim okienku możliwości. Polska wychodziła z okresu transformacji. Mówiąc brutalnie: już miała pieniądze na projekty kulturalne, bo kilka lat wcześniej, kiedy bezrobocie przekraczało 20 proc., inwestycję o takiej skali można by uznać za obśceniczną. A zarazem miała jeszcze zdolność do rozmowy. Pamiętam, że kiedy przedstawiciele Stowarzyszenia ŻIH przyszli do Lecha Kaczyńskiego i przekonali go do idei muzeum, to on z kolei ruszył przekonywać rząd, tworzony wówczas przez polityków SLD. W obecnym klimacie politycznym takie rozmowy trudno sobie wyobrazić, a więc i powstanie muzeum byłoby niemożliwe.

Inny przykład zamykającego się okienka: przywódca wielkiego europejskiego mocarstwa jest kobietą, która wychowała się w NRD. Angela Merkel naprawdę rozumie nas dużo lepiej, niż będą nas rozumieć jej następcy. Myśli pan, że polskie władze zdają sobie z tego sprawę?

Bardzo mnie Pan pociesza.

Pocieszyć pana? Jestem z pokolenia, które pamięta późny PRL i widziało, jak się zwiija ZSRR. Mam więc przekonanie, że coś, co jest słabe, ale ma solidny fundament, może zwyciężyć w walce z czymś, co wydaje się potężne, ale zbudowane jest na kłamstwie. To, jak w PRL-u władza przegrała wojnę o pamięć, powinno być dla obecnie rządzących przypomnieniem, że sama siła i lejąca się z publicznych mediów tępa propaganda nie wystarczą do narzucenia ludziom swojej narracji.

Nawiasem mówiąc: oczekuję rewizji myślenia o PRL-u. Pokolenie młodych badaczy już to robi. W tamtych czasach dużo więcej problemów wynikało po prostu z ludzkich słabości niż ze specyfiki komu-

nistycznej dyktatury. Warto też zdawać sobie sprawę, że granica między rządzącymi a rządzonymi przebiegała na różne sposoby, czasem w poprzek osób. Mieczysław Rakowski, zakopujący w stanie wojennym rękopisy swoich dzienników, był członkiem KC, redaktorem naczelnym będącej organem partii „Polityki”: jako władza to zakopywał czy jako społeczeństwo? Przed samym sobą to zakopywał?

Naprawdę będzie Pan teraz pisał o czasach poststalinowskich?

Och, tematów mam aż nadmiar. Często myślę o tym, że na naszych oczach w przeciagu jednego pokolenia zniknęła najbardziej trwała grupa społeczna w historii Europy – chłopci. Świat moich dziadków. Nawet wymyśliłem tytuł książki: „Pożegnanie z krową”. Kraj, w którym krowy miały imiona, stał się krajem, w którym są wielkie farmy z setkami zwierząt, a każde ma kolczyk z numerkiem. Tu nie chodzi tylko o zmianę relacji między człowiekiem a innymi stworzeniami, ale o coś bardziej fundamentalnego. Wszystko, czego potrzebujemy do życia, kupujemy, prawie wszystko, co wytwarzamy – sprzedajemy.

Skoro Pan wspomniął o dziadkach: polsko-żydowska historia była także ich historią.

Mieszkali pod lasem, w którym ukrywała się żydowska rodzina. Któregoś dnia przyjechali Niemcy. Wiedzieli, gdzie iść, bo ktoś ze wsi doniósł. Był z nimi lokalny kolaborant, tłumacz. Kiedy zabili Żydów, znalazł brzytwę, którą pożyczył im mój dziadek. Wedle przekazu mojej mamy wiedział skądś, że to brzytwa dziadka, przyszedł więc do niego i powiedział: „Zobacz, Żydzi brzytwę ci ukradli”. Dopiero jako zawodowy historyk zrozumiałem prawdziwy sens tej rozmowy. A on brzmiał mniej więcej tak: „Ja wiem, że im pomagałeś. Jesteś mi winien życie. Masz u mnie dług”. Wspominam tę historię i myślę: jak to możliwe, że w tym kraju rozwija się ruch neofaszystowski?

© P Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

PROF. DARIUSZ STOLA (ur. 1963), historyk, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN, dyrektorem Muzeum POLIN był w latach 2014–2019. Wydał m.in. „Kraj bez wyjścia? Migracje z Polski 1949–1989” i „Kampanię antysyjonistyczną w Polsce 1967–1968”.

PRZYJAŹŃ POSTU Z KARNAWAŁEM

W Środę Popielcową rozpoczynamy Wielki Post
– ważny liturgiczny czas Kościoła.
Jego sens dotyka uniwersalnych aspektów człowieczeństwa.

PIOTR SIKORA

CO MA WSPÓLNEGO ASCEZA Z PRZYJEMNOŚCIĄ? Czyż nie są przeciwieństwami? Czyż nie walczą ze sobą, jak na słynnym obrazie Pietera Bruegla Starszego: brzuchaty biesiadnik siedzący na beczce wina z wiezionym na twardym krześle kostycznym ascetą? Karnawałowa armia rumianego grubasa gra w kości, tańczy, pije i śpiewa. Wojsko pokutnika o szarej twarzy kornie idzie za nim w procesji z kromkami suchego chleba.

Asceza przyjemności

Starożytny grecki filozof Epikur z Samos zdziwiłby się zapewne, oglądając słynny obraz flamandzkiego malarza. I to wcale nie dlatego, iżby nie rozumiał którejś ze stron namalowanej wojny. Owszem, w popularnej świadomości epikureizm jest kojarzony z hedonistycznym podejściem do życia. Prawda, jego założyciel wprost uznał w swoich pismach przyjemność za cel życia. Ale wiedział, że każda ze stron tak plastycznie odmalowanych przez mistrza Bruegla może osiągnąć to, o co jej w życiu chodzi, tylko wówczas, gdy pogodzi się z tymi, którzy panują po drugiej stronie obrazu.

Jak głosi starochińska mądrość „Księgi dao i de”, opozycje nawzajem nadają sobie sens: „Byt i niebyt rodzą siebie nawzajem, łatwe i trudne wzajem wzrastają, długie i krótkie przydają sobie kształtów wzajemnie (...) a dźwięki wysokie i ni-



skie razem tworzą harmonię”. Epikur zapewne nie czytał zapisków Laozi, lecz widział świat – a przynajmniej niektóre jego aspekty – podobnie do chińskiego Starego Mistrza.

Współczesna kultura skłania się z pewnością w stronę karnawału. Mało kto wybiera z chęcią pokutne umartwienia. Skwapliwie zaś zgodzimy się ze zdaniem Epikura, iż „przyjemność jest celem życia szczęśliwego”. Zaczniemy zatem od tej strony.

Warto tu wziąć pod rozwagę, że mistrzowi z Samos nie było obojętne, jaka przyjemność przed nim staje. Jemu nie chodziło wcale o intensywne zmysłowe doznania ani psychiczne pobudzenie, jakie daje na przykład uwielbienie tłumy: „przyjemność, którą mamy na myśli – podkreślał – charakteryzuje nieobecność cierpień fizycznych i brak niepokoju duszy”.

Osiągnięcie tego celu wymaga dobrego rozeznania, w jaki sposób rozma-

ite życiowe sprawy są ze sobą powiązane, jak się wzajemnie warunkują, które się wykluczają. A że związki są w tej sferze skomplikowane, Epikur ostrzega swoich potencjalnych uczniów: „nie uganiamy się bynajmniej za wszelką przyjemnością, lecz nieraz rezygnujemy z wielu; postępujemy tak zwłaszcza wtedy, gdy spodziewamy się z ich powodu doznać więcej przykrości; a bywa i tak, że wiele przykrości stawiamy wyżej od przyjemności, co zachodzi wówczas, gdy po przeżyciu długotrwałych boleści spodziewamy się doznać większej przyjemności”.

By osiągnąć epikurejski cel, potrzebne jest ćwiczenie – swego rodzaju asceza – rezygnacja z wielu rozmaitych doznań, trening umiejętności nazywanej przez psychologów „zdolnością odraczania gratyfikacji”, dokonywanie wyboru tylko niektórych spośród mnóstwa kuszących możliwości.

Jak zaś możliwości kuszają? Rzadko działamy na zasadzie bodziec–reakcja, bez ja-

kiegoś udziału świadomości. Zwykle zewnętrzne działanie, tj. w tym przypadku czynne dążenie do przyjemności, kierowane jest pragnieniami doświadczanymi niejako wewnątrz podmiotu. Te jednak mają bardzo różną naturę. Posłuchajmy znów Epikura: „Wśród pożądań można wyróżnić naturalne i konieczne oraz naturalne i niekonieczne; są wreszcie i takie, które nie są ani naturalne, ani konieczne, a są tylko wytworem czczych urojeń”.

Klucz do szczęścia znajduje się w zdolności rozpoznania, które z naszych pragnień są niekonieczne, a zwłaszcza – które są owocem „urojeń” – błędnego postrzegania rzeczywistości i tego, co w niej wartościowe, a co nie. Z tego względu niezbędnym elementem życia powinien być „trzeźwy rozum, dociekający przyczyn wszelkiego wyboru i unikania, odrzucający czcze domysły, owo źródło największych utrapień duszy”. Dopiero owo trzeźwe rozeznanie w mechanizmach, które wzbudzają nasze pragnienia, i – szerzej – we wzajemnym powiązaniu pojawiających się w nas chęci jest warunkiem stopniowego uzyskiwania spokoju ducha – i wolności.

Droga do wolności

Kwestii wolności nie można uniknąć – ona bowiem również jest wielkim pragnieniem (współczesnego? każdego?) człowieka. Nowy wspaniały świat opisany przez Aldousa Huxleya, oferujący przyjemność, ale bez wolności, nie jawi się nam (gdy tylko dostrzeżemy jego prawdziwą naturę) wcale jako wspaniały.

Łatwo uznać dystopię Huxleya za wyłącznie literacką fantazję, która w naszej rzeczywistości wcale się nie realizuje. Trudniej uświadomić sobie, jak głęboko wchodzi w nasze realne życie. Jak zauważył inny z greckich filozofów, tym razem ze szkoły stoików, Epiktet: „Panem nad każdym człowiekiem jest ten, kto ma władzę użyczyć, czego ów ktoś pragnie, jak i zabrać, czego ten nie chce”. Takim „panem” może być inny człowiek, może zaś i bezosobowa siła, niezależny od nas splot okoliczności, albowiem „człowiek, który pożąda albo chce uniknąć rzeczy niezależnych od siebie, z konieczności staje się igraszką bezustannej zmienności i przemieszania”.

→

Pieter Bruegel Starszy, „Walka postu z karnawalem”, dolny fragment, 1559 r.



WEB GALLERY OF ART

⇒ Mądrość greckiej filozofii spotyka się w tym miejscu z nauczaniem Buddy, który umierając wygłosił do swych uczniów ostatnie dwa zdania nauki: „Wszystko, co złożone, podlega zniszczeniu. Trudźcie się gorliwie”. Przecież wszystko na tym świecie jest złożone – może ktoś powiedzieć. Tak, nie ma więc na nim niczego trwałego. Niczego zatem nie możemy posiadać bez ryzyka utraty. Stąd, jeśli tylko chcemy być szczęśliwi trwale, wypływa konieczność – po prostu – trudu wygaszania przywiązań.

Epiktet radzi zatem: „Kto chce wolnym zostać, ten niech ani się nie rwie do rzeczy, ani też niech nie ucieka od rzeczy, które są zależne od kogoś innego. Inaczej będzie niewolnikiem”. Stoicki filozof wiedział, o czym pisze. Urodził się w imperium rzymskim jako niewolnik. W dojrzałym wieku został wyzwolony. Mógł doświadczyć na własnej skórze, jaka jest różnica pomiędzy wolnością w strukturze społecznej a wolnością wewnętrzną. Ta pierwsza jest ważna, ale zawsze niepewna, bo nie do końca nasza, zawsze jakoś darowana – z możliwością odebrania daru. Ta druga – do szpiku podmiotowa, własna, zyskiwana i tracona przez nas samych.

Kim jesteś

Stoicy, podobnie jak Epikur, mówią nam, że bez rozeznania, co od nas jest, a co nie jest zależne, nie osiągniemy szczęścia, którym jest – ostatecznie – pokój ducha. Potrzebna jest więc praca nad właściwym postrzeganiem rzeczywistości. Tym bardziej że – to kolejna obserwacja Epikteta – „nie same rzeczy bynajmniej, ale mniemanie o rzeczach budzą w ludziach niepokój”. Właśnie dlatego, że pragnienia wzbudzane są nie tyle przez rzeczywistą wartość rzeczy, ile przez to, jak subiektywnie tę wartość postrzegamy, możliwe jest pojawienie się pożądań, które Epikur nazywa urojonymi – a w konsekwencji możliwe jest manipulowanie nami przez odpowiednie przedstawianie świata.

Czyż nie na tym właśnie opiera się przemysł reklamowy? Reklamy nie prezentują nam rzeczywistych rzeczy do kupienia. Namawiając w istocie do zakupu tej a nie innej marki roślinnego masła, udają, że oferują rodzinne szczęście w trakcie wspólnego posiłku przy stole. Albo sugerują, że tylko jedna transakcja przy kasie dzieli nas od przemiany w twardego przystojniaka, odważnego

Pozbawieni przez jakiś czas tych lub tamtych bodźców, doznań, przeżyć, możemy doświadczyć, co się z nami dzieje w sytuacji braku.

i pewnego siebie – choć w zamian za spory przelew dostajemy tylko maszynkę do mierzenia upływu czasu, która w żaden sposób nie potrafi zmienić naszej osobowości.

Budda miał więc chyba rację, gdy stwierdzał, że przywiązanie do rozmaitych rzeczy nie tylko ogranicza naszą wolność, ale w pewnym sensie określa samą naszą tożsamość: „Ignąć do czegoś, wchodzi się w określoność, nie Ignąć do niczego, nie wchodzi się w określoność”. Lgnięcie to przemożne pragnienie, które nad nami panuje, aż do tego stopnia, że określa, kim chcemy być. By uzyskać autentyczność własnej egzystencji, potrzebny jest post pragnień, zwany przez Mistrza Eckharta odosobnieniem. Jak bowiem zauważył ten średniowieczny mistik, serce odosobnione „nie pragnie być pod czymś ani nad czymś, chce istnieć samo z siebie; nie chce być przedmiotem niczyjej miłości czy udręki. (...) nie chce tego czy tamtego. Chce tylko być, nic poza tym”.

Post świadomości

Nie tylko bezinteresowni filozofowie są świadomi możliwości manipulowania człowiekiem za pomocą wzbudzania w nim odpowiednich pragnień. Specjaliści od reklamy i marketingu także korzystają z tej wiedzy. Zapewne ich praca nakręca gospodarkę, ale jednocześnie raczej nie służy równowadze ducha. Czyż nie miał znowu racji Laozi, gdy pisał: „Jeśli by nie napawano wzroku tym, co rozbudza pragnienia, w sercach i umysłach ludzi nie byłoby chaosu”?

Odpowiednio skonstruowany przekaz zawsze choć trochę wzbudza w nas poczucie niespełnienia – tak naprawdę nieadekwatne do rzeczywistej życiowej sytuacji. Z tego względu pozytywne jest pilnowanie tego, na co patrzymy i czego słuchamy, a czasami – wycofanie się w otoczenie uboższe w bodźce, a zwłaszcza po-

zbawione tego „co rozbudza pragnienie”. Nauka dystansu – nieodłącznego towarzysza wolności.

Na przykładzie reklam widać bowiem, jak to, co urojone, żywi się prawdziwą, lecz nie do końca świadomą siebie potrzebą. Nie jest prosto rozpoznać ten dziwny splot. Potrzebna jest (wiedzieli o tym Epikur i stoicy) uważność, wypracowana odpowiednim ćwiczeniem. Choćby takim, jakie zalecał Epiktet: „Starać się każdemu gwałtownemu wyobrażeniu natychmiast przeciwdziałać, tak mówiąc: »Jesteś tylko wyobrażeniem, częścią marą rzeczy, którą przedstawiasz«”.

Sama praca wyobraźni jednak nie wystarczy. Potrzebne są – od czasu do czasu – życiowe eksperymenty, czas, w którym próbujemy, do czego i jak bardzo jesteśmy przywiązani – rezygnując w danym momencie z realizacji pewnych pojawiających się w nas pragnień. Dopiero pozbawieni przez jakiś czas tych lub tamtych bodźców, doznań, przeżyć, możemy doświadczyć, co się z nami dzieje w sytuacji braku.

Korzyść z takiego ćwiczenia polega i na tym, że nadmiar bodźców – tak charakterystyczny dla naszej kultury – stępią także wrażliwość. Organizm broni się, by nie czuć za dużo. Post pozwala także odzyskać czułość wobec świata. Jak zanotował Epikur: „jęczmienny chleb i woda sprawiają największą rozkosz, jeśli je spożył głodny”.

Radość istnienia

Epikura i stoików często historycy filozofii sobie przeciwstawiają. Choćby dlatego, że ten pierwszy zalecał luz i odprężenie, ci drudzy zaś ćwiczyli się w napiętej uwadze na wszystko, co wokół. Można jednak potraktować obie rady jako uzupełniające się i korygujące nawzajem – daoistyczne *yin* i *yang*: miękkie i twarde, pasywne i aktywne.

W tej perspektywie epikurejskie odprężenie i stoicki natężony wysiłek potrzebują się nawzajem. Zachowywanie uważnej świadomości jest pewną pracą, która wymaga trudu i swoistego napięcia – pilnowania siebie, niepozwalania sobie na rozproszony błędny bieg myśli, odnotowywania pojawiających się uczuć itp. Z drugiej strony nie jest dobrze, gdy owa czujność ducha nabierze charakteru sztywniejszej nerwowości. Lepiej, gdy tej pracy ducha towarzyszy swoboda i luz. Cała sztuka w równowadze.

Równowaga *yin i yang*, postu i karnawału ujawnia cel obejmujący obie strony życia. Jak czytamy w „Księdze dao i de”, człowiek mądry wszelkie sprawy „powołuje do życia, lecz ich nie posiada, czyni, lecz nie dla korzyści, osiąga pełnię, lecz nie dla poklasku”, „działa, lecz nie czyni zależnym”. Żyjąc w ten sposób nie zniewala nikogo i tym samym nie traci własnej wolności. Jest – zgodnie z radą Jezusa zapisaną w apokryficznej ewangelii Tomasza – „przechodzącym obok”. Nie odrzuca przy tym świata jako czegoś złego, ale po prostu pozwala mu istnieć – zgodnie z hinduską radą wyrażoną w średniowiecznym traktacie Asztawakra: „Niechże w tobie, nieskończenie wielkim oceanie, fala świata, z naturą swą zgodnie, podnosi się i opada – dla ciebie to ani zysk, ani strata”. Sam nie musi już osiągać tego czy tamtego, ani nawet być tym czy kimś innym – cieszy się radością czystego istnienia.

Bóg bez etykiety

Z chrześcijańskiego punktu widzenia nasuwa się tu oczywiście pytanie: gdzie

w tej praktyce jest Bóg? Aby na nie odpowiedzieć, warto, po pierwsze, zauważyć, że Bóg staje się obecny nie tylko tam i jedynie wtedy, gdzie i kiedy w naszej świadomości pojawia się ktoś z Jego imion. Podobnie jak chwaleni na Sądzie Ostatecznym z Ewangelii Mateusza nie wiedzieli, że karmiąc głodnych i odwiedzając chorych, karmili i odwiedzali Jezusa, tak i wewnętrzne doświadczenie nie musi zawierać w sobie myśli: „Bóg!”, „Chrystus!”, by być doświadczeniem Jego.

Jak poucza Nowy Testament: „kto kocha, narodził się z Boga i zna Boga” (1 J 4, 7), a kto „trwa w miłości, trwa w Bogu, a Bóg trwa w nim” (1 J 4, 16). Zgodnie z ewangeliczną wizją miłość to działanie bezinteresowne, nienapędzane egocentrycznym pragnieniem, uważne na dobro drugiej lub drugiego, wspierające ją lub jego bez próby zawłaszczenia i wykorzystania. Praktyka postu, o jakim tu mówimy, prowadzi właśnie do takiego sposobu działania.

Podobnie rzecz się ma z doświadczeniem wewnętrznym. Jak pisze jeden z najwybitniejszych ojców pustyni, Ewa-

griusz z Pontu, w każdym z nas istnieje „miejsce Boga” – głębia czystego umysłu, w którym „odbija się” Ostateczna Rzeczywistość. Ewagriusz zauważa zaś, że „umysł nie będzie mógł dostrzec w sobie »miejscu Bożego«, o ile nie wzniesie się ponad wyobrażenia związane z rzeczami; nie wzniesie się zaś ponad nie, o ile wcześniej nie uwolni się od doznań, które za pośrednictwem wyobrażeń wiążą go z rzeczami postrzegalnymi zmysłowo”.

Owa „wolność od doznań” nie oznacza braku wszelkich bodźców. „Czysty umysł – kontynuuje Ewagriusz – nie ulega zmęczeniu, gdy wspomina złożoną rzeczywistość świata”. Chodzi o sposób funkcjonowania, w którym nawet zaangażowani w rozmaite sprawy pozostajemy – jak mawiał Budda – „pogodni jak głębokie, czyste i spokojne jezioro”. To jak oddychanie. Wdech – przyjmujemy powietrze, takie, jakie nas otacza. Wydech – nie zatrzymujemy w sobie, wypuszczamy. Tak jest i z Bogiem – Duchem, pneumą, Świętym Wiatrem, w którym żyjemy, poruszamy się i jesteśmy. ©© PIOTR SIKORA

Katolicka szkoła otwarta

Młódzież rezygnuje z religii”, „Pustki na lekcjach religii”, „Młódzież żegna się z katechizacją” – krzyczą nagłówki prasowe. Medialne doniesienia potwierdzają szkoły oraz nauczyciele. Czemu tak się dzieje?

Niektórzy wskazują na przeładowanie planu lekcji, szczególnie dotkliwe z powodu tak zwanego „podwójnego rocznika”. Skoro uczniowie mogą rezygnować z lekcji religii i etyki, to być może robią to w trosce o swoje siły – zawsze to dwie godziny w tygodniu mniej.

Inni wskazują na szersze trendy – coraz mniej osób ufa instytucji Kościoła, spada religijność, zwłaszcza wśród młodych. Według badań Pew Research Center, gdy zapytać młodych dorosłych (18-39 lat) oraz osoby po czterdziestce o znaczenie religii w ich życiu, w żadnym z badanych społeczeństw w Europie różnica między tymi grupami nie jest większa niż w Polsce. Zapewne wśród młódzieży szkolnej trend ten jest tylko silniejszy.

Kolejni przekonują, że to sposób prowadzenia katechezy w szkole nie odpowiada na potrzeby młódzieży.

Problem pierwszy nie zależy od poszczególnych szkół czy nauczycieli. Drugie zjawisko ma tak różne i głębokie przyczyny, że trudno oczekiwać, że pojedynczy katecheta będzie w stanie mu przeciwdziałać. Nie zwalnia go to jednak z działania. Dla konkretnych uczniów nauczyciel religii może bowiem stanowić spotkanie z takim Kościołem, który odpowiada na pragnienia młodego człowieka. Lekcja religii – prowadzona przez katechetę, który zda sobie sprawę także z problemu trzeciego – może być przestrzenią dialogu i poszukiwania. Nie tylko dla wierzących!



Dobry przykład daje ksiądz Damian Wyżkiewicz, wyróżniony w konkursie na „Nauczyciela Roku”. W „Tygodniku” mówi: „Zbyt często na lekcjach religii narzuca się uczniom jedną odpowiedź, zamiast razem poszukiwać drogi. (...) Warto zaufać młodym ludziom, że oni też chcą uczciwie szukać. I im to umożliwić. Inaczej zajmujemy się nie nauczaniem, lecz indoktrynacją”.

Tak samo myślimy w Szkole im. Cecylii Plater-Zyberkówny w Warszawie, w której uczę. Są do niej zaproszeni wszyscy – wierzący na różne sposoby, poszukujący i niewierzący. Razem tworzymy społeczność, w której – nie tylko podczas lekcji religii – wierzymy w pluralizm i dialog. Rozmawiamy na tematy ważne dla uczniów, podejmujemy wspólny wysiłek nawrócenia ekologicznego i kształtowania dojrzałej duchowości (niezależnie od wiary lub jej braku). Staramy się uwrażliwiać na ludzki los poprzez udział w akcjach charytatywnych i spotkaniach z osobami potrzebującymi oraz działającymi na ich rzecz. Pragniemy pokazywać uczniom, że wszyscy powinniśmy szukać prawdy, a także wyciągać konsekwencje z tego, co znaleźliśmy, w codziennym życiu.

Otwartość to jedyny sposób, jaki znamy, by zachęcać młodych ludzi (również nie-religijnych) do poznania Kościoła (a także do ewentualnego w nim udziału). Wynika ona wprost z DNA naszej szkoły, z którą przed wojną współpracował ksiądz Władysław Kornitowicz, założyciel Dzieła Lasek, przekraczający bariery światopoglądowe i wyznaniowe. Szkoły, której uczniowie podczas rekolekcji odwiedzają placówki opiekuńcze, by łączyć to, co duchowe, z tym, co ziemskie. Szkoły, w której od lat z postugą rekolekcyjną gości ksiądz Adam Boniecki. Również w tegorocznym Wielkim Poście wygłosi on rekolekcje dla całej naszej społeczności. Społeczności, jako się rzekło, otwartej. Jest to więc zaproszenie również dla wszystkich osób czytających „Tygodnik Powszechny”.

Zapraszamy 8-10 marca (niedziela-wtorek), codziennie o godz. 18, do „Platerek” (ul. Piękna 24/26 w Warszawie)!

IGNACY DUDKIEWICZ – filozof, bioetyk i publicysta. Redaktor naczelny Magazynu „Kontakt”. Nauczyciel w liceum im. Cecylii Plater-Zyberkówny w Warszawie.



Prace przygotowawcze przed ustawieniem kolumny Matki Bożej na Rynku Starego Miasta w Pradze, luty 2020 r.

żonego kamieniami zmieszanymi z ziemią. – Tak w 1650 roku budowano fundamenty pod pomniki – wyjaśnia Vania. W najbliższych tygodniach teren zbadają archeolodzy, a potem zostanie wylany nowy fundament z betonu. Wiosną, prawdopodobnie w kwietniu, ma się rozpocząć stawianie samego obelisku.

Oczywiście jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem. A wcale nie musi, bo pomnik wzbudza ogromne namietność. Obalono go w momencie powstawania Czechosłowacji – masarykowskiej, antyklerykalnej I Republiki w 1918 r. Demolka była gestem o charakterze politycznym. Od tamtego czasu trwają spory o odbudowę. Odżyły po upadku komunizmu i trwały ponad 30 lat. Władze miasta raz są bardziej, raz mniej życzliwe temu pomysłowi. Trzy lata temu przegłosowały ostateczną decyzję o zakazie odbudowy. Po czym w styczniu tego roku tę ostateczną decyzję anulowały i zobowiązały stosowne urzędy do wydania wszelkich niezbędnych zgód na budowę. To dlatego rzeźbiarz Petr Vania ze współpracownikami mógł rozpocząć prace.

Kij w mrowisko

Czy wobec takich wahań można być pewnym, że władze znowu nie zmienią zdania? Albo że ktoś znowu nie obali już odbudowanego pomnika? Albo przynajmniej zbezcześci?

Vania rozkłada ręce. – Ja jestem tylko rzeźbiarzem – odpowiada.

Ale to przesadna skromność. Nad odbudową obelisku pracuje od 1997 r. Szczegółowo opowiada, jak studiował konstrukcję budowli, gromadził pieniądze, szukał materiałów. Do tej pracy został wynajęty przez powstałe w 1990 r. Stowarzyszenie na rzecz Odbudowy Obelisku NMP w Pradze. To grupa pasjonatów, konserwatorów zabytków, historyków sztuki, ale też działaczy katolickich. W serii publicznych akcji uzbierali potrzebne pieniądze, wynajęli rzeźbiarza i przez lata starali się o odbudowanie obelisku. Od początku było jednak jasne, że problemem jest wola polityczna. Po pierwszej wzmiance o ewentualnej odbudowie pod stacjami metra w centrum stolicy pojawiły się turystyczne stoliki, na których rozemocjo-

Kłątwa maryjnej kolumny

TOMASZ MAĆKOWIAK

Wydawało się, że obelisk Najświętszej Marii Panny już na praski Rynek nie powróci. Właśnie zaczęły się prace budowlane i na nowo rozgorzał spór, w którym religia miesza się z historią i polityką.

RYNEK STAREGO MIASTA W PRADZE. Kilkadziesiąt metrów od pomnika czeskiego reformatora religijnego Jana Husa stoi od kilku dni płot z drucianej siatki i białego plastiku. Ustawiony w czworobok, zasłania to, co się dzieje w jego wnętrzu. Petr Vania uchyla bra-

mę. – Proszę wejść, mamy akurat przerwę obiadową.

Za płotem samochód dostawczy, mała koparka i kilku mężczyzn w roboczych strojach. Kręcą się po głębokim na niecały metr dole. Bruk już zdjęto i teraz trwa zamiatanie wielkimi miotłami dna, wyło-

TOMASZ MAĆKOWIAK

nowani ludzie zbierali podpisy pod petycjami do prezydenta, parlamentu, rządu. Jedni byli głośno za, inni głośno przeciw.

Napięcie nie opadło do dziś. „Dzień dzisiejszy to symboliczny koniec kontynuacji I Republiki jako państwa świeckiego, pluralistycznego, demokratycznego i plebejskiego. (...) Rewolucja konserwatywna odniosła kolejne zwycięstwo” – tak w poniedziałek 17 lutego napisał na Facebooku Ivan Štampach. To znany w Czechach pisarz i publicysta, a przy tym w latach komunizmu prześladowany, tajnie wyświęcony ksiądz, członek konspiracyjnego zakonu dominikanów. Już w latach wolności zrzucił habit, rozczarowany bezduszną biurokracją i oportunistą Kościoła.

Z drugiej strony wśród katolików (w Czechach stanowią 10-procentową mniejszość) krążą pobożne legendy o tym, że dopiero po odbudowaniu obelisku w kraju zapanuje pokój i dobro, albo nawet opowieści o kłatwie, jaka spadła na bezbożników, którzy przed stu laty podnieśli rękę na Matkę Bożą.

Zdobywanie Pragi

Jeśli poważnie traktować takie opowieści, to jakaś kłątwa ciąży nad kawałkiem terenu w trójkącie między ratuszem Starego Miasta, górującym nad Rynkiem kościołem Panny Marii przed Tynem a stojącym w sąsiedztwie pomnikiem Jana Husa. Obiekty te dzieli od siebie odległość od kilkudziesięciu do dwustu metrów. Każdy jest jednak przez kogoś czczony, a dla kogoś innego jest kamieniem obrazy. Sytuacja przypomina jerozolimskie Wzgórze Świątynne.

Historycznie obszar ten zaczyna się od razu pod ścianą ratusza: na ciemnym bruku z jaśniejszej kostki ułożono 27 krzyży i datę „21.06.1621”. To data egzekucji 27 „czeskich panów” – liderów antyhabsburskiego powstania. Egzekucja ta w narodowej mitologii symbolizuje ostateczną klęskę husyckich Czech i początek 300-letniej dyktatury katolickiej. W tej mitologii nie ma miejsca na szczegóły, np. że niektórzy ze skazanych byli Niemcami, a nie Czechami, a sam kat był nie dość, że Czechem, to w dodatku umiarkowanym husytą.

Koparka za prowizorycznym płotem pracuje około 30 metrów od tego miejsca. Zrodzony w XIX wieku nacjonalizm stworzył legendę o tym, że Obelisk Najświętszej Marii Panny zbudowali Habs-



Kościół św. Mikołaja na praskim Rynku Starego Miasta i kolumna maryjna, pocztówka z 1914 r.

burgowie jako symbol swojej dominacji nad podbitym, kacerskim krajem.

– Tyle że to nieprawda, bo obelisk powstał 30 lat po egzekucji i nie ma z nią nic wspólnego – opowiada mi prof. Jan Bradna, konserwator zabytków, którego spotkałem na miejscu budowy. W rzeczywistości poszło o zupełnie inną wojnę: w 1648 r. Pragę oblegli Szwedzi, którzy cieszyli się wtedy sławą podobną do Hunów i zdesperowani mieszkańcy miasta spodziewali się rzezi. Oblężenie trwało ponad rok. Pragi broniło kilkuset mieszczan, żołnierzy, a nawet zakonników, których w wyjątkowej sytuacji zmuszono do walki. Na ścianie jednej ze stojących do dziś kamienic mieszkająca tam rodzina włoskich rzemieślników Miserone powiesiła obraz Matki Bożej, pod którym trwały modlitwy o ocalenie. – I mimo przewagi liczebnej jednak się udało! – mówi prof. Bradna. Uznano to za cud – Matka Boża obroniła katolicką Pragę przed protestanckimi najeźdźcami.

Obelisk powstał z wdzięczności za ocalenie. W jego podstawie była kapliczka, w której wisiał obraz rodziny Miserone.

Ale miejsce postawienia obelisku też nie było przypadkowe, bo 20 lat wcześniej doszło w tym miejscu do profanacji. Trwała wojna 30-letnia i przez kraj prze-

chodziły akurat wojska saskie. Złupiły m.in. Starą Boleslav, skąd zrabowano narodową świętość – Palladium Ziem Czeskich, czyli wykonany z miedzi wizerunek Matki Bożej, patronki Królestwa Czeskiego. Rzekomo z metalu z przetopionych pogańskich bożków odlał go ośrodek św. Metody i podarował Ludmille – legendarnej założycielce Pragi.

Sasi, w przeciwieństwie do Szwedów, Pragę zdobyli i w tryumfalnym geście czczony powszechnie obraz przybili gwoździem do symbolicznej szubienicy na środku Rynku. Kiedy 20 lat później stawiano obelisk, historia profanacji była świeża i maryjną budowlę traktowano także jako zadośćuczynienie. Samo Palladium nieco później wykupili katolicycy arystokraci i do dziś jest ono przechowywane w Starej Boleslavi. Dziura po gwoździu jest zakryta drogim kamieniem, na twarzy Matki Bożej widoczne są wyraźne rysy.

Symbol mimo woli

Od strony północnej na placu budowy z koparką patrzy ze swojego pomnika Mistrz Jan Hus, postawiony tu w 1915 r., czyli jeszcze za panowania Habsburgów. Obiekt ufundowano również z publicznych zbiorów, także po kilkunastu latach starań i zabiegów, przy sporych kontrowersjach. To też był gest ideowy – stawiając ten pomnik, Czesi identyfikowali się jako wspólnota „niekatolicka” albo nawet „antykatolicka”. Wtedy nikt nie znał napisanej we wzruszającej, średniowiecznej czeszczyźnie modlitwy do Matki Bożej, ułożonej przez samego Husa. Religijność maryjną kojarzono z Wiedniem i Watykanem.

Oba pomniki stały obok siebie tylko trzy lata. 3 listopada 1918 r., pod hasłami „Precz z Wiedniem, precz z Rzymem”, obelisk został powalony na bruk. Dziś jedni twierdzą, że zrobił to „lud”, inni, że kilkudziesięciu radykałów z ugrupowań anarchistycznych. W praktyce wyglądało to tak, że grupa strażaków z Žižkova z drabiną pomogła zarzucić na samą figurę Matki Bożej powróż, którym udało się całą konstrukcję rozhuścić i powalić. Akcja była spontaniczna i chaotyczna, towarzyszyły jej przepychanki obrońców obelisku z anarchistami. Przed demolką uproszono strażaków, aby pozwolili zabrać z kapliczki obraz rodziny Miserone. Do dziś jest przechowywany w stojącym obok kościele Matki Bożej przed Tynem. →

⇒ Anarchiści ponoć chcieli kontynuować akcję i pospychać do Wełtawy rzeźby z mostu Karola, ale powstrzymała ich policja. Profanację potępił parlament, rząd wezwał do zaprzestania podobnych działań. Mimo to do odbudowy obelisku w międzywojniu nie doszło, choć próby były podejmowane.

Czeski barok

– Dla mnie to jest arcydzieło, od którego zaczął się jeden z najpiękniejszych okresów w historii czeskiej kultury: barok – mówi Vania. Nie kryje, że jest katolikiem, podobnie jak jego towarzysze. Odbudowa obelisku to jednak dla nich przede wszystkim kwestia estetyczna, a nie symboliczna. Prof. Jan Bradna jest konserwatorem zabytków. Z obeliskiem los zetknął go w latach 80. Znajomy z Muzeum Narodowego poprosił go, aby rzucił okiem na resztki rozbitej rzeźby, która marniała w Lapidarium. Nie miał pojęcia, że to szczątki figury Matki Bożej, a historię obelisku znał tylko z anegdot.

– Barok czeski zaczął się od tego, że w Pradze postawiono ten obiekt, wyrzeźbiony z piaskowca – wyjaśnia. We Włoszech podstawowym tworzywem był nieobecny w Europie Środkowej marmur. A piaskowiec jako budulec pozyskiwano w każdym miasteczku. – Kiedy się okazało, że ten materiał nadaje się do tworzenia tak pięknych obiektów, fala barokowych arcydzieł rozlała się po całym kraju.

Oba pomniki stały obok siebie tylko trzy lata. 3 listopada 1918 r., pod hasłami „**Precz z Wiedniem, precz z Rzymem**”, obelisk został powalony na bruk.

Petr Vania figurę Matki Bożej wykuł właśnie w Lapidarium, wzorując się na fragmentach rozbitego oryginału. Jego kopia już kilka lat temu trafiła na Rynek Starego Miasta, ale ponieważ nie było zgody na odbudowę, stoi ukryta pod ścianą kościoła Matki Bożej przed Tynem na prowizorycznej kolumnie ze stalowych kształtek.

Oporu przed jej ustawieniem na Rynku na razie nie czuć, ale rzecz jest świeża i trudno się spodziewać, żeby emocje nagle wyparowały. Kilka lat temu, w czasie kolejnej odsłony narodowej debaty znany przeciwnik odbudowy, lewicowy działacz Martin Stropnický apelował w telewizji: „Pamiętajcie, że na tym terenie cokolwiek ruszycie, ryzykujecie obrazą uczuć religijnych jednej albo drugiej strony”.

Rzeczywiście: kościół Panny Marii przed Tynem był przed 1621 r. jedną z najważniejszych świątyń husyckich w mieście. Na portalu miał umieszczony husycki złoty kielich – symbol komunii pod dwiema postaciami. Zdjęto go potem w czasach kontrreformacji. Teraz strona katolicka sporu zapewnia, że po prostu chce przywrócić oryginalny wygląd Rynku z początku XX wieku. Na dowód bezstronności, na polecenie władz Kościoła na portal świątyni wrócił złoty kielich. Zdaniem inicjatorów odbudowa obelisku jest tylko dokończeniem tego projektu, a jednocześnie znakiem pojednania.

Pomnikowe wojny

Już się zbierałem do wyjazdu z Pragi, kiedy zadzwonił znajomy dziennikarz z wiadomością, że mu przykro, ale za-trzymali go w pracy i nie da rady wyskoczyć na pogaduszki. Przypomniał mi jednak, że symboliczne pomniki najprawdopodobniej zdominują czeskie życie publiczne na najbliższe miesiące, a może i lata.

Oto w 2016 r. w mieście o husyckiej tradycji – Taborze – postawiono pomnik jednego z najsławniejszych wojowników tej doby, Jana Rohacza. „A gdyby tak katolicy, którzy uważają go za okrutnika i ob-zaroburcę, przyjechali z drabiną i pomnik powalili, to też byśmy czekali 100 lat na odbudowę?” – pytali internauci tuż po odsłonięciu obiektu.

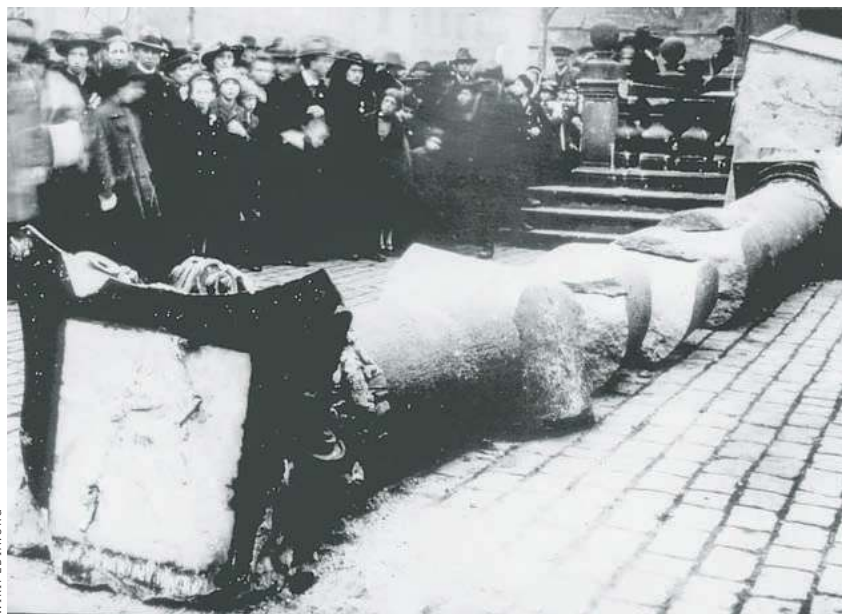
Pomnik na razie stoi nienaruszony, ale w Pradze wybuchł konflikt wokół usunięcia z dzielnicy Dejvice posągu marszałka Koniewa (wyzwolił Kraków i Pragę bez niszczenia obu miast, ale w 1968 r. brał udział w inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację). Figury niemal cały czas pilnuje policja, od miesięcy jest zasłonięta specjalnymi ekranami.

Z kolei władze dzielnicy Řeporyje planują budowę pomnika ROA – armii kolaborującego z hitlerowcami generała Własowa, której oddziały w 1945 r. w Pradze wypowiedziały posłuszeństwo Niemcom i stanęły po stronie antyhitlerowskiego powstania praskiego.

Czeskie gazety, telewizje i internet są tych sporów pełne. Znajomy dziennikarz wzdycha na samo wspomnienie. – Wiosna będzie ciepła, czeka nas wiele ciekawych akcji na świeżym powietrzu.

TOMASZ MAĆKOWIAK ©

Maryjina kolumna zniszczona na Rynku Starego Miasta w Pradze, jako symbol monarchii habsburskiej, listopad 1918 r.





TOMASZ KAWKA / EAST NEWS

ZBIGNIEW NOSOWSKI

Najlepiej nic nie zmieniać, czyli jakoś to będzie

NASZ KOŚCIÓŁ ZNAJDUJE SIĘ NA DZIEJOWYM ZAKRĘCIE. Opisujemy ten moment głównie w kategoriach socjologicznych. Mówimy o roztrwonionym autorytecie, utraconej wiarygodności, zmarnowanych szansach. Sam już pisałem o samosekularyzacji i kolejnych biskupich kompromitacjach wizerunkowych czy moralnych.

Warto jednak spojrzeć na tę sytuację głębiej – od strony duchowej. Dostrzec nie tylko problemy, lecz także pokusy, z jakimi obecnie się zmagamy. Realna zmiana postępowania wymaga motywacji głębszej niż tylko troska o własny wizerunek.

W tym właśnie duchu chcę podczas Wielkiego Postu opisać główne pokusy, przed jakimi – moim zdaniem – stoimy jako wspólnota Kościoła. W języku Biblii pokusa to doświadczenie próby. Bóg „dopuszczając pokusę, wskaże sposób jej przezwyciężenia” (1 Kor 10, 13).

Zaczynam od pokusy przyzwyczajenia, bo gotowość do przemiany to podstawa nawrócenia. Duchowe przyzwyczajanie do duszpasterskiego *status quo* – o którym tu chcę mówić – oznacza głęboko zakorzenioną niechęć do zmiany, postrzeganie wszelkich propozycji jako w najlepszym przypadku nowinkarstwa, a najczęściej jako zagrożenia dla zdrowej polskiej katolickiej tożsamości.

W wielu miejscach naszego Kościoła – od małych wspólnot i parafii poczynając, przez zgromadzenia zakonne aż po kierownictwo episkopatu – panuje duchowy klimat zadowolenia z tego,

PRYZWYCZAJENIE

Szczególnie mocne jest przywiązanie do dotychczasowych form działania. Zawsze były określone nabożeństwa, nowenny, procesje, pielgrzymki – tak było dobrze i tak ma dalej być.

POWYŻEJ:
W archikatedrze Chrystusa Króla w Katowicach,
20 marca 2018 r.

co jest, bierność, powtarzalność i niechęć do jakiegokolwiek zmiany czy poszukiwań duszpasterskich. To jedna z największych polskich zmór: postawa „jakoś to będzie”.

Szczególnie mocne jest przywiązanie do dotychczasowych form działania. Zawsze były określone nabożeństwa, nowenny, procesje, pielgrzymki – tak było dobrze i tak ma dalej być. A że na nabożeństwie majowym ludzi coraz mniej – to jeszcze nie powód, żeby cokolwiek zmieniać... Że peregrinacja obrazu Matki Bożej już nie jest wydarzeniem społecznym – to wina współczesnej kultury, która ludzi odciaga...

Gdy instytucja kościelna ulega pokusie przyzwyczajenia, wszelkie mówienie o zmianie w Kościele kojarzy się z odrzucaniem Tradycji, z wykorzenianiem, z podważaniem tożsamości. Takie podejście można nazwać konserwatyzmem naturalnym czy instynktownym, zgodnym z niewypowiadaną wprost zasadą „ma być tak, jak jest, bo jest tak, jak ma być”. Jego motorem jest silne przywiązanie do tradycji oraz sprawdzonych instytucji, norm, wartości i sposobów postępowania.

Nie ma nic złego w przywiązaniu do tradycyjnych wzorców, dopóki jego wyrazem nie stanie się odrzucanie wszelkich zmian – to oznacza bowiem zabijanie rozwoju życia duchowego, sprowadzanie go do powtarzalności i rytualizmu, czynienie Kościoła nieczytelnym znakiem i nieskutecznym narzędziem zbawienia. Takie uleganie pokusie przyzwyczajenia to poważny grzech zaniedbania Kościoła w Polsce.

Nie chodzi przecież o zmianę dla samej zmiany! Jak mawiał wielki jezuicki teolog Henri de Lubac, tylko wrogowie Kościoła pragną, aby się nie zmienił. Odnowa życia Kościoła jest potrzebna nie dlatego, że dawniej wszystko było złe – lecz dlatego, aby w przyszłości było co najmniej równie dobrze lub lepiej. Zakwestionowanie dotychczasowych przyzwyczajień nie oznacza ich negatywnej oceny. Przyszłość po prostu wymaga nowych form czy struktur, a zatem kształtowania nowych przyzwyczajień – od których być może następne pokolenia będą musiały się odzwyczajać.

Właściwa odpowiedź na pokusę przyzwyczajenia to podjęcie Franciszkańskiego wezwania do nawrócenia pastoralnego Kościoła. W programowej adhortacji „*Evangelii gaudium*” papież przekonuje, „Duszpasterstwo w kluczu misyjnym wymaga rezygnacji z wygodnego kryterium duszpasterskiego, że »zawsze się tak robiło«” (EV 33). W czasach permanentnej niepewności, w epoce płynnej postnowoczesności – gdy chrześcijaństwo mniej opiera się na tradycji, kulturze i obyczajach, a bardziej na wyborze i doświadczeniu – potrzeba nowej wyobraźni wiary. Oznacza to konieczność poszukiwania nowego paradygmatu duszpasterskiego. Ma być nie tak, jak jest, lecz tak, jak być powinno. ©



MIŁOŚĆ I NUDA W CZASACH ZARAŻY

„Myślę, że moi rodzice-lekarze już oszaleli w tym szpitalu, tylu pacjentów przychodzi. Ale nie boję się o nich, są przecież ostrożni, noszą maseczki...” – czworo młodych Chińczyków opowiada o koronawirusie i ich codzienności.

MARIA WIŚNIEWSKA Z PEKINU



CARLOS GARCIA RAWLINS / REUTERS / FORUM

Pod wypożyczalnią rowerów, Pekin,
5 lutego 2019 r.

PECH CHCIAŁ, ŻE DRAMAT ZACZĄŁ SIĘ tuż przed obchodami Święta Wiosny, czyli chińskiego Nowego Roku – liczonego według kalendarza księżycowego. Szacuje się, że co roku w podróż do rodzinnych miejscowości rusza wtedy prawie 400 mln Chińczyków, co stanowi największą tego typu migrację ludzką na świecie.

Spuszczone ze smyczy zarazki nieznanego dotąd wirusa Covid-19 przeskakiwały więc z prowincji do prowincji, ogarniając wreszcie całe Chiny, od Mandżurii aż po Tybet. Brak szczepionki sprawił, że władzom pozostały toporne metody fizycznej izolacji. Przekaz został sformułowany jasno: ludzie mają siedzieć w domach.

Strach przed zarażeniem wprowadził w przestrzeń publiczną niechcianą pustkę i spokój. Na stacjach metra, w supermarketach, a nawet w blokach na osiedlach mieszkaniowych wchodzący ustawiają się w kolejkach, czekając na kontrolę temperatury. Przedstawienia i koncerty odwołano, a kina i teatry zamknięto, ograniczając rozrywkę i kontakt społeczny do platform wirtualnych. Chude tygodnie nastały też w gastronomii: zwykle pełne restauracje świecą pustkami i błyszczą płynem sterylizującym. Na ulicach nieliczni przechodnie patrzą na siebie zza maseczek, a czasem misternych kaftanów mających chronić przed zarazkami.

Wobec ograniczonych możliwości wychodzenia z domu, bez pracy i znajomych, wytrzymałość psychiki na społeczną izolację została poddana próbie. Kilkoro bohaterów opowie nam, jak epidemia wpłynęła na ich codzienność. Choć dostosowanie się do nowej rzeczywistości okazuje się wyzwaniem, ich relacje pozbawione są dramatyzmu. Życie w końcu płynie dalej.

Akt pierwszy: miłość

LI BOYUAN,

właściciel nieruchomości z Pekinu

Straciłem mnóstwo pieniędzy przez tego wirusa. Lokator, który wynajmował moje mieszkanie, pochodzi z prowincji Zhejiang i pojechał tam na Święto Wiosny. I potem, z powodu ograniczenia połączeń kolejowych, nie mógł wrócić do Pekinu. Przez to wszystko stracił też pracę i anulował

kontrakt. Spakowałem więc jego rzeczy i sam przeprowadziłem się do mieszkania.

Na moje osiedle nie mają teraz wstępu ludzie z zewnątrz, poza najbliższymi. Nie wiem, czy narzeczona też się liczy. Kartę wstępu mogę dać tylko jednej osobie i będę musiał dobrze się zastanowić, komu. Jeśli dam ją hydraulikowi, nie będę mógł wpuścić dziewczyny. Ale przeżyję. Jestem singlem od wielu lat, przyzwyczaiłem się do samotności.

Pekin to teraz fajne miasto. Jest mniej tłoczno i mało ludzi na ulicach. Aha! Może poszłabyś ze mną na obiad?

Akt drugi: nuda

ZHOU HONGZHAO,

student z prowincji Guangdong

Wirus zmusza wszystkich do trzymania się z dala od innych. Okropnie się przez to nudzę. W ramach zwalczania wirusa nowy semestr na uniwersytecie rozpocznie się *online*. Powrót na kampus nie będzie możliwy, zanim wirus nie zostanie zwalczony. A nikt jeszcze nie wie, kiedy to nastąpi.

W mojej miejscowości sytuacja nie wygląda różowo, sporo ludzi zaraziło się wirusem, więc nie wychodziłem z domu już od trzech tygodni. Moi rodzice są lekarzami i powiedzieli mnie i mojemu bratu, żebyśmy zostali w domu i unikali innych. Jedzenie też oni kupują, kiedy wieczorem wracają z pracy do domu.

Tak serio to myślę, że rodzice już trochę oszaleli w szpitalu. Teraz przychodzi tam o wiele więcej pacjentów niż zwykle i jest to dla nich wykańczające. Ale nie boję się o nich, przecież są ostrożni, noszą maseczki i często myją ręce.

Muszę przyznać, że to trudny dla mnie okres. Nie mogę spędzać czasu z przyjaciółmi, nie mogę uprawiać sportu. Jedyne, co mogę, to siedzieć w domu, czytać książki i oglądać filmy. Żeby zabić czas, trochę pracuję nad moim artykułem na studia i gram na iPadzie. Ze znajomymi pozostaję w kontakcie tylko przez WeChat [najpopularniejsza aplikacja społecznościowa w Chinach – red.]. Innej możliwości nie mam.

Siedzenie w domu może jest fajne przez dwa-trzy dni. Ale teraz jest to już nudne. To jak powtarzanie wielokrotnie tego samego, co jest już dobrze znane. ➔



ARCH. LI BOYUAN

LI BOYUAN: *Na moje osiedle nie mają teraz wstępu ludzie z zewnątrz, poza najbliższymi. Nie wiem, czy narzeczoną też się liczy. Kartę wstępu mogą dać tylko jednej osobie i będę musiał dobrze się zastanowić, komu.*



ARCH. YANG XIRAN

YANG XIRAN: *Trochę się obawiam, że ta sytuacja może wzmocnić zachowania dyskryminacyjne. Boję się, że uprzedzenia wobec nas, Chińczyków, utrzymają się przez dłuższy czas i nadal będą tkwić mocno.*



ZHOU QINHUA

ZHOU HONGZHAO: *Nie mogę spędzać czasu z przyjaciółmi, nie mogę uprawiać sportu. Jedyne, co mogę, to siedzieć w domu, czytać książki i oglądać filmy. Żeby zabić czas, trochę pracuję nad moim artykułem na studia i gram na iPadzie.*

Akt trzeci: frustracja

→ **YANG XIRAN**, studentka z prowincji Guizhou

Miałam rozpocząć studia w Australii. Teraz to już prawie pewne, że w tym semestrze nie zjawię się na żadnych zajęciach. Wszystko wskazuje też na to, że australijski rząd wydłuży zakaz wjazdu na teren kraju dla Chińczyków. Nadal siedzę więc w domu.

Cała ta sytuacja bardzo negatywnie wpłynęła na nas, Chińczyków, którzy studiują za granicą. Utknęliśmy w domu. Jesteśmy sfrustrowani.

Przewidywałam tę sytuację pod koniec stycznia, ale moja rodzinna miejscowość leży w rejonie rolniczym, jest słabo skomunikowana i trudno było mi przełożyć lot do Australii na wcześniejszą datę. Jestem w stanie zrozumieć, dlaczego obce rządy wprowadziły obostrzenia wjazdu dla Chińczyków, ale nadal nie sądzę, żeby był to dobry pomysł. Wirus jest trochę jak grypa. Nie rozróżnia między narodowościami ani rasami.

Trochę się obawiam, że ta sytuacja może wzmocnić zachowania dyskryminacyjne. Boję się, że uprzedzenia wobec nas, Chińczyków, utrzymają się przez dłuższy czas i nadal będą tkwić mocno, kiedy wreszcie w następnym semestrze przyjadę do Australii. Oczywiście, chcę zaznaczyć, że jestem też bardzo wdzięczna ludziom z całego świata, którzy solidarnie wspierają Chiny!

Dziesiątki tysięcy studentów znalazły się w tej samej sytuacji co ja. Daje mi to w pewnym sensie ulgę, bo możemy wzajemnie się podnosić na duchu i razem

główkować, co robić dalej. Jednak czasami zmartwienia się nawarstwiają i nasilają. Bycie w grupie ma więc i dobrą, i złą stronę.

Chciałam też powiedzieć, że młodzi ludzie o wiele bardziej niż przedstawiciele starszych pokoleń są świadomi zagrożenia, jakie niesie wirus. Znacznie wcześniej podjęli też środki ostrożności niż ich rodzice. Np. ja już przed Świętem Wiosny zaczęłam namawiać moją rodzinę, żeby była ostrożna i odwołała spotkania towarzyskie. Nie było łatwo, bo wiesz, trudno jest zmienić zdanie innych. Przez parę dni przez to kłóciłam się z tatą, aż doszło do tego, że rozplakałam się na dzień przed świętami. Na szczęście to go przekonało!

Sytuacja jest wyjątkowo skomplikowana dla osób, które – jak ja – mają dużą rodzinę. Przekonanie rodziców jest możliwe, ale przecież nie dam rady przekonać ciotek i wujków, i braci mojego dziadka, i ich rodzin. A wszyscy mieszkamy razem, dzieląc to samo podwórko. Czuję się bezsilna.

Akt czwarty: praca

LIU XINTING, dziennikarka z Pekinu

W tym okresie wychodzę z domu może ze dwa razy w tygodniu. Zazwyczaj po to, żeby zrobić zakupy. Czasami zamawiam je w internecie, ale wielu pracowników Waimai lub Kuaidi [niezwykle popularne i ekspresowe usługi dostawcze w Chinach – red.] nadal nie wróciło po świętach do Pekinu. Opłata za dostawę jest więc wyższa, a wybór mniejszy. Sły-

szalam, że w moim rodzinnym mieście, w prowincji Henan, każde mieszkanie otrzymuje dwie przepustki na „wyjścia” dzienne. Domownicy muszą wytypować spośród siebie, kto z nich skorzysta. Tutaj, w Pekinie, jeszcze nie wprowadzono aż takich obostrzeń.

W tej chwili nie wiem, kiedy moje biuro wznowi pracę. Ale pracę zdalną zaczęłam tuż po świętach, czyli 3 lutego. Na razie do pracy w Pekinie wrócili głównie osoby zatrudnione w gałęziach przemysłu uznanych za kluczowe, takich jak elektrownie lub przedsiębiorstwa produkujące żywność. Od reguły są jednak wyjątki: do pracy powróciło również dwoje moich przyjaciół, którzy pracują w agencji filmowej i reklamowej.

Sytuacja jest dla mnie niełatwa. Głównie ze względu na zakwaterowanie. Po pierwsze, wraz z moją rodziną, która przyjechała do Pekinu na Święto Wiosny, zajmujemy teraz mieszkanie mojego brata. On musi mieszkać więc gdzieś indziej. Czuję się przez to winna. Po drugie, mój kontrakt mieszkaniowy wkrótce się kończy. Trudno mi znaleźć jednak nowy pokój, ponieważ wiele osiedli zakazało wstępu na ich teren osobom z zewnątrz.

Życie płynie dalej – pracuję, oglądam koreańskie seriale i cieszę się jedzeniem.

© MARIA WIŚNIEWSKA

Autorka jest absolwentką Katolickiego Uniwersytetu Leuven w Belgii i kolegium MISH na Uniwersytecie Warszawskim, w ramach którego studiowała sinologię, socjologię i filozofię. Pracuje w Pekinie w organizacji zajmującej się problematyką migracyjną.

Ludzie greckiej ulicy

ULA IDZIKOWSKA Z ATEN

Władze stolicy Grecji podejmują radykalne kroki wobec mieszkających w squatach migrantów i wałęsających się po ulicach narkomanów. Ale to nie rozwiąże problemów społecznych miasta.

TASSOS SMETPOULOS, ZAŁOŻYCIEL organizacji Steps (Kroki), skręca w boczną ulicę w okolicy placu Omónia. – Jeszcze wczoraj tutaj byli... – Smetopoulos wypatruje grupy narkomanów, którą policja przegania z miejsca na miejsce. W skórzanej kurtce, z papierosem przyklejonym do ust i w czarnych sportowych butach, Smetopoulos sam przypomina diler narkotyków. Często jest też o niego nagabywany. Ale prochy rzucił dawno temu. Podobnie jak pracę, by poświęcić czas na, jak to ujmuję, „ograniczanie skutków życia na ulicy”.

– Widzisz, wiedziałem, że daleko nie poszli – Smetopoulos wskazuje na grupkę ludzi. Wyciąga z białego vana stolik campingowy. Ładują na nim biskopki, kostki mydła, termos i przerwy. Nikt się nie pcha, każdy czeka na swoją kolej. Tylko niektórzy wydają się „niezdrowo pobudzeni”, jak powie studentka marynistyki i wolontariuszka, która rozlewa herbatę do plastikowych kubków. Większość przyjmuje poczęstunek z nieco błędnym wzrokiem i odchodzi chwiejnym powolnym krokiem.

– W Steps działam od dwóch lat – mówi studentka socjologii, także wolontariuszka. Ubrana na czarno, drobna dziewczyna z piercingiem i z ufarbowanymi na niebiesko włosami, towarzyszy Smetopoulosowi dwa razy w tygodniu. – Wielu Greków pogardza ludźmi ulicy – opowiada Katerina. – Ale nie zdają sobie sprawy, że to zewnętrzna warstwa ukrytych problemów społecznych, a niekoniecznie wina tych ludzi. Niektórzy wylądowali na ulicy, bo nie mogli sobie poradzić z utratą pracy, często też domu.

– Nasz rząd spisuje uzależnionych na straty – uważa dziewczyna. – Nie ma żadnych programów z metadonem. Ci ludzie często umierają na ulicach. Tania szisza, grecka kokaina ubogich, wyniszcza ich w kilka miesięcy.

Gdy tylko zdobędę papiery

Na skutek kryzysu finansowo-gospodarczego, który trwa tutaj już od ponad dekady, w Grecji gwałtownie wzrosła liczba ludzi uzależnionych od narkotyków. Równocześnie w ostatnich kilku latach znacząco wzrosła liczba imigrantów,

którzy utknęli w greckiej stolicy. Okoliczności – zwłaszcza brak perspektyw na legalizację pobytu – sprawiają, że imigrant jest wystawiony na pokusę, aby przekroczyć granicę, która strategię przetrwania oddziela od przestępczości.

W Atenach handel narkotykami odbywa się właściwie w biały dzień. Wszyscy wiedzą, gdzie i co można sprzedać bądź kupić. I kiedy się zwinąć, gdy przyjeżdża patrol policji.

– Marihuana, haszysz, heroina, kokaina, ekstazy, meth, tramadol. Czego potrzebujesz? – dilerzy sami podchodzą do potencjalnych klientów, gdy ci przechodzą przez plac Exarchion, położony w dzielnicy Exarchia (uważanej za bastion tutejszych anarchistów).

35-letni mężczyzna, który przedstawia się imieniem Khalifa, jeszcze do niedawna pracował nielegalnie w branży turystycznej. – Ale odkąd w 2019 r. zmienił się rząd, urzędnicy bardziej kontrolują. Jeżeli nie masz papierów, możesz zapomnieć o pracy – mówi Khalifa.

Ponieważ on sam nie ma dokumentów, kręci się teraz po Exarchii, sprzedając narkotyki. – Ale tylko te miękkie – podkreśla. Na decyzję o azylu mężczyzna czeka już ponad półtora roku. Odpowiedź będzie zapewne negatywna, gdyż Khalifa pochodzi z Maghrebu, a kraje tego regionu uważane są za bezpieczne.

Skąd dokładnie pochodzi, tego Khalifa nie powie. – Nie chcę, żeby ludzie mieli później błędne skojarzenia z naszym krajem. To, że robię to, co robię, nie oznacza, że wszyscy tak postępują. Muszę jakoś zarabiać na życie. Jak tylko załatwię papiery, to już mnie na tym placu nie zobaczysz – Khalifa odpala skręta, odwraca się na pięcie i znika za rogiem. W śnieżnobiałej koszulce, odpucowanych czarnych butach i z kubkiem frappé, mrożonej kawy, do złudzenia przypomina Greka.

Trójkąt bermudzki

Tassos Smetopoulos zna wielu migrantów, którzy sprzedają narkotyki, aby przetrwać. Albo sami popadli w nałóg. – Tak niestety czasami wygląda integracja młodych ludzi. Na sprzedaży narkotyków, a nawet własnego ciała, na kradzieżach... – mówi założyciel Steps.

– Niektórzy chłopcy są wysyłani do Europy, aby zarabiać i zabezpieczyć rodzinę. I kończą tutaj, w Atenach. Grzęzną na lata. Wstydzą się tego, co robią. Często okłamują rodziny. Wysyłają zdjęcia →

Stacja metra przy placu Wiktorii, Ateny, listopad 2019 r.



ULA IDZIKOWSKA

→ na tle super fury i mówią: „Patrz, mam, mam tutaj taki fajny samochód” – Smetopoulos gorzko się uśmiecha i odwraca wzrok. – Ci młodzi mężczyźni stali się dorośli na siłę, bez przeżytej młodości. W ten sposób nie da się dorosnąć. Czegoś w nich po prostu brakuje. I będzie brakować już zawsze.

Prostytucja młodych mężczyzn, często nieletnich, to w Atenach tajemnica poliszyńska. Media bębnią o tym od 2016 r. To wtedy Unia Europejska zamknęła granice, aby zapobiec przemieszczaniu się migrantów i uchodźców w głąb kontynentu. W efekcie 50 tys. ludzi bez wielu możliwości utknęło w Grecji. W tym 3 tys. nieletnich, którzy do Europy przybyli bez opieki dorosłych np. z Afganistanu, Syrii czy Iraku. Prawie połowa z nich wypadła w Grecji z „systemu”. Wielu trafiło na ulice, gdzie są narażeni na wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwa, w tym wykorzystywanie seksualne.

Policja ma rzekomo związane ręce. „Aby skazać mężczyznę spijającego z nieletnimi, trzeba go przyłapać na gorącym uczynku” – tak były wiceburmistrz ds. migrantów i uchodźców w Atenach, Leferis Papagiannakis, mówił w reportażu filmowym Laurenta Laughlina z 2018 r. Jednak nie jest tajemnicą, gdzie szukać: siatki zajmujące się seksualną eksploatacją nieletnich operują w tzw. trójkacie bermudzkim Aten – tak czytamy w raporcie greckiego biura lewicowej Fundacji im. Róży Luksemburg z 2019 r. W obrębie trójkąta jest największy park Pedion tou Areos oraz place Wiktorii i Omónia.

Choć Papagiannakis sugerował, że władze Aten powinny zająć się rozwiązaniem problemu, a były burmistrz Jorgos Kaminis w 2017 r. z zaciśniętymi pięściami grzmiał, że prostytutka nieletnich to jedna z najbardziej palących kwestii, żadna strategia dotąd nie powstała.

Tymczasem męska prostytutka kwitnie. Karwan (19 lat) z irackiego Kurdystanu i Elias (22 lata), wywodzący się z afgańskiej mniejszości w Iranie mówią, że byli wielokrotnie nagabywani. – Z reguły mówię, że mają odejść, jeśli nie chcą, żebym ich zabił – stwierdza Karwan, który ma wieluprostituujących się znajomych. Elias mówi: – Ostatnio skonfrontowałem jednego z facetów, który w natarczywy sposób namawiał mnie, żebym poszedł z nim do hotelu. Zapytałem, czy uważa to za normalne, że ja, młody chłopak, mam mu się oddać za 30 euro.

Prawie połowa z ok. 50 tys. migrantów bez możliwości, którzy utknęli w Grecji, wypadła „z systemu”.

Grozi im m.in. wykorzystywanie seksualne.

„Czyszczenie” Exarchii

Władze Aten, na czele których od połowy 2019 r. stoi nowy burmistrz – 42-letni Kostas Bakojanis z centroprawicowej Nowej Demokracji – mają inne priorytety niż problem eksploatacji nieletnich. Na czele listy są np. liczne squaty w Exarchii: władze co i rusz wzywają ich mieszkańców do opuszczenia zajmowanych nielegalnie budynków i grożą użyciem siły.

Tymczasem w anarchistycznych squatach Exarchii schronienie znalazło wielu uchodźców i migrantów, którzy nie mieli się gdzie podziać. – To, że pozwolono im tam mieszkać, było do tej pory najlepszym rozwiązaniem – twierdzi wolontariuszka Sophia z organizacji Steps. – Musimy spojrzeć prawdzie w oczy, Grecja nie jest w stanie zapewnić mieszkań swoim własnym obywatelom, a co dopiero nowo przybyłym...

Rząd, który od połowy 2019 r. tworzy Nowa Demokracja, widzi to inaczej. „Bezprawna” dzielnica Aten ma zostać „oczyszczona”, aby spełnić obietnicę wyborczą nowego premiera Kyriakosa Mitsotakisa. W sierpniu 2019 r. rzecznik związków zawodowych policji w programie telewizyjnym nazwał interwencje policyjne „cichym odkurzaczem”, który „stopniowo wyssa wszystkie śmieci” z Exarchii. Dopytany, wyjaśnił: „Oczywiście nie mamy na myśli tych ludzi [migrantów – red.], którzy są kurzem, który może być denerwujący, ale nie ma w Exarchii większego znaczenia. Mamy na myśli prawdziwe śmieci z pozostałych dziesięciu squatów, które są prowadzone przez zatwardziały przestępców, skrajnych lewicowych, ekstremalnych anarchistów”.

To jednak głównie migranci znaleźli się bez dachu nad głową w grudniu, gdy policja przeprowadziła operację usuwania mieszkańców squatów. Część umieszczono w i tak przepełnionych obozach, niektórzy zostali zatrzymani za brak do-

kumentów, a niektórym nie zapewniono żadnej alternatywy.

Na fałszywych paszportach

Karwan dziwi się, że policja używa siły, by usunąć ludzi ze squatów, a nie reaguje, gdy widzi bezdomnych śpiących na ulicach. Np. w pobliżu placu Wiktorii w nocy wielu przytuła się do murów cerkwi św. Pantaleona, największej świątyni w Atenach. – Jak przyjedziesz do Grecji i nie masz pieniędzy, nie masz co liczyć na pomoc – uważa Karwan. – Chyba że jesteś niepełnoletni.

On ma gdzie mieszkać. – Ale tylko dlatego, że skłamałem. Powiedziałem, że mam 15 lat, choć mam 19 – z kieszeni wyjmuję kartkę papieru. – Teraz to mój oficjalny papier, żeby meldować się w hotelu, w którym mieszkam.

To Międzynarodowa Organizacja ds. Migracji przydzieliła Karwanowi miejsce w dwuosobowym pokoju. W ciągu dnia chłopak chodził do szkoły, by uczyć się greckiego. – Ale to nuda, większość podstawowych zwrotów już znam, a tam nie mają wyższego poziomu.

Karwan ma głowę do języków, zna kurdyjski, perski i arabski, a także trochę angielski i grecki. W centrum detencyjnym w Fylakio, gdzie trafiają migranci przekraczający granicę między Turcją i Grecją, służył za tłumacza. – Jeśli ktoś chciał coś załatwić, przychodził do niego – opowiada 17-letni Aref z Iranu, który zanim trafił do Aten, przebywał w tym samym ośrodku co Karwan. – On potrafił się zakręcić, wszyscy go tam znali. W Atenach zresztą też.

Ale tu jest z innego powodu. Tutaj Karwan już nie tłumaczy, lecz pracuje dla fałszerzy dokumentów. Pośredniczy w zakupie paszportów. – Fałszerze niechętnie się ujawniają, w domu mają pełno paszportów, dużo ryzykują. Stąd potrzebny jest pośrednik. A jak mnie złapią, nic mi nie zrobią, nic przy sobie nie mam – Karwan otwiera szeroko ramiona.

Ze względu na tę profesję, ale też z nudów Karwan dużo czasu spędza na ulicach. Krąży między Omónią, Wiktorią, Syntagma i placem z cerkwią św. Pantaleona. Przesiaduje w szisza barach, gdzie spotyka się ze zleceniodawcami, albo w gay barach, gdzie śmieje się ze znajomych, którzy wychodzą ze starszymi mężczyznami. – Nie lubię tej roboty – deklaruje. – Ale chcę uzbierać na paszport i się stąd wydostać. Jeden koleś propono-

wał mi pracę w swoim sklepie z elektroniką. Chciał płacić euro za godzinę! Powiedziałem, że zapłacę mu dwa euro, jak sobie tu godzinkę ze mną posiedzi.

– *Greece is not good*, Grecja to nic dobrego – Karwan wypuszcza obłoki dymu z fajki wodnej. To zdanie jest jego mantrą i usprawiedliwieniem tego, co robi, by osiągnąć swój cel.

Niektórzy mają więcej szczęścia. Jak znajomy Arefa, który już za pierwszym razem dostał się do Wiednia. Samolotem, to najszybsza i najbezpieczniejsza droga. Aref i jego ojciec też próbowali lecieć, do Rzymu. – Ale nas złapali i odesłali do Aten – opowiada. Choć mieli podrobione hiszpańskie paszporty, nie trafili nawet na komisariat. Policja nie zaprzęta sobie głowy takimi przypadkami, bo jest ich mnóstwo. A ludzie się nie poddają. Nawet gdy policja ich zawróci, nieważne, jeden raz czy kilkanaście razy. Próbuje do skutku.

Ojciec Arefa codziennie kręci się po Wiktorii, by zdobyć nowe fałszywe paszporty dla siebie i syna. Ale to trudne. Dlatego Aref będzie prawdopodobnie kontynuował podróż sam: – Jeśli się nie uda samolotem, pójdę do Anglii na piechotę. Codziennie trenuję, robię z dziesięć kilometrów. Chodzę do różnych miejsc, gdzie dostajemy czekoladę i jedzenie.

Czekając na wiosnę

Zimą trudniej wydostać się z Aten. Samolot to najlepsza opcja, właściwie jedyna. Na pieszą wędrówkę jest za zimno, bo jedyna – i niebezpieczna – droga prowadzi przez góry. Większość migrantów czeka więc do wiosny. Ci, których stać, wynajmują mieszkania lub dzielą skrawek podłogi z innymi w pokojach.

Karwan chciał spróbować w Boże Narodzenie. – Wtedy jest łatwiej, bo policja jest mniej podejrzliwa. Gdy widzą kogoś młodego, tak jak ja, to zaraz zaczynają pytać, dlaczego nie jest w szkole. A na gwiazdkę można powiedzieć, że się wraca do domu na święta.

Plan nie wypalił. Karwan w skupieniu zgina rogi rachunku za sziszę. Na stoliku ląduje łódka z papieru. – Jeżeli nie uda mi się polecieć, to popłynę. Do Włoch, a stamtąd jakoś przedostanę się do Belgii, gdzie mam rodzinę. *Inshallah*.

W styczniu tak też zrobił. Z Włoch dostał się do Paryża, a stamtąd do Brukseli. Teraz czeka na rozpatrzenie wniosku o azyl.

© ULA IDZIKOWSKA

ARCHIWUM ERFANA KUDUSOWA



Erfan Kudusow często fotografuje się ze swoimi gośćmi i z flagą Tatarów Krymskich, restauracja Czeburek, Kijów, wrzesień 2019 r.

Wołanie z Krymu

MONIKA ANDRUSZEWSKA Z KIJOWA

Po aneksji Krymu pierwszy i jedyny na świecie krymskotatarski kanał telewizyjny ATR podzielił los wielu Tatarów. Dziś grozi mu likwidacja.

PONIEWAŻ KRYMSKOTATARSKA TELEWIZJA nie mogła funkcjonować pod rosyjską okupacją, sześć lat temu jej dziennikarze udali się na wygnanie – z Symferopola do Kijowa. Teraz kanał może przestać istnieć, bo utracił finansowanie ze strony państwa ukraińskiego.

Wygnańcy i ich rodacy na Krymie, którzy wciąż czują się związani z Ukrainą, pytają: jeśli ekipa prezydenta Wołodymyra Zełenskiego nie potrzebuje mostu między anektowanym przez Rosję półwyspem a społeczeństwem

Ukrainy, to czy w ogóle potrzebni są jej Tatarzy Krymscy?

Puste biurko

Od marca 2014 r. Tatarzy Krymscy – stanowiący kilkanaście procent ludności półwyspu – żyją w warunkach blokady informacyjnej. Telewizory krymian nie odbierają ukraińskich mediów, z kolei zachodni dziennikarze najwyraźniej znudzili się tematem Krymu. Coraz mniej osób chce przedzierać się przez rosyjską biurokrację i jechać na Krym, ryzykując represje. ➔



AJDER MUŽDABAJEW:

Ponad dziesięciu współpracujących z nami dziennikarzy siedzi w więzieniach, Rosjanie traktują pracę dla ATR jak udział w grupie terrorystycznej.

→ Lukę medialną wypełniają dziennikarze obywatelscy, którzy wyłonili się spośród tatarskich aktywistów. W mediach społecznościowych udostępniają informacje i nagrania dotyczące więźniów politycznych i innych represji.

Wielu z nich w sekrecie przekazywało materiały kanałowi ATR. Telewizja ta – nadająca po krymskotatarsku, ukraińsku, rosyjsku i turecku (duża tatarska diaspora żyje w Turcji) – funkcjonowała w myśl motto: „O wschodzie dla zachodu, o zachodzie dla wschodu”. Mieszkańcy półwyspu, mogący oglądać ją w internecie, czerpali z niej informacje o Ukrainie, a Ukraińcy o sytuacji na Krymie.

W poniedziałek 10 lutego w kijowskim studiu przez cały dzień pokazywano jedynie puste biurko. Na telebimie za biurkiem widniał napis „Save ATR” (Ocalić ATR) i czerwona stylizowana litera T na białym tle: tamga, symbol Tatarów Krymskich i zarazem logo kanału. Na pasku informacyjnym zamiast newsów widzowie zobaczyli jedną informację: „ATR zablokowano finansowanie”.

Przetargi z okupacji

– Władze Ukrainy zażądały prowadzenia przetargów na materiały z Krymu. Ponad dziesięciu współpracujących z nami dziennikarzy siedzi w więzieniach, Rosjanie traktują pracę dla ATR jak udział w grupie terrorystycznej. I my mamy publikować ogłoszenia o przetargach? W warunkach okupacji? – denerwuje się Ajder Muždabajew, wicedyrektor kanału. – Sytuacja tam jest taka, że jeśli dzieci nie chcą się uczyć propagandowych wierszyków o Rosji, następnego dnia do rodziców przychodzą tajniacy z FSB! To może od razu napiszmy ogłoszenie: „Jaki chcecie wyrok? Jeśli 5 lat, wyślijcie nam wideo z telefonu. Jeśli 10 lat, proponujemy umowę na rok” – ironizuje Muždabajew.

– Wciąż mamy nadzieję, że to pomyłka urzędników, którzy postanowili zaoszczędzić 50 mln hrywien nie wiedząc, co czynią. My tak naprawdę nie wiemy, jak obecna ukraińska władza podchodzi do Tatarów Krymskich. Wcześniej Mustafa Dżemilew [lider Medżlisu, tatarskiego samorządu, który żyje na emigracji w Kijowie – red.] był pełnomocnikiem prezydenta Petra Poroszenki do spraw tatarskich. Za prezydenta Zełenskiego ta funkcja *de facto* nie istnieje – dodaje Muždabajew.

Narzędzie samoobrony

Siedzimy w restauracji Czeburek, w centrum ukraińskiej stolicy. Jej właściciel Erfan wyjechał z Krymu już 28 lutego 2014 r. – w chwili, gdy rosyjskie wojsko rozpoczęło operację zajmowania półwyspu.

Knajpka serwuje krymskotatarską kuchnię (czeburek z jej nazwy to rodzaj pieroga z nadzieniem) i jest też nieoficjalnie centrum międzykulturowym. Można tu spotkać nie tylko Tatarów Krymskich i ukraińskich działaczy pozarządowych, ale i prawosławnych kapelanów wojskowych czy ludzi z gminy żydowskiej.

– Wszystko, co robię w ostatnich latach, robię na rzecz Krymu. Nie ma dnia, żebym nie opowiadał gościom o naszym bólu. Chcę tylko wrócić do domu – mówi Erfan.

– Powiedzmy to wprost: likwidacja ATR to jak zabranie wojska z frontu. Putin prowadzi nie tylko normalną wojnę, konflikt toczy się też na polu informacyjnym. Bronią Rosji są nie tylko czołgi, lecz także telewizja i sieci społecznościowe. Tymczasem jedno z głównych narzędzi samoobrony zostało właśnie rozbrojone i to w dodatku przez Ukrainę – kręci głową Erfan.

Problemy ATR poruszyły całą krymskotatarską wspólnotę. W kijowskim studiu nie cichną telefony.

Nie sposób uniknąć wrażenia, że Tatarzy czują się zdradzeni i zapomniani. Zarówno ci na uchodźstwie, jak i ci na Krymie uważnie śledzą każdy ruch ekipy Zełenskiego, od kiedy niemal rok temu wygrał wybory. Wespře ich czy porzuci?

Woda za Donbas?

Tymczasem sygnały nie są optymistyczne.

Kilka dni temu Dawid Arachamija – szef frakcji parlamentarnej prezydenckiej partii Sługa Narodu – powiedział, że gdyby miał o tym osobiście decydować, to zgodziłby się na udostępnienie Rosji słodkiej wody dla Krymu w zamian za zwrot okupowanych części Donbasu.

Wyjaśnijmy tu, że do czasu aneksji 85 proc. słodkiej wody zużywanej na Krymie pochodziło z rzeki Dniepr, doprowadzonej przez Kanał Północnokrymski. Po aneksji strona ukraińska odcięła dostawy i odtąd na Krymie są duże problemy z wodą; jak dotąd rosyjskie władze okupacyjne nie znalazły sposobu na trwałe zapewnienie alternatywnych dostaw.

– Wcześniej deklarowano, że służby kanału zostaną podniesione dopiero po zakończeniu okupacji półwyspu. Udostępnienie wody to ułatwienie funkcjonowania wrogom. Moi przyjaciele z Krymu nie rozumieją, co się dzieje. Przecież mieli czekać, aż Ukraina ich wyzwoli... Ci ludzie codziennie ryzykują życie i wolność dla idei ukraińskiego Krymu. Oni wolą umrzeć z pragnienia, niż pomagać Rosji – opowiada Erfan.

– Choć Arachamija wycofał się ze swoich słów, dla nas takie propozycje i niszczenie ATR to po prostu zdrada. To znak, że nie jesteśmy nikomu potrzebni. Mówi się nam: walczcie, jeśli chcecie, ale my was oddajemy Rosji – dodaje ostro Muždabajew.

Mężczyźni pokazują rezolucję Parlamentu Europejskiego z 4 lutego 2016 r., w której mowa jest o tym, że ATR ma nieocenioną wartość dla tatarskiej społeczności, w związku z czym PE wzywa Komisję Europejską do udzielenia pomocy finansowej telewizji ATR. Ale żadna pomoc nie została udzielona.

– W Jałcie mieszkalem jakieś pół kilometra od miejsca, gdzie w lutym 1945 r. podpisano postanowienia dzielące Europę – mówi Erfan. – Historia się powtórza. Znowu pozostawiono nas w rękach nasyżonych katów. A reszta świata milczy.

© MONIKA ANDRUSZEWSKA

Kalifat pod Kabulem

AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA

Państwo Islamskie to nie tylko Syria i Irak. Jego zwolennicy chcieli zaistnieć także w Afganistanie. Spotkali się z oporem sił, które na co dzień ze sobą walczą: zachodniej koalicji i talibów.

W OCZACH TEJ KOBIETY NIE BYŁO młodości, lecz pustka i smutek. –Nigdy wcześniej nie widzieliśmy takiego okrucieństwa – mówiła 35-letnia Zia Gul, gdy spotkaliśmy się jesienią 2019 r. w obozie dla uchodźców wewnętrznych na przedmieściach Kabulu.

Kobieta siedziała wprost na podłodze lepianki. Gdy opowiadała, starała się zasłaniać twarz, jakby chciała zniknąć dla świata. Pod bordową chustą skrywała łzy. Cały jej dobytek zmieściłby się w jednej walizce. Parę garnków i trochę ubrań to wszystko, co jej rodzina zgromadziła na paru zimnych metrach domku z gliny.

Pod czarną flagą

Cztery lata temu, kiedy w jej wiosce w prowincji Nangarhar we wschodnim Afganistanie zawisła czarna flaga Państwa Islamskiego, życie Zii Gul zmieniło się na zawsze. Choć zaczęło się niby niewinnie. W 2016 r. kontrolę nad jej wioską – dotąd talibską – przejęło Państwo Islamskie prowincji Chorasán (ang. Islamic State in the Khorasan Province, stąd używany zwykle skrót: ISKP). To lokalna odnoga salafickiej organizacji zbrojnej, która w 2014 r. ogłosiła powstanie „kalifatu” (państwa bożego) na terytorium Syrii i Iraku.

Zia Gul wspomina, że przez pierwsze dni rządów ISKP zmieniło się niewiele. Ale już wkrótce islamiści zakazali uprawy maku i konopi, dla wielu mieszkańców stanowiących główne źródło utrzymania. Potem zaczęli szukać ludzi, którzy współpracowali z talibami. We wsi zapanował strach. Podejrzanych brutalnie mordowali. Podobnie jak tych, którzy mieli posłuch wśród społeczności – chcieli wyeliminować potencjalnych liderów, którzy mogliby przeciwko nim wystąpić.

Przyszli też do domu Zii Gul. Jej męża Nasera zapytali, kto w wiosce współpra-

cjuje z talibami. Nie wiedział. Postrzelili go w nogę i podłożyli ogień pod dom. W pożarze zginął ich niespełna dwuletni syn. Naser trafił do szpitala, dziecko pochował szwagier, a Zia Gul nie chciała dłużej zostać w wiosce. Z szóstką dzieci i ojcem po kryjomu opuściła ją, by dołączyć do męża. Nie zabrała ze sobą niemal nic.

– Gdy myślę o tym, co się wtedy stało, dostaję ataków paniki. Miewam koszmary i budzę się w nocy, ciągle myśląc o tym, co nas spotkało – mówiła przez łzy. – Miałam piękny dom i dobre życie. Teraz mąż jest niepełnosprawny i nie może znaleźć pracy. Mamy szóstkę dzieci do wykarmienia. Moje życie jest zrujnowane.

Zia Gul postanowiła, że nigdy nie wróci do swej wioski.

Graniczne podglebie

W grudniu 2019 r. Stany Zjednoczone i afgański rząd ogłosiły sukces: po kilku latach walk udało się „zdzięsiatutować” ISKP. Po intensywnych nalotach na przyczółki tej organizacji w prowincjach Nangarhar i Kunar jedna z najbardziej okrutnych organizacji działających na terytorium Afganistanu miała zostać pokonana. Część bojowników miała się poddać, część zginęła, reszta zesłała do podziemia.

Ale przeciwko ISKP walczyli nie tylko Afgańczycy i zachodnia koalicja, kierowana przez USA. Zalmay Khalilzad, główny negocjator Amerykanów w rozmowach pokojowych z talibami (toczą się one cały czas w stolicy Kataru), podkreślał, że w walce z afgańskim Państwem Islamskim znaczący udział mieli także talibowie.

To, czy ISKP zostało definitywnie pokonane, trudno dziś ustalić – jak to się często dzieje, gdy w grę wchodzi partyzantka. Natomiast pojawienie się tej organizacji w Afganistanie dobrze pokazuje sytuację

kraju, w którym wojna trwa nieprzerwanie od 40 lat.

Podglebiem, na którym wyrosło ISKP, było pogranicze afgańsko-pakistańskie, będące tradycyjnie źródłem problemów dla rządu w Kabulu. Góry, łatwe do przekraczania granice i obecność lokalnych bojówek islamistycznych skutecznie utrudniają dostęp do tych terenów.

Tymczasem po sąsiedzku, w ramach walki z islamistami, od 2004 r. armia Pakistanu prowadziła działania przy granicy z Afganistanem, głównie w Północnym Waziristanie. Stąd rekrutowała się większość zamachowców, sprawców ataków terrorystycznych w Pakistanie. Do 2014 r. region został spacyfikowany. Pakistańska ofensywa sprawiła jednak, że setki bojowników uciekły do Afganistanu. Choć z początku lokalni talibowie, kontrolujący graniczne prowincje, przyjęli ich jak braci, to wkrótce ich obecność zaczęła uwierać. A z czasem pojawiły się konflikty, które zamieniły się w walkę o kontrolę nad terytorium.

Jednym z powodów spieć były coraz bardziej agresywne praktyki przyjezdnych, którzy – uzbrojeni w broń przysyłaną z Pakistanu – zaczęli także wyłudzać pieniądze od miejscowych i organizować porwania dla okupu.

„Kalifat” kontra talibowie

Zbiegło się to z proklamacją Państwa Islamskiego na terytorium Syrii i Iraku w czerwcu 2014 r. Wkrótce jego wysłannicy mieli pojawić się w Afganistanie, a niecały rok później ogłoszono powstanie ISKP.

To właśnie niedawni uciekinierzy z Pakistanu mieli być pierwszymi, którzy wywiesili czarne flagi. Potem dołączyli Afgańczycy: jedni zwabieni ideologią lub perspektywą zysku. Byli też lokalni talibscy dowódcy, zmęczeni chaosem. Pojawili się Czecczeni, bojownicy z Azji Centralnej i krajów arabskich czy Ujgury uciekający przed chińską opresją. Jednak, jak twierdzą eksperci, zdecydowaną większość bojowników ISKP stanowili Afgańczycy.

Pierwszy atak samobójczy, do którego przyznało się ISKP, nastąpił w kwietniu 2015 r. W kolejnych latach ataków – w dużej mierze wymierzonych przeciw Hazarom, afgańskim szyitom, których Państwo Islamskie uważało za heretyków – było coraz więcej.

→

⇒ ISKP otworzyło też „front” konfliktu z talibami. Talibowie należą do hanafickiej szkoły islamu, a ISKP do salafickiej. Po proklamacji „kalifatu” w Iraku, jego lider Abu Bakr al-Baghdadi określił mułłę Omara (długoletniego przywódcę talibów, zmarłego w 2013 r.) mianem „niepiśmiennego watażki”, a talibów uznał za pogubionych religijnie.

Obok przyczyn natury religijnej powodem tego konfliktu była walka o terytorium, szlaki handlowe i dostęp do surowców. Obie grupy w dużej mierze utrzymują się z przemytu opium, a także talku, marmuru i chromitu, w które obfituje Afganistan. Według raportu Global Witness z 2018 r. ich złoża stanowiły istotne zaplecze finansowe ISKP.

Do tego doszły kwestie geopolityczne: talibowie od lat wspierani są przez Pakistan, z którym grupy tworzące ISKP walczyły w Północnym Waziristanie. Z kolei po tym, jak ISKP wydało wojnę szyickim Hazarom, talibowie zaczęli otrzymywać wsparcie od szyickiego Iranu – w ramach taktycznego sojuszu, bo Iran trudno posądzić o protalibskie sympatie.

Nieliczni, ale brutalni

Może to się wydać dziwne: na początku obecności ISKP w Afganistanie mieszkańcy niektórych wiosek pod ich kontrolą mieli odetchnąć z ulgą. Wcześniej rządy talibów obfitowały w chaos, brak działających instytucji i konflikty wewnętrzne. Jednak stronnicy talibów szybko przeszli do kontrofensywy. Zaczęły się lokalne powstania przeciwko ISKP.

Rząd afgański, za głównego wroga uważający talibów, długo ignorował problem ISKP. Choć brutalność bojowników Państwa Islamskiego szybko przeraziła nawet Afganistan, gdzie kolejne pokole-

nia nie znają pokoju, operacje armii amerykańskiej i afgańskiej przeciw ISKP zaczęły się dopiero wiosną 2017 r.

– ISKP przejmowała wioski i ważne szlaki handlowe, co pozwalało im istnieć, mimo że byli zwalczani i przez Amerykanów, i przez talibów – twierdzi Paweł Wójcik, niezależny analityk zajmujący się ISIS.

Szacuje się, że liczebność ISKP utrzymywała się na poziomie 2-3 tys. bojowników. To niewiele, biorąc pod uwagę fakt, że liczebność sił talibskich w kraju waha się między 40 tys. a 80 tys. (według szacunków Departamentu Stanu USA).

– ISKP nie jest znaczącą siłą militarną, natomiast chciało za taką uchodzić w społeczeństwie afgańskim. Byli w stanie organizować zamachy w Kabulu, przy czym ofiar wśród cywilów było więcej niż w atakach talibów, którzy starają się unikać ofiar cywilnych z powodów politycznych, gdyż chcą być mimo wszystko widziani jako siła bardziej mainstreamowa – mówi Graeme Smith, analityk International Crisis Group.

– W Afganistanie jest ok. 400 dystryktów, a ISKP działała prawdopodobnie w czterech z nich – dodaje analityk.

Weteran i uchodźca

Z Kabulu do Dżalalabadu, głównego miasta prowincji Nangarhar, wiedzie kręta górską drogą nad brzegiem rzeki. Krajobraz daje wrażenie harmonii, lecz to pozory. Nangarhar przywykł do wojny.

Podjeżdżamy pod dom przysłonięty ścianą drzew na przedmieściach Dżalalabadu. W sadzie leniwie pasie się dobrze odżywiona koza. Tu, w zacisznym ogrodzie, spotykam dwóch mężczyzn, lat 30 i 24, którzy przedstawiają się jako Wali Zubaira i Abdul Wali. To pseudonimy, mężczyźni boją się o swoje bezpieczeństwo.



Zubaira większość życia spędził na walce z władzą w Kabulu. Ostatnia jego bitwa odbyła się w 2016 r., gdy stanął wraz z talibami przeciwko ISKP. – Jako nowego w grupie wysłano mnie na pierwszą linię. Moi towarzysze wypychali mnie do przodu i chowali się za mną. Z ISKP jest inaczej, oni nie boją się zginąć – mówi Zubaira. – Jeśli zginie dwudziestu z nich, zaraz pojawi się następnych czterdziestu. Nasz kraj jest otwarty, możesz wjechać bez dokumentów, ukryć się wśród gór. Ciężko jest powiedzieć, kto jest kim.

ISKP pojawiło się w wiosce Zubairy w 2016 r. Na początku nikogo nie dziwiło, że w jednej rodzinie i pod jednym dachem mieszkali rekruci ISKP i talibów. Ale wkrótce ISKP przejęło kontrolę nad wsią i zaczęły się walki z talibami. Ich posiłki przybywały z Helmandu, Kandaharu i innych regionów, aby powstrzymać ekspansję ISKP.

W Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim, w sprawie I Ns 399/19, toczy się postępowanie z wniosku Grzegorza Chyły o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości położonej w miejscowości Kraczwice Rządowe, stanowiącej działki oznaczonej w ewidencji gruntów numerami 278, 279, 280, dla której prowadzona jest księga wieczysta kw LU10/00003881/4.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, a zwłaszcza spadkobierców po Stanisławie Cichockim, s. Kazimierza i Stanisławy, ur. 1 sierpnia 1948 r. w Kosinkach Kopicznych, zm. w 2017 r., do wylegitymowania praw do ww. nieruchomości w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia. Jeżeli w tym terminie nikt się nie zgłosi albo zgłoszący się, własności nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.



Zia Gul i Naser z rodziną w obozie dla uchodźców wewnętrznych na przedmieściach Kabulu, sierpień 2019 r.

bym wrócić do życia, które miałem wcześniej. Chciałbym spokoju. Teraz nie mam nic.

W punkcie wyjścia

Czy ISKP – Państwo Islamskie prowincji Chorasán – zostało definitywnie pokonane? Trudno to zweryfikować. Nawet jeśli tak jest, to sytuacja w Afganistanie wraca poniekąd do punktu wyjścia sprzed kilku lat. Talibowie są dziś silniejsi niż kiedykolwiek – i to z nimi Waszyngton zmuszony jest negocjować. Do tej pory w rozmowach nie uczestniczył rząd w Kabulu, choć to wkrótce ma się zmienić.

Na razie efektem negocjacji amerykańsko-talibskich są chwilowe rozejmy, zawieszenie broni na kilka dni, czasem na tydzień lub trochę dłużej. Jeśli obie strony dojdą do takiego porozumienia, którego konsekwencją będzie wyjście zachodnich wojsk z Afganistanu, pozostawiłoby to kraj w próżni, którą z chęcią zajmą inni.

Czy wówczas do władzy wróciliby talibowie, obaleni przez Amerykanów w 2001 r.? I jakie byłyby teraz ich rządy? Czy rozpoczęłaby się kolejna odsłona wojny domowej? Wielu ekspertów uważa, że bez amerykańskiego wsparcia, militarnego i finansowego, słaby rząd w Kabulu – już teraz niekontrolujący sporej części kraju – nie byłby w stanie się utrzymać.

– Jeśli Stany Zjednoczone się wycofają, to nie widzę powodu, aby ISKP nie miało na powrót odzyskać większości Nangarharu. To głównie amerykańskie siły specjalne, walczące od czterech lat z ISKP, nie pozwalają ekstremistom realizować swoich ambicji – mówi Paweł Wójcik. Analityk dodaje, że talibowie nie będą w stanie prowadzić skutecznych operacji przeciw Państwu Islamskiemu w Afganistanie, nie mając wsparcia lotniczego. To natomiast pozwoliłoby ISKP stworzyć na nowo bezpieczne przystanie.

I tak koło się zamyka. Od początku istnienia Państwa Islamskiego – niezależnie, w Iraku czy w Afganistanie – chaos jest jego najlepszym sojusznikiem.

© AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA

Zubaira zrezygnował z wojaczki po trzech dniach i nocach, zmienił miejsce zamieszkania. Dezercja nie jest mile widziana. Dziś jest kierowcą i mieszka w wiosce, którą kontrolują talibowie. Codziennie kursuje między Dżalalabadem a swoją wsią. Często musi spędzać noce w aucie, bo gdy talibowie prowadzą akcje przeciw armii rządowej, nie może wrócić do domu. Ale ma z czego żyć i nie narzeka: – Teraz mam samochód i źródło dochodu. Jeśli go stracę, pewnie będę musiał wrócić do walki, zrobię wszystko, by utrzymać moją rodzinę.

Abdul Wali nie miał tyle szczęścia. Mówi, że kiedyś był właścicielem sklepu. Dziś jest uchodźcą wewnętrznym i najmuje się do pracy na polach innych ludzi, choć za sprawą ISKP ma niesprawną rękę. Twierdzi, że w drodze na bazar jego oraz jego krewnych zaatakowali bojownicy, że dwóch kuzynów, bratanek i dwóch innych ludzi nie przeżyło. Jeszcze tego sa-

mego dnia wraz z całą rodziną uciekł z rodzinnej wioski.

Wali twierdzi, że na początku ISKP zyskało poparcie lokalnych talibów, którzy chętnie dołączali do ich szeregów. On sam dotąd nie rozumie, jak to się stało, że jego krewni i ludzie, których szanował, dali się omamić nowej ideologii. Bo ISKP to było zło w czystej postaci. Niedługo po przejściu wsi pod kontrolę ISKP większość mieszkańców uciekła.

Wspomina: – Oni zabijali i porywali, zabraniali upraw maku i konopi, jedynego źródła dochodu. Nie ma u nas szansy na inny zarobek. Zmuszali ludzi do regularnych modlitw w meczecie. Palili szkoły, zabijali nauczycieli. Talibowie nigdy nie terroryzowali ludzi, nie kontrolowali tak ich życia. A terytorium ISKP nie można tak po prostu opuścić.

Wali marzył o powrocie do swojej wioski. Gdy rozmawialiśmy, jesienią 2019 r., była wciąż pod kontrolą ISKP. – Chciał-



WIELKIE ZMILCZENIE

Dla wielu Ślązaków jest to historia wciąż żywa, bo rodzinna.
Co 75 lat temu działo się na Górnym Śląsku?
I jak o tym pamiętać?

ZBIGNIEW ROKITA

WŚWIĘTOCHŁOWICACH-ZGODZIE, przy ulicy Wojska Polskiego, są ogrody działkowe. W 1943 r. na tym terenie władze III Rzeszy utworzyły obóz koncentracyjny KL Eintrachthütte; była to filia Auschwitz. Gdy pod koniec stycznia 1945 r. miasto zajęła Armia Czerwona, infrastrukturę przejęli polscy komuniści. Oficjalnie nazwany obozem pracy Zgoda (faktycznie będący obozem koncentracyjnym) i podległy Ministerstwu

Bezpieczeństwa Publicznego, stał się symbolem tego, co obecnie nazywa się Tragedią Górną Śląską.

Ubecki obóz Zgoda istniał do listopada 1945 r. Szacuje się, że zginęło w nim 2,5 tys. ludzi (mniej więcej co trzeci więziony). Komuniści urządzili tu katownię. Komendantem obozu był Salomon Morel, 26-letni Żyd, który na wojnie stracił rodzinę. Z gnębionego stał się gnębicielem. Nowych więźniów na placu apelo-

wym witał słowami: „Wy hitlerowskie kurwy, Oświęcim to było przedszkole w porównaniu z moim sanatorium”.

Tyle tylko, że zdecydowaną większość więźniów nie stanowili żadni hitlerowcy. Byli to okoliczni mieszkańcy, często starcy, kobiety i nastolatki. Wszystkich jak leci Morel uznał za Niemców oraz nazistów. Ludzie byli głodzeni, gwałceni, nieustannie katowani w wymyślny sposób. Więźniowie wspominali, że umiera-



LASKI DIFFUSION / EAST NEWS

Obóz koncentracyjny Zgoda, podlegający Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego, działał od lutego do listopada 1945 r.

Historia bardzo rodzinna

W Świętochłowicach rozmawiam z historyczką i pisarką, Moniką Kassner. – Zgoda wciąż jest tematem tabu. Wielu nadal nie chce mówić o niej i o tym, co działo się w naszym mieście w 1945 r. W rodzinach to zostaje. Wie pan czemu? Podam przykład: znajoma powiedziała mi, że nigdy nie powie tego nikomu, bo nie chce, żeby dorosłe już dzieci były tym obciążone. Bo musiałyby obciążyć mnóstwo ludzi, którzy do niedawna żyli, i którzy coś znaczyli w Świętochłowicach. Też znam krewnych strażników ze Zgody. Zupełnie nieprzepracowana pamięć – opowiada.

Jednocześnie Monika Kassner mówi mi, że tutejsi doskonale wiedzą o obozie. W końcu wielu miało w rodzinie kogoś, kto zginął w Zgodzie, albo kogoś, kto tam był więziony. I zaczyna wymieniać krewnych znajomych i własnych krewnych, których pochłonęła Zgoda.

– To nie jest tylko kwestia tego, kto był w Zgodzie, ale co obóz robił z ludźmi wokół. Matka naszej emerytowanej kościelnej, choć nie była w obozie, zaraziła się tyfusem, gdy nosiła tam jedzenie bratu. Zmarła – opowiada Kassner.

Historyczka przypomina, że w 2011 r. – za rządów koalicyjnych Ruchu Autonomii Śląska z Platformą Obywatelską w sejmiku wojewódzkim – ustanowiono na Górnym Śląsku ostatnią niedzielę stycznia dniem pamięci o ofiarach tragedii z roku 1945. Nie zmienił tego PiS, gdy po wyborach samorządowych w 2018 r. przejął władzę w regionie.

Jednak na terenie dawnego obozu nigdy nie pojawił się żaden istotny polski polityk. Temat górnośląskich obozów nie wszedł też do szerszej świadomości. Nie pomógł w tym nawet film „Zgoda” (reż. Maciej Sobieszczański) z 2017 r., z Danutą Stenką, Zofią Wichłacz i Jakubem Gierszałem w rolach głównych. Przeszedł bez echa. Może dlatego, że nijak nie mieścił się w polskim imaginariuszu.

Kamieniem milowym na Górnym Śląsku był spektakl „Miłość w Königshütte”. Kilka lat temu w Teatrze Polskim Roberta Talarczyka w Bielsku-Białej chorzowski dramaturg Ingmar Villqist (wcześniej m.in. wicedyrektor warszawskiej Zachęty) po raz pierwszy dotknął językiem

sztuki tego uśpionego nerwu. W jego „Miłości w Königshütte” wszystko jest na odwrót, niż się wydaje, że być powinno: sowiecki żołnierz nie jest jednoznacznie zły, Polacy bywają oprawcami, zaludniają dawny hitlerowski obóz Górnoślązakami. „Miłość w Königshütte” nie rymuje się z obowiązującą w Polsce narracją historyczną. Tymczasem dla wielu świadków historii i spadkobierców traumy spektakl był jak *katharsis*: widząc, że inni publicznie mówią o Zgodzie, sami się powoli osuwają z tym tematem; czują, że ktoś wykrzykuje ich cierpienie.

Porwani na wschód

Zgoda to ważny symbol, ale na Tragedię Górnośląską składa się wiele więcej. Choćby deportacje Ślązaków do Związku Sowieckiego.

W 1945 r. zwycięskie władze sowieckie uznały miejscowych za element reparacji wojennych – i masowo wywoziły ich na roboty, głównie na Donbas, do Kazachstanu i na Kaukaz, by odbudowali tam sowiecki przemysł. Deportowano głównie z terenów Bytomia, Zabrza i Gliwic (projektowanego w Republice Weimarskiej trójmiasta). Sowietzi wykorzystali krótkie *interregnum* i wykradli – to chyba adekwatne słowo – 40-50 tys. ludzi, głównie mężczyzn (choć moja długoletnia gliwicka sąsiadka, jak i wiele innych kobiet, też trafiła do Kazachstanu).

Niezbyt zawracali sobie głowę, czy wywożą powstańca śląskiego, czy nazistę. Ślązak równał się Niemcowi, a „Niemiec” pisało się wtedy małą literą.

Tak samo było w wiosce Ostropa, skąd pochodzi część moich krewnych. Na wrotach stodoły Dylonga napisali, że mężczyźni w wieku 17-50 mają stawić się tego i tego dnia w tym i w tym miejscu. Każdy powinien zabrać ze sobą ubranie na zmianę, koc oraz zapasy na dwa tygodnie. Karą za niestawienie się będzie śmierć. Mieli wrócić za dwa tygodnie, pomóc tylko przy pracach przyfrontowych.

Z wioski porwano 279 osób. Większość nigdy nie wróciła, część wróciła, by skończyć we własnych łóżkach, nieliczni odzyskali siły. Wracano latami. Najtrudniej było tym, którzy pozostali, pogodzić się z myślą, że ktoś już nigdy nie powróci.

„Mamo, mamo! Tata idōm!”

Na powrót męża, Adolfa Jendryska, czekała też Adelheid, z domu Dehner. To dziadek i babcia Moniki Kassner.



jący z głodu musieli polować na szczury, bo były wyjątkowo tłuste – żywiły się w obozowej trupiarni. Latem 1945 r. wybuchła epidemia tyfusu. Warunki były tak straszne, że same władze komunistyczne zdecydowały, że należy Zgodę zamknąć. Morel nigdy nie odpowiedział za swoje zbrodnie. Gdy po upadku komunizmu podjęto przeciw niemu śledztwo, wyjechał do Izraela, a władze izraelskie odmówiły jego ekstradycji; zmarł tam w 2007 r.

Dziś o tej historii przypomina tylko odzyskana z wysypiska dawna brama obozowa – jedyna po nim pozostałość – oraz garść zniczy i tablice. To do tego miejsca od 10 lat Ruch Autonomii Śląska organizuje „Marsz na Zgodę”, którego uczestnicy przechodzą pieszo kilkugodzinną trasę z centrum Katowic: tę samą, którą przebywali więźniowie.

Obóz Zgoda był straszną, lecz jedną z wielu wysp górnośląskiego archipelagu Gułag.

→ – Za wojny dziadek był elektrykiem w kopalni, prócz tego reperował pojazdy w oddziałach zmechanizowanych Wehrmachtu i dlatego automatycznie wciągnięto go do partii – opowiada Kassner. – Ci ludzie nie mieli problemu z przynależnością do narodowości niemieckiej. Urodzili się za kajzera, wychowali w kulturze niemieckiej. Dla nich tu od niepamiętnych czasów byli Niemcy. A ile trwała Polska? 17 lat. Gdy Niemcy oddali tę część Górnego Śląska, na znak państwowej żałoby na wszystkich niemieckich urządach spuszczone flagi do połowy masztu.

Pewnego dnia Rusy (jak mówiono na Sowietów) przyszły na kopalnię Matylda i zabrały całą brygadę na Donbas, w tym Jendryska. Kassner: – Gdy aresztowano dziadka Adolfa, babcię z dwójką dzieci wyrzucono na bruk. Ludzie jej pomagali, mieszkała u teściowej, ale to była ajncla (pokój z kuchnią) i gdyby nie to, że babcia pracowała na noc, nie zmieściliby się w nim i musiałyby spać na sieni. Babcia pogodziła się z tym, że dziadek nie wróci.

Minął blisko rok. Pewnego dnia do babci nadbiega syn Werner i krzyczy: „Mamo, mamo! Tata idom!” Ona odpowiada: „Co ty to gödosz? Banie żeś sie najöd abo co?” – Drogą szła wielka grupa ludzi-duchów w szmatach – wspomina historyczka. – Werner poznał dziadka: potargane włosy, długa broda, nogi czymś obwiązane, bo butów nie miał. Cały był we wrzodach. Potwornie chorował. Szedł od Chebzia, dostali bilet, proszę spojrzeć: „Uprawnienie do jednorazowego przejazdu wszelkimi środkami lokomocji do Chebzia”.

– Dziadek mówił tylko, że spali na drewnianych pryzkach, które sami sobie zbili, dostawali zupę z rybich kręgosłupów i niemytej brukwi. To były chyba śledzie, bo się bardzo chciało pić. Umierali przy pracy. Tyle. Więcej nie chciał nic babci powiedzieć – opowiada Kassner.

To był jeden z tych wielu momentów na Górnym Śląsku, gdy kobiety musiały wziąć sprawy we własne ręce. Patrzymy na region przez pryzmat Barbórek i sceny mycia nóg mężowi przez żonę z „Perły w koronie” Kutza. Ale tu kobiety zostawały same (z gospodarką, dziećmi, domem), gdy „chopy” szły do Wehrmachtu, gdy ich deportowano, gdy ginęli na kopalniach. To wciąż mało zbadany wątek górnośląskiej mitologii.



Salomon Morel, komendant obozu Zgoda

Lepiej sobie odpuścić

Adolf Jendrysek wrócił w listopadzie 1945 r., ale wkrótce pan Kuś doniósł na niego, że za wojny uderzył kogoś, mówiąc: „Ty polska świniu” za mówienie po polsku.

Monika Kassner mówi mi, że ludzie po wojnie wyrównywali rachunki.

Za zbrodnię odstępstwa od narodowości polskiej Adolf zostaje uwięziony, ale znajomy ubek załatwia mu, że nie trafia do obozu, lecz do aresztu w Świętochłowicach. – Babka pracowała przy rozładunku wagonów, była w ciąży, ale bała się donosić syna, myślała, że jak się namęczy, to nie donosi. Było jej bardzo ciężko. Po raz drugi nie wiedziała, czy dziadek wróci – mówi Kassner.

Adolf wraca do domu po półtora roku. Znowu nie mija wiele czasu, a ktoś puka do drzwi. To ubecja. Słyszą: „Macie piętnaście minut na spakowanie się i wyjeżdżacie do Niemiec”. Uznano ich za Niemców i chciano wypędzić. Zapakowani na furmankę, z innymi deportowanymi pojechali do Zabrza. Tam, zgrupowani w restauracji, czekali na transport do Niemiec. To było pod koniec 1948 r., miał to być ostatni pociąg na Zachód.

Znajomy ubek przechodzi obok czekających w zabrzańskiej restauracji i zauważa Adolfa. Mówi mu: „Jendrysku, ten pociąg już nigdzie nie pojedzie”. Okazało się, że właśnie zakończono deportacje do Niemiec i muszą zostać.

– Mieli szczęście – mówię.

– Trudno powiedzieć – odpowiada Kassner. – Cała ich rodzina już była w Niemczech. Ciotki dawały mi potem książki do niemieckiego, ale matka powiedziała: „Tyle się nacierpieliśmy przez niemiecki, nie będziesz go znała. Tyle nam Polacy

zła wyrządzili, że lepiej się nie wyróżniać z niemieckością, lepiej odpuścić sobie”.

Jej dziadkowie nie opowiadali o tamtych latach. Podobnie jak ich dzieci. Dopiero od wujka kilkanaście lat temu dostała dokumenty. Przekazał je nie dla pielęgnowania pamięci, lecz na wypadek, gdyby Monika Kassner chciała ubiegać się o niemieckie obywatelstwo.

Umarła wioska

Tragedia Górnośląska – to także rabunkowa wywózka tutejszego przemysłu do Związku Radzieckiego, to poniżająca weryfikacja narodowościowa, to palenie książek, to prymitywna polonizacja. Prof. Maria Szymeja, badaczka śląskości, opowiadała mi niedawno: – Jednej z moich respondentek, pani Michałek, której naziszi zmienili nazwisko na Michaels, po wojnie polonizator spolszczył je, ale nie na Michałek, lecz Michałków. Sam przyjechał ze Wschodu i Michałków brzmiał mu bardziej polsko.

Tragedia Górnośląska to również niszczenie całych wiosek, czasem kultur. Tak było z wioską Schönwald (dziś część Gliwic o nazwie Bojków), skąd wywodzą się moi przodkowie.

Była to jedyna na międzywojennym przemysłowym Śląsku w pełni niemiecka wieś. To tu podczas plebiscytu w 1921 r. Berlin otrzymał najwyższe poparcie wśród wszystkich wiosek, które w nim głosowały. Jej mieszkańcy przybyli z głębi Niemiec w średniowieczu. Choć na śląską wieś na przestrzeni wieków trafiła wielka liczba osadników, to – w przeciwieństwie do innych – schönwaldczycy nie rozpuścili się w słowiańskim żywiole, lecz tworzyli zamkniętą społeczność i zachowali swój niespotykany nigdzie indziej dialekt i obyczaje.

Kultura schönwaldzka umarła nagle, wraz z wkroczeniem Armii Czerwonej. Część mieszkańców zdążyła uciec, część została. Schönwald to była przedwojenna wioska graniczna, krasnoarmiejcy tu po raz pierwszy stawiali stopę na niemieckiej ziemi. W Schönwaldzie zamordowali 120 osób, spalili wiele domów (takich wiosek były potem na Śląsku dziesiątki).

Zanim pozostałych przy życiu wysiedlono na Zachód (źródła podpowiadają, że zostanie tylko kilka kobiet, które prędko wyszły za mąż za polskich osadników), na wieś spadła plaga rabunków i gwałtów. W czasopiśmie „Fabryka Silesia” znajduje wspomnienie lekarki



ADAM DZIUROK / IPN KATOWICE

Pomnik na cmentarzu w Świętochłowicach, gdzie chowano ofiary obozu

z gliwickiego szpitala: „Nastały gwałty, gwałty, których skali i sadyzmu nie można sobie wyobrazić, jeśli samemu nie widziało się nie tylko zgwałcone, zarżnięte chorobami wenerycznymi, ale często pobite i pokasane kobiety w każdym wieku. Ja sama widziałam nawet dzieci w wieku siedmiu, ośmiu i jedenastu lat”.

We wspomnieniach wyczytałem parę razy, że gdy później na wsi pod Strzelcami Opolskimi czy Bytomiem rodziło się skośnookie dziecko, nikt nie zadawał pytań.

Diagnozy chorobowe

Ale Tragedia Górnos Śląska to przede wszystkim wielkie zamilczenie.

Ślązacy budzą często nieufność. Ich pamięć nie chce dać się upchnąć w obowiązującej w Polsce pamięci oficjalnej – tej z wystąpienia polityków (różnych opcji, bynajmniej nie tylko PiS) i podręczników. Trudno znaleźć tam miejsce na odniesienie się z szacunkiem do przodków wcielonych podczas II wojny światowej do Wehrmachtu. Niełatwo też wpisać w pamięć „warszawską” prawdę o tutejszych obozach koncentracyjnych, które podlegały władzom komunistycznym, ale przecież polskim, nie sowieckim.

Adam Dziurok, historyk z Oddziału IPN w Katowicach, tak pisał w „Fabryce Silesii”: „Nawiązując do porównania Marcina Zaremby, który stwierdził, że Polacy w obliczu »niemieckiej dżumy« woleli, z dwójga złego, »sowiecką grypę«, można zauważyć, że przynajmniej na terenie Śląska Opolskiego diagnoza »chorobowa«

wyglądała zupełnie inaczej. Tutaj »sowiecka dżuma« stanowiła fundamentalne zagrożenie, zaś »niemiecka grypa« wydawała się co najwyżej »lekkim przeziębieniem« lub wręcz stanem normalności”.

W kwestii dramatów, jakie po 1945 r. przeżywali „niemieccy” autochtoni, rąbka tajemnicy uchylił publicznie Wojciech Smarzowski w filmie „Róża” (opowiada on o losach Mazurów z Prus Wschodnich). To nie wina Ślązaków, że niemieckość była dla nich często bardziej intuicyjna, zrozumiała i bliska niż polskość. Szczególnie że doświadczenie polskiego międzywojnia dla wielu mieszkańców Chorzowa czy Katowic było dalece rozczarowujące.

Po polskiej stronie międzywojennej granicy zbrodnie Sowietów były mniejsze, po stronie niemieckiej – znacznie większe. Każda rodzina to wycierpiała. Również moja. Prapradziadka Urbana, powstańca śląskiego, zamordowali Sowieci. Pradziadka Johana, którego z powodów zdrowotnych zwolnili z Wehrmachtu, postawili pod ścianą do rozstrzelania; w ostatniej chwili major Iwan Rudenko wszedł na nasze podwórko i zabronił żołdakom otwierać ogień. „Ujek” Alojz nie wrócił z wojny, podobnie jak wielu krewnych. Z Wehrmachtu wrócili „ujkowie” Reinhold, Paul, ale ile się nacierpieli, tylko oni wiedzieli. O innych okropieństwach czasu bezpośrednio po wkroczeniu Sowietów nie chcą nawet pi-
sać.

Wtedy ci rdzenni mieszkańcy „ziem odzyskanych” zostali uznani przez Sowietów, a następnie przez Polaków za ludność niepewną lub wprost za Niemców – i ten smrodek unosi się nad nimi do dziś. Przejawów takiego podejścia nie brakuje. Choćby słowa Jarosława Kaczyńskiego z 2011 r.: „Śląskość jest po prostu pewnym sposobem odcięcia się od polskości i przypuszczalnie przyjęciem po prostu zakamuflowanej opcji niemieckiej”.

Wpiszcie w wyszukiwarkę internetową frazę „Ślązacy to...”, aby zobaczyć, co polscy internauci wpisują tu najczęściej. Wskoczy: ukryta opcja niemiecka, chamy, Niemcy, nie Polacy itd. itp.

Obcięta uchwała

W styczniu tego roku Sejm przyjął uchwałę upamiętniającą ofiary Tragedii Górnos Śląskiej. Dowiaduję się, że autorem projektu uchwały był Marcin Musiał – śląski aktywista, współpracujący z katowicką posłanką Moniką Rosą z Koalicji Obywatelskiej.

Musiał pisze mi, że Sejm dokonał istotnych ingerencji w przygotowanym przez niego tekście: „Wycięto wszystkie elementy, które łączyłyby Tragedię Górnos Śląską z późniejszymi wydarzeniami. Zniknęło np. zdanie: »Milczenie to zbudowało mur między Ślązakami a państwem. Nie można przecież traktować jako własnego państwa, przed którym nie można publicznie dać wyrazu swojemu cierpieniu«”.

Musiał pisze dalej: „Zniknęło też zdanie: »Nadal jednak są osoby, które wobec Ślązaków i innych mniejszości próbują budować mur nieufności«”.

„Być może dla niektórych jest ono dziś zbyt prawdziwe – dodaje Marcin Musiał. – Tymczasem, parafrazując słowa Marii Janion: do polskiej wspólnoty obywatelskiej tak, ale razem z naszymi śląskimi umarłymi”.

© ZBIGNIEW ROKITA

Autor jest reporterem, specjalizuje się w tematyce Górnego Śląska i Europy Wschodniej. Kończy pracę nad książką reporterską poświęconą Górnemu Śląskowi.

Korzystałem z: M. Łuszczyna „Mała zbrodnia. Polskie obozy koncentracyjne”; E.H. Borkowska, U. Dylong, A. Jonderko „»Mieli wrócić za czternaście dni«. Mieszkańcy Ostropy w obozach pracy przymusowej w Związku Sowieckim (1945–1949)”; „Fabryka Silesia” nr 1/2015.



Festiwal rzeźby w lodzie, Moskwa, 4 stycznia 2020 r.

JAK ZMROZIĆ KREW W ŻYŁACH

Odcięty od natlenowanej krwi mózg obumiera po kilku minutach. Znacznie później, jeśli go odpowiednio schłodzimy. Procedura, która by na to zezwalała, miałaby nie tylko medyczne zastosowania.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

TO SCENA, KTÓRA W USA ROZEGRAŁA się w zeszłym roku ponad 15 tysięcy razy. Szpitalny oddział ratunkowy, zakrwawiony pacjent z raną postrzałową, zespół lekarzy i pielęgniarek walczący o powstrzymanie krwawienia z rozetrwanej aorty. I tykający zegar.

Lekarze próbują jak najszybciej dostarczyć pacjenta na salę operacyjną. Ręcznie masują jego serce, jednocześnie starając się zszyć śliskie od krwi naczynia krwionośne, aby natleniona krew znowu zaczęła płynąć do mięśni, nerek, wątroby i, przede wszystkim, mózgu.

Ale nawet jeśli zrobią wszystko dokładnie tak, jak powinni, pacjenci, którzy docierają do amerykańskich szpitali w takim stanie, mają statystycznie zaledwie 5 proc. szans na przeżycie. Traumatyczne obrażenia, wywołane wypadkami samochodowymi, ranami kłutymi czy postrza-

łami, są w USA główną przyczyną śmierci ludzi poniżej 45. roku życia. W gruncie rzeczy pacjenci umierają z braku czasu.

„Te obrażenia są, z technicznego punktu widzenia, całkowicie reperowalne – mówi w rozmowie z tygodnikiem „The Atlantic” Samuel Tisherman, chirurg z Uniwersytetu Maryland. – Ograniczenia są logistyczne, a nie fizjologiczne”.

Tisherman postanowił rozwiązać najważniejszy logistyczny problem, zatrzymując zegar albo przynajmniej spowalniając jego tykanie tak bardzo, by stało się niemal niezauważalne. W listopadzie ubiegłego roku jego zespół, pracujący w szpitalu uniwersyteckim w Baltimore, ogłosił, że pierwszy pacjent przeszedł opracowaną przez niego procedurę EPR: ratunkowej przerwy i resuscytacji.

W ramach eksperymentalnej procedury lekarze gwałtownie schładzają organizm ofiary poważnego urazu. Podpięte do układu krążenia pompy zamieniają płynącą w nim krew na silnie schłodzoną sól fizjologiczną, która obniża temperaturę kluczowych organów, w tym mózgu. Podobna procedura jest stosowana przez chirurgów podczas złożonych operacji serca czy mózgu, ale Tisherman schładza pacjentów o wiele szybciej i o wiele bardziej: temperatura ciała ma spadać nawet do 10-15 stopni Celsjusza. To powinno dać lekarzom nawet dwie godziny na przeprowadzenie operacji bez poważnego uszczerbku dla mózgu. W porównaniu z dzisiejszą walką o sekundy to prawie wieczność.

Zahibernowani mimo woli

Nie wiadomo jeszcze, czy ten pierwszy zabieg skończył się pełnym sukcesem: tożsamość pacjenta, który trafił do szpitala w stanie agonalnym i nie miał żadnej szansy na przeżycie bez tak ekstremalnej interwencji, jest utrzymywana w tajemnicy, a Tisherman dopiero w tym roku ma opublikować w jednym z naukowych periodyków opracowanie opisuujące szczegółowo procedurę. Pewne jest jednak, że jego praca budzi ogromne zainteresowanie nie tylko lekarzy. Badania Tishermana są współfinansowane przez Centrum Badań nad Telemedycyną i Zawansowanymi Technologiami amerykańskiej armii, która, rzecz jasna, jest żywotnie zainteresowana wszelkimi technikami, które mogłyby dać lekarzom więcej czasu na ratowanie pacjentów z rozległymi obrażeniami.

Tisherman nie szuka w ciemno, bo medycyna zna przypadki pacjentów, którzy dzięki niskim temperaturom przeżyli w ekstremalnych sytuacjach. W ubiegłym roku brytyjska turystka Audrey Schoeman przeżyła zatrzymanie akcji serca na sześć godzin po tym, jak burza śnieżna zaskoczyła ją w hiszpańskich Pirenejach. Temperatura jej ciała spadła w tym czasie do 18 stopni Celsjusza. Po 12 dniach wyszła ze szpitala. W 1999 r. szwedzka radiolog Anna Bågenholm przeżyła, mimo że przez 80 minut znajdowała się pod powierzchnią lodowatej wody. A w jednym z najbardziej zagadkowych przypadków w historii medycyny, w 2006 r. japoński turysta Mitutaka Uchikoshi przeżył wypadek,

Samuel Tisherman, chirurg z Uniwersytetu Maryland, schładza pacjentów o wiele szybciej i o wiele bardziej: temperatura ciała ma spadać nawet do 10-15 stopni Celsjusza.



YOUTUBE / UPMC

zapadając w stan nazwany przez lekarzy „pierwszym znanym przypadkiem ludzkiej hibernacji”. Japończyk zламаł miednicę, schodząc z góry Rokko w zachodniej Japonii. „Drugiego dnia wyszło słońce, leżałem w polu i było mi bardzo wygodnie. To moje ostatnie wspomnienie” – opowiadał wychodząc ze szpitala w Kobe. Został odnaleziony przez przechodzącego wspinacza 24 dni później. Był odwodniony, miał zaledwie 22 stopnie, liczne uszkodzenia organów i ledwie wyczuwalny puls. Ale przeżył.

Prawdę mówiąc, te przypadkowe wydarzenia *Homo sapiens* błędą jednak w porównaniu z możliwościami innych zwierząt.

Żaby i lemury

Pięć gatunków północnoamerykańskich żab jest w stanie przeżyć niemal całkowite zamrożenie: aż 70 procent wody w ich ciałach zmienia się w kryształki lodu. Komórki płazów są chronione przez glukozę, mocznik i białka wiążące się z ich błonami komórkowymi. Jeśli

temperatura nie spadnie za bardzo – żyjące na północy gatunki są w stanie, zażebane w dodatkowo izolującej cieplnie glebie, wytrzymać nawet minus dziesięć stopni. Na wiosnę żabi sople po prostu taję i się budzi.

W przypadku zwierząt stałocieplnych, takich jak ssaki i ptaki, proces hibernacji (lub torporu) jest nieco bardziej złożony, bo i cały proces termoregulacji jest kluczowy dla funkcjonowania organizmu. Naukowcy wciąż dokładnie nie wiedzą, jakie konkretnie sygnały metaboliczne powodują wejście zwierzęcia w stan torporu i wyjście z niego. Nie jest pewne, czy proces jest uruchamiany odgórnie, przez sygnał płynący z mózgu, czy oddolnie, przez przemiany zachodzące na poziomie

komórkowym. Jest możliwe, że różne, ewolucyjnie odległe od siebie zwierzęta (kolibry, niedźwiedzie, świstaki) osiągnęły ten sam cel, czyli obniżenie temperatury ciała i spowolnienie metabolizmu, zupełnie różnymi metodami.

Pewne jest za to, że hibernować potrafią nawet zwierzęta blisko spokrewnione z nami, bo należące do naczelnych lemury. W 2005 r. niemieccy badacze odkryli, że żyjące na Madagaskarze lemury średnie (*Cheirogaleus medius*) są w stanie, w okresach suszy i ekstremalnych temperatur, ograniczyć swoje zapotrzebowanie energetyczne do 2 proc. normalnego poziomu. A skoro potrafią to inne naczelne, to czemu nie my?

Kosmiczne eksperymenty

Najczęściej, choć nie wyłącznie, hibernują gatunki zamieszkujące zimne strefy klimatyczne. Człowiek jest z pochodzenia gatunkiem tropikalnym: w strefy umiarkowane i arktyczne zawędrowaliśmy dopiero w ciągu ostatnich 100 tys. lat i przystosowaliśmy się do nich nie →

→ ewolucyjnie, lecz technologicznie: nasi przodkowie nauczyli się przeżywać arktyczne zimy dzięki ubraniom, schronieniom, zmagazynowanej żywności i paleniskom. Hibernacja nie była nam potrzebna. Ale to nie oznacza, że głęboko w naszym DNA nie ma usypionych genów odpowiadających za procesy obniżające tempo metabolizmu. Na razie nie udało się ich jednak odkryć.

Świętym Graalem lekarzy byłoby odnalezienie w naturze bądź stworzenie w laboratorium substancji, która pozwoliłaby bezpiecznie i szybko manipulować temperaturą ciała pacjenta. Skręcać nasz wewnętrzny termostat. Obniżenie tempa przemiany materii o 50 proc. oznacza podwojenie czasu, który organizm może przetrwać bez tlenu. Obniżenie go o 90 proc. oznacza dziesięciokrotne przedłużenie tego czasu. Dla medycyny ratunkowej to bezcenne. Ale nie tylko dla niej. Wiele wskazuje na to, że problemy z termoregulacją stoją za niektórymi przypadkami bezsenności. Trwają też badania nad tym, jaki związek istnieje między naszym wewnętrznym termostatem a otyłością i cukrzycą.

Ale manipulowanie ludzkim termostatem – i potencjalne wprowadzanie człowieka w stan torporu czy hibernacji (ten pierwszy jest krótszy i mniej ekstremalny) – nie interesuje wyłącznie lekarzy czy wojskowych. Jeszcze zanim Gagarin poleciał w swój pierwszy, orbitalny lot, Amerykanie prowadzili pierwsze hibernacyjne eksperymenty, licząc, że wprowadzeni w stan torporu astronauta lepiej zniosą kosmiczne promieniowanie. W jednym z nich młody biolog James Lovelock, późniejszy twórca słynnej hipotezy Gai, zanurzał chomiki w lodowatej wodzie i budził je z tak wzbudzanego torporu, ogrzewając rozgrzaną łyżeczką.

Zainteresowanie agencji kosmicznych manipulacją ludzkim metabolizmem wynika z dokładnie tych samych względów, dla których proces funkcjonuje w naturze: torpor pozwala drastycznie zredukować zapotrzebowanie organizmu na wodę, kalorie i tlen. Podczas długich, nudnych, wielomiesięcznych podróży kosmicznych „wyłączony” astronauta byłby o wiele praktyczniejszy od czynnego. Przez pół roku lotu na Marsa załoga i tak nie miałaby zbyt wiele do roboty, a pozostawiając jedynie dwóch czy trzech członków załogi na nogach i „usypiając” pozo-

Lemurki średnie mogą ograniczyć swoje zapotrzebowanie energetyczne do 2 proc. normalnego poziomu.

A skoro potafią to inne naczelnne, to czemu nie my?

stałych (jak wyobraził to sobie Arthur C. Clarke w „2001: Odysei kosmicznej”), planiści misji mogliby pozwolić sobie na wyposażenie ekspedycji w drastycznie mniejszą „spizarnię”. To przekłada się na koszty i poziom skomplikowania wyprawy. Według cennika firmy SpaceX z 2016 r. wysłanie kilograma ładunku na Marsa – nieważne, czy kilograma astronauty, pojazdu czy kanapek z szynką – to koszt 15 422 dolarów. Tymczasem statek, w którym załoga podróż spędziłaby w torporze, mógłby mieć, według szacunków NASA, pięciokrotnie mniejszą objętość i trzykrotnie mniejszą masę. Nic dziwnego, że choć zastosowanie jest wciąż dość odległe, zarówno NASA, jak i ESA wciąż finansują badania.

Na potrzeby NASA nad systemem pracuje firma SpaceWorks. Jej szef, inżynier Mark Schaffer, jest optymistą. „Nie znaleźliśmy żadnych przeszkód nie do pokonania ani ze strony inżynieryjnej, ani medycznej” – mówił podczas Międzynarodowego Kongresu Astronautycznego w Toronto w 2014 r. Opracowany przez niego system schładza astronautę przez wprowadzoną do nosa rurkę, pompującą do organizmu specjalny płyn. Cały proces trwa około sześciu godzin. Schaffer przyznaje, że to niezbyt wygodna opcja, ale w ten

sposób organizm jest mniej podatny na potencjalnie niebezpieczne dreszcze. Aby obudzić astronautę, wystarczy przestać pompować płyn. Podczas hibernacji mięśnie załogi mają być stymulowane impulsami elektrycznymi.

W skali minut

Nie wszyscy astronauta są zachwyceni. Buzz Aldrin, drugi człowiek na Księżycu, stwierdził, że nie chciałby przegapić ani minuty lotu. Ale Bradford jest pragmatyczny: „Jeśli to ma być różnica między lotem na Marsa a pozostaniem na Ziemi, to wszyscy to zrobią”.

Tyle że wyzwania pozostają. Podróż na Marsa to pół roku lotu. Tymczasem do tej pory żaden człowiek nie został wprowadzony w stan torporu, który trwałby dłużej niż 14 dni. Wiele wskazuje na to, że potem zaczynają się poważne problemy, bo nasze organizmy są pozbawione wielu przystosowań, w które wyposażone są zwierzęta regularnie przechodzące hibernację. Problematiczne są i nasze płuca, które wypełniają się śluzem i zaczynają przypominać płuca astmatyka, i nasz układ trawienny. Eksperymenty na szczurach pokazały, że zwierzęta nieprzystosowane do długotrwałej hibernacji po dwóch tygodniach umierają na sepsę, wywołaną perforacją ścian jelit. Można też zapomnieć o tym, że pacjent czy astronauta budziłby się wypoczęty po półrocznym śnie. Jest dokładnie odwrotnie. Wiele budzących się z zimowego snu zwierząt przejawia oznaki ciężkiego niedoboru snu. Hibernacja to dla organizmu nie wzmacniający sen, lecz wyczerpujące wyzwanie. Przynajmniej ta długoterminowa.

Ale Samuel Tisherman w szpitalu w Baltimore nie myśli w skali tygodni, tylko sekund i minut. „Chcę jasno powiedzieć, że nie próbujemy wysłać ludzi na Saturna – naciskał w rozmowie z „New Scientist”. – Próbuje kupić sobie więcej czasu na ratowanie życia”.

Na razie jego badania trwają i nie jest jasne, jak długo będą jeszcze prowadzone. Chce przeprowadzić co najmniej dziesięć udanych zabiegów, zanim przedstawi ostateczne wnioski. A to, kiedy one się odbędą, zależy od tego, kiedy do szpitala trafi kolejna ofiara miejskiej przemocy, której życie może uratować wyłącznie medyczny eksperyment zatrzymujący na chwilę tykający zegar.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI



JAREK TUSZYŃSKI / PIXABAY

Nie tylko lemurki: pięć gatunków północnoamerykańskich żab może przeżyć niemal całkowite zamrożenie: aż 70 procent wody w ich ciałach zmienia się w kryształki lodu.

WOJCIECH

Bonowicz: Kreon i trzy drzewa



JĘŚLI MYŚLICIE, ŻE POMOGĘ WAM OGARNĄĆ całość, to się mylicie. W tej sprawie nikt wam nie pomoże, bo nikt już całości nie ogarnia. Powiem więcej: większość nie ogarnia już nawet tej małej części, za którą odpowiada.

Ludzie mają nerwy jak postronki, a od nadmiaru emocji sztywnieją im palce. Wszystko dlatego, że mało kto wstając rano myśli o tym, że jakaś całość istnieje. W swoich wystąpieniach „jadą po całości” z godną podziwu swobodą, bo żadna całość ich nie obchodzi, zależy im tylko na tym, żeby przetrwać najbliższych kilka lat. Można właściwie powiedzieć wszystko i wszędzie, bo i tak nikt niczego nie pamięta. A nawet jak ktoś skrupulatny pamięta i przypomni, to inni zaraz zapomną, bo po prostu nie sposób każdą głupotą i niegodziwością pamięci obciążać. To znaczy obciążać można, ale skutki dla psychiki – fatalne.

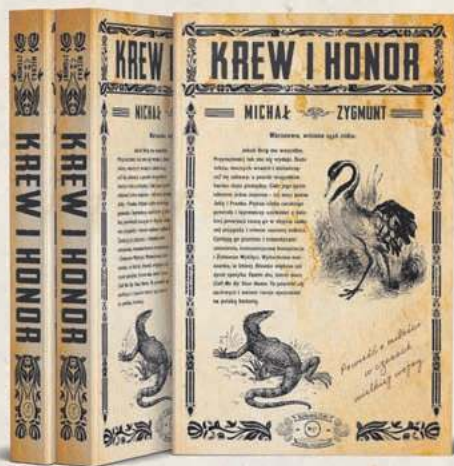
Kluczową strategią, nie tylko w polityce, jest odwracanie uwagi i pomniejszanie rzeczywistych zagrożeń. Jest to strategia zrozumiała: jak mamy do czynienia ze smakiem, który nie da się nabrać na byle barana wypchanego siarką, to trzeba się zająć ściganiem Skuby, który z braku lepszych pomysłów próbował za pomocą barana problem rozwiązać. To nie jest aluzja do kogokolwiek ani czegośkolwiek, tylko opis mechanizmu. Zresztą zwykle to wygląda jeszcze mniej interesująco: ktoś wskazuje na rozpięte spodnie, ktoś inny grzebie w śmieciach tak długo, aż wygrzebie. Czasem to wręcz nie wiadomo, czy chodzi o grzebanie w śmieciach, czy o produkcję śmieci. Grube miliardy dziś idą na to, żeby

śmiecia było pod dostatkiem i żeby spoza niego żadna całość się nie objawiła, bo po co? Od całości tylko niepokój, pytania i wyrzuty sumienia, a tak można działać bez konsekwencji. Skazano kogokolwiek w Polsce za głupie i szkodliwe decyzje? Skażają kogoś za to, że dziś szkodliwie i głupio głosuje? Jak skażają, obiecuję ogolić głowę i posypać popiołem.

Piszę to tak trochę natchniony rozmową Rafała Wosia z Dariuszem Karłowiczem w ostatnim numerze „Tygodnika” (czytaj także na powszc. Bardzo przyjemnie czytać, jak się dwóch przychodzących z różnych stron ludzi tak ze sobą zgadza, że wydaje się, iż już, już, a w ogóle zgoda narodowa zapanuje. Poza tym ja też bardzo lubię Sofoklesa. I wydaje mi się, że – istotnie – z historii Kreona i Antygony można by dziś wyciągnąć niejeden pożyteczny wniosek, choć nie jestem pewien, czy wyciągnąłbym akurat takie, jakie wyciąga Darek. Mam wrażenie, że żyję w kraju, w którym od pewnego czasu ktoś co chwilę próbuje zamurować jakąś Antygonę, jednak nie w imię mniej lub bardziej racjonalnego projektu politycznego, lecz właśnie dla wspomnianego odwrócenia uwagi. I tyle. Państwo od tych prób słabnie coraz bardziej, ale przecież jeszcze trochę wytrzyma. Można sobie poprawiać nastrój rozważaniem, jak pogubiły się elity w całej Europie, ale popatrzmy trochę na nasze, zwłaszcza na te, w których rękach skupia się obecnie władza. Czy rzeczywiście myślą o „braniu odpowiedzialności za całość” bardziej niż ci, którzy zaczynali przebudowę trzydzieści lat temu? No, nie wiem... Może mi się wzrok pogorszył, ale jakoś tego, przepraszam, nie widzę.

Widzę za to, że – w najlepszym razie – przyjął się model reagowania, o jakim mówi grecko-góralski dowcip. W izbie za stołem siedzi gazda, pali fajkę i słucha, jak w radiu chór deklamuje: „Miłości, któż się wyrwie z twych objerzy, / Kroczyz po morzu i wśród chat pasterzy...”. Naraz z trzaskiem otwierają się drzwi i wpada do środka młody siuchaj. „Gazdo – woła od progu – wasa kobita zdradza was w lesie z sąsiadem!”. „Eee, jaki tam las? Trzy drzewa...”, odpowiada spokojnie gazda, wkłada fajkę do ust i wraca do słuchania „Antygony”. ©

REKLAMA



WYDAWNICTWO | krytyka polityczna
WYDAWNICTWO.KRYTYKAPOLITYCZNA.PL

Niecodzienna, bardzo ciekawa książka
JAKUB ŻULCZYK
Brawurowa parodia polskiej historii, w której nic się nie zgadza, ale wszystko pasuje
KINGA DUNIN

Chyba po raz pierwszy w życiu przeczytałam naprawdę queerową powieść
MAŁGORZATA HALBER

PATRONAT:



odra

Stolicy



APOSTOŁKA APOSTOŁÓW

26 lutego rozpoczyna się XI interdyscyplinarny festiwal wielkopostny Nowe Epifanie organizowany przez Centrum Myśli Jana Pawła II, warszawską instytucję kultury. Potrwa do 5 kwietnia. W tym roku spektakle i koncerty inspirowane będą postacią Marii Magdaleny.

NIE DOTYKAJ MNIE – HASŁO TEGO-
rocznej edycji może budzić skoja-
żenia z ruchem #MeToo, tym bardziej
że Nowe Epifanie to festiwal, który za-
wsze uwierał i drażnił. I choć pojawia
się na nim kwestie polityki cielesności
czy negocjacji granic, inspiracją organi-
zatora były słowa zmartwychwstałego
Jezusa.

Wedle Ewangelii Jana „wczesnym ran-
kiem pierwszego dnia tygodnia Jezus
ukazał się najpierw Marii Magdalenie”.
„Najpierw”, jak podkreślają bibliści, mo-
gło oznaczać pierwszeństwo nie tylko
w czasie, ale również co do ważności. To
istotne, bo w kulturze judaistycznej świa-
dectwa kobiet nie przedstawiały wielkiej
wartości. Jezus nie przyjmuje tych ka-
tegorii. Podczas spotkania w ogrodzie
zwraca się do kobiety po imieniu: „Ma-
rio!” – w znaczeniu „Pani”; oraz „Niewia-
sto” – jako do tej, która zapowiada triumf
Boga nad złem. Kiedy się rozpoznają, Ma-
ria wykonuje nieokreślony gest, przez
Chrystusa skwitowany prośbą tłumaczo-
ną – za św. Hieronimem i jego Wul-
gata – jako „*noli me tangere*”, czyli „nie do-
tykaj mnie”. Grecki oryginał nie jest tak
jednoznaczny. Użyty w nim czasownik
„*haptomai*” rozumieć można jako obej-
mowanie bądź zatrzymywanie. Stąd we
współczesnym przekładzie czytamy:
„Nie zatrzymuj Mnie, jeszcze bowiem nie
wstąpiłem do Ojca”. Zmartwychwstały
Jezus nie odrzuca miłości Marii z Magda-
li, ale uzmysławia, że będzie dostępny
dla niej i wszystkich w Niego wierzących
w nowy sposób. Jednocześnie wskazuje
Marię jako tę, która ma przekazać męż-
czyznom dobrą nowinę. Posłana przez
Jezusa do Dwunastu staje się „Apostołką
Apostołów”.



Maria Magdalena. Wykład o grzechu, reż. Katarzyna Minkowska, premiera spektaklu w Teatrze Powszechnym, 4-5 marca 2020 r.

Głoszenie Zmartwychwstania było czę-
stym tematem widowisk średniowiecz-
nej Europy, w tym także bardzo popular-
nych misterii. Złożony z samych pre-
mier program teatralny tegorocznego Fe-
stiwalu otworzy spektakl „Maria Magda-
lena. Wykład o grzechu” w reż. Katarzyny
Minkowskiej. Widzowie będą mieli oka-
żę zobaczyć przedstawienia Darii Kopiec,
Karoliny Szczypek, Sławomira Narłocha
i Jana Hussakowskiego, owoc pracy Labo-
ratorium Nowych Epifanii. Wyjątkowo
zapowiada się także „Ordo Virtutum” Hil-

degardy z Bingen z udziałem Anny Ma-
rii Jopek.

Z kolei program muzyczny Festiwalu
będzie – jak obiecują organizatorzy – oka-
zją, by dać się Marii Magdalenie objąć i za-
trzymać. Koncerty Graindelavoix, Adama
Struga, Monodii Polskiej, Qvinty Essen-
cia, Carine Tinney, Lukasa Henninga,
Dziczki i Cataliny Vicens, chórów Cen-
trum Myśli Jana Pawła II i VRC wprawią
w stan zmysłowego objawienia najbar-
dziej opornych.

Wybrane wydarzenia XI edycji Festiwalu Nowe Epifanie:

MIEJSCA DOTYKU I SMAKU

Nowością tegorocznych Epifanii będzie cykl spotkań i warsztatów, które poprowadzą wyłącznie kobiety. Pracować będziemy nad tym, co dotyka najgłębiej. Anja Franczak, pierwsza w Polsce profesjonalna towarzyska w żałobie, przedstawi różne aspekty procesu odchodzenia. Barbara Ciemięga natomiast poprowadzi warsztat nad głosem – w końcu to głos kobiety obwieścił światu Zmartwychwstanie.

W wydarzeniach kulinarnych z kolei weźmie udział dwanaście różnych kobiet, które utkają wspólną opowieść o tym, czym jest macierzyństwo i siostrzeństwo. A w postnym menu m.in.: arabska zupa z soczewicy, ziemniak z ogniska, czeczeńskie manty, mazowieckie pierogi oraz kogel-mogel.

■ Szczegóły: noweepifanie.pl

MARIA MAGDALENA.

WYKŁAD O GRZECHU

Analiza istoty grzechu i przemocy. Rzecz o podmiotowości kobiet oraz ukazywaniu kobiecego ciała w historiach biblijnych. Czy można stwierdzić, kto jest w nich wolny od grzechu? Jak opowiadać słowami, gdy jedyne, na co nas stać, to krzyk pełen rozpacz?

Reżyseria: Katarzyna Minkowska

■ Teatr Powszechny, 4 i 5 marca

BOŻA KRÓWKA

Opowieść o młodym księdzu posługującym w wiejskiej parafii, którego poznajemy wyłącznie poprzez ludzi przychodzących do spowiedzi. Seria spotkań w konfesjonale ujawnia samotność, wątpliwości w wierze i nieuporządkowaną przeszłość duchownego. Zarówno ksiądz, jak i jego rozmówcy tworzą społeczność ludzi zagubionych we własnych życiorysach. Tymczasem nad wsią wisi widmo końca świata.

Czy bohaterom uda się prze-trwać spotkanie z ostatecznym?

Reżyseria: Sławomir Narloch

■ Teatr Dramatyczny,
Scena Przodownik,
6, 7 i 8 marca

TAROT DE PARIS

Program koncertu odpowiada układowi talii kart do tarota z 1624 roku zachowanej w Bibliotece Narodowej Francji. Czterech kompozytorów z przełomu XVI-XVII wieku: John Dowland, Nicolas Vallet, Giovanni Girolamo Kapsperger oraz Michelagnolo Galilei (brat Galileusza) stali się inspiracją do koncertu muzyki lutniowej.

Lukas Henning

■ Sala Kolumnowa Wydziału Historycznego UW, 9 marca

PEJZAŻ EMOCJI

Angielskie renesansowe pieśni ze zbiorów dla kobiet ułożone w autorski program przez szkocką śpiewaczkę Carine Tinney i niemieckiego lutnistę Lukasa Henninga. Teksty Johna Dowlanda, Roberta Johnsa, Henry'ego Lawesa oscylują wokół emocji i natury, eksplorując metafory srebrzystej wody i samotnej jaskini.

**Carine Tinney (śpiew),
Lukas Henning (lutnia)**

■ Sala Kolumnowa Wydziału Historycznego UW, 11 marca

MAGDALENA

Początek XVI wieku przynosi krytyczną refleksję nad postacią Marii Magdaleny. Badający Nowy Testament humaniści zaczynają wyraźnie rozgraniczać postacie z Ewangelii, które złożyły się na legendarny wizerunek świętej. W opozycji ustawiają się konserwatyści broniący wielowiekowego kultu. Podczas trwania tej dyskusji powstaje szereg dzieł muzycznych i plastycznych odnoszących się zarówno do tradycyjnej legendy, jak i do nowych ustaleń. Usłyszymy je

tu w wokalnoinstrumentalnym koncercie.

Graindelavoix pod kierownictwem Björna Schmelzera

■ kościół ewangelicko-augsburski, 12 marca

MAGDALENA

– MSZA HISZPAŃSKA

Polifoniczna muzyka dawnej Hiszpanii skomponowana na cześć Marii Magdaleny. Poza mszą Alonsa Lobo muzycy wykonają motety innych kompozytorów złotego wieku, takich jak Francisco Guerrero, Juan Vásquez czy Alonso de Tejada.

Qvinta Essencia

■ parafia ewangelicko-reformowana, 14 marca

ZWIASTOWANIA

Historia zwiastowania służy Karolinie Szczypek do uruchomienia uniwersalnych narracji powtarzających się w życiu każdej ciężarnej kobiety. Autorzy spektaklu zadają pytanie, czy rodzic może dziś nie kochać swojego dziecka i czy dziecko może powiedzieć, że nie czuje miłości od rodzica. Czy w ogóle wyobrażamy sobie takie sytuacje? Czy jesteśmy w stanie o nich głośno mówić?

Reżyseria: Karolina Szczypek

■ Teatr Ochoty,
21, 22 i 23 marca

JEZIORO

Trzy kobiety spotykają się nad jeziorem, by zanurkować głębiej niż dotąd. Jaki wpływ na człowieka mają żywioły? Dlaczego chcemy zdobywać szczyty albo schodzić na głębokość nieznaną wód? W spektaklu istotną rolę odgrywa muzyka, dźwięk głębin. Polifoniczność historii nurkujących składa się na narrację innej jeszcze bohaterki, tajemniczej mistyczki, żyjącej ponad 2 tysiące lat temu, która wyprzedzała czasy i podejmowała radykalne decyzje, krocząc

podobnie anarchistyczną i rewolucyjną drogą, co Jezus.

Reżyseria: Daria Kopiec

■ Teatr Dramatyczny,
Scena Przodownik,
27, 28 i 29 marca

MISSA DE MARIA

A MAGDALA

Monumentalne dzieło Pawła Łukaszewskiego, bazujące na formie cyklu mszalnego, poprzez rozbudowaną obsadę, solistów i chór wprowadza słuchacza w charakterystyczną dla kompozytora przestrzeń muzycznego sacrum, rozpiętego między motywami Bliskiego Wschodu a współczesną harmonią i ekspresją. **Łukaszewski / Krutul / Chór CMJP2** ■ kościół Najświętszego Zbawiciela, 31 marca, wstęp wolny

ORDO VIRTUTUM

HILDEGARDY Z BINGEN

Średniowieczny moralitet z XII wieku przywołuje temat odwiecznej walki dobra ze złem. Powraca w nim refleksja nad harmonią świata i miejscem człowieka w kosmosie. Wpisane w utwór wizję słynnej mistyczki, kompozytorki i uzdrowicielki otwierają przestrzeń ikonograficznych skojarzeń. Dramat zyskuje współczesne brzmienie dzięki interpretacji Anny Marii Jopek.

Opieka reżyserska: Jarosław Kilian

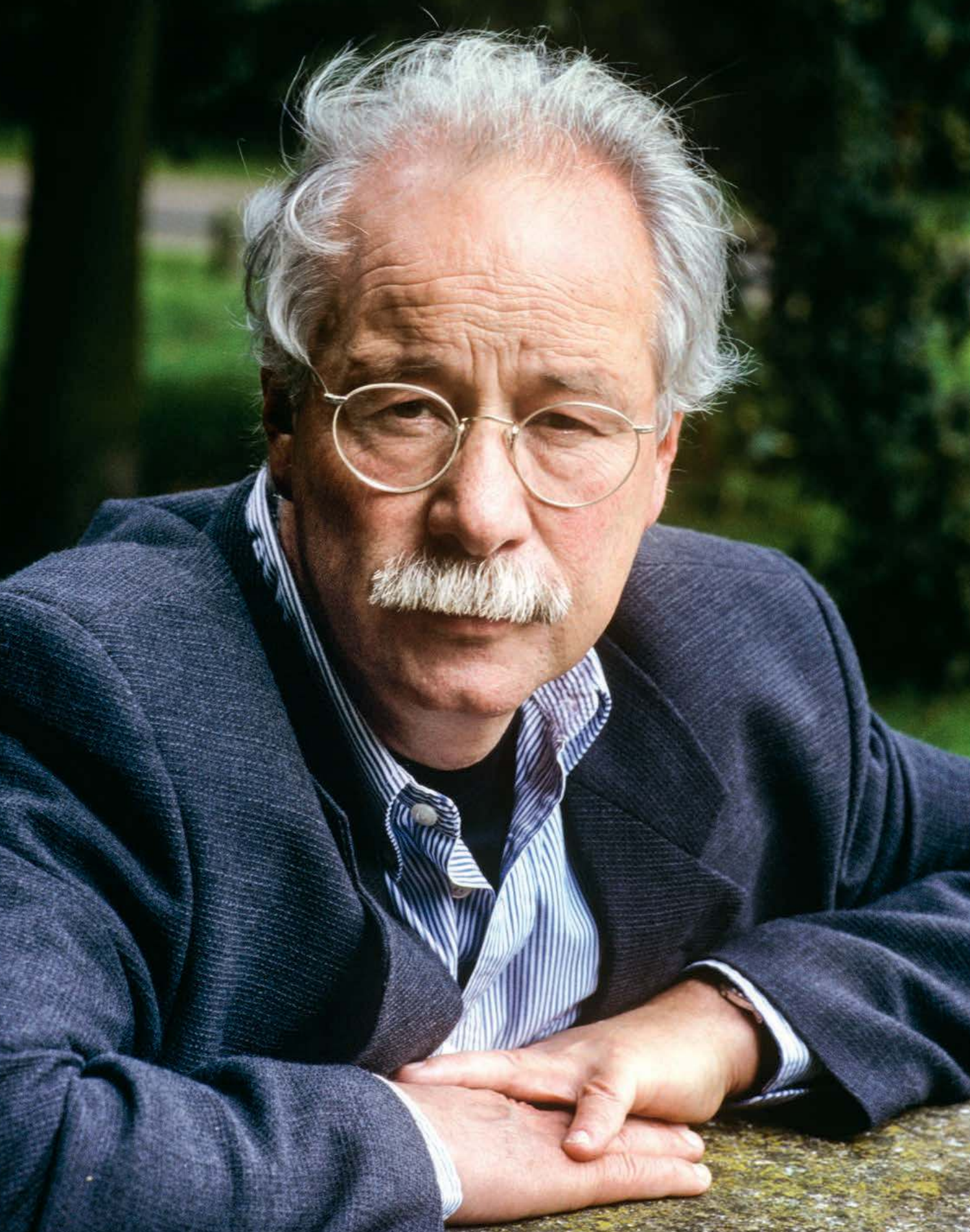
■ Teatr Łalka, 1 kwietnia

Szczegółowy program i festiwalowe aktualności na:

www.noweepifanie.pl

www.facebook.com/noweepifanie

Organizatorem Festiwalu Nowe Epifanie jest Centrum Myśli Jana Pawła II, instytucja kultury m.st. Warszawy.



PODSŁUCHIWANIE KATASTROF

Krajobraz zagrożeń, który przynosi druga dekada naszego stulecia, sprzyja książkom W.G. Sebald. Drażył w przeszłości, wspomnieniach, wywoływał przyszłość.

KAROL FRAN CZAK

ZAWIEDZIE SIĘ KAŻDY, KTO W PROZIE W.G. Sebald będzie szukał ocalenia. Dla tych, którzy z trwogą oczekują kolejnej odsłony kryzysu migracyjnego i globalnej zapaści ekonomicznej, oglądają płonąca Australię, pochod populi-zmów po obu brzegach Atlantyku, albo czują, że ich ojczyzna zmienia się powoli we wrogi kraj, Sebald nie jest łatwym pocieszeniem. W jednym z najbardziej dotkliwych fragmentów „Campo Santo” – zbioru rozproszonych tekstów, wydane-go już po tragicznej śmierci w wypadku samochodowym w 2001 r. – Sebald pyta: „I jaka odległość dzieli punkt, w którym się dziś znajdujemy, od schyłku XVIII wieku, kiedy na naszym filozoficznym niebie wypisana była ozdobnymi literami nadzieja na poprawę, na wyucza-ność rodzaju ludzkiego?”. Czy ślady tej nadziei pryskają z każdym newsem wieczornych wiadomości? Jaką odpowiedź daje nam wielki klasyk z Norwich?

Sen Kasandry

„Katastrofy mają swoją publiczność” – twierdził przewrotnie Sebald, nie można ich więc tak po prostu zignorować, domagają się opisu, a to pozwala przynajmniej przemyśleć scenariusze uporania się ze stratą. Ta przybiera u Sebald różny formy – od zamilknięcia opowieści z żydowskiego getta, przez ruiny bombardowanych w czasie wojny miast, po unicestwienie śledzi z okolic Lowestoft we wschodniej Anglii. Belgijski pisarz pochodzenia austriackiego,

Jean Améry pisał: „Nie chcecie słuchać? Zatem słuchajcie. Nie chcecie wiedzieć, do czego w każdej chwili doprowadzić może znowu mnie i was samych wasza obojętność? Zatem powiem wam”. W trybie przestrogi Sebald mógłby to za nim powtórzyć. Nie przypadkiem Améry jest jednym z bohaterów wydanego właśnie w Polsce „Opisu nieszczęścia” Sebald.

Temat zniszczenia, które osiągnęło stan trwałości, tropił w tekstach, które przez wiele lat czytał ze studentami jako pracownik Uniwersytetu Wschodniej Anglii – w książkach Petera Weissa, Karla Krausa, Thomasa Bernharda, Eliasa Canettiego czy Josepha Rotha. W dwóch ostatnich, co udowadnia lektura „Opisu nieszczęścia”, z fascynacją dostrzega profetów zdolnych przewidzieć najtragiczniejsze wypadki ubiegłego wieku: karierę totalitaryzmów, dramat Shoah, upadek dawnych potęg czy gorycz wygnania milionów uchodźców. Ulubieni autorzy Sebald to też kronikarze doświadczeń śmiertelnego lęku, z którym mierzyć muszą się ofiary Historii. Podobnie jak dla Améry’ego, ta była dla Sebald zrostem apokalipsy i banału. Od Vladimira Nabokova odebrał ważną lekcję, że nie da się przekonująco opisać ludzkiego losu bez szacunku dla okrucieństw indywidualnej pamięci.

Łaska późnego urodzenia

Przychodzi na świat w czasach narodo-wego socjalizmu (rocznik 1944), ale jak wielu w jego generacji późno poznaje

skalę nieprawości pokolenia rodziców. Ojciec powraca z francuskiej niewoli dopiero kilka lat po wojnie i podobnie jak inni weterani w relacjach z rodziną wybiera milczenie. O skali masowych zbrodni armii Hitlera młody Winfried Georg Sebald dowie się dopiero w szkole w Oberstdorfie.

Dorasta w Allgäu, prowincjonalnym regionie Bawarii przy granicy z Austrią. Z czasem przyzna, że nigdy nie zdążył bezpośrednio poznać „prawdziwych Niemiec”. Rodzinne strony Sebald dużo bardziej niż okolice Monachium przypominały krajobraz alpejskiego sąsiada. Kusi upraszczające założenie, że dzięki tej bliskości po wielu latach powie: „Przedstawiciele literatury austriackiej – na pewno albo głównie tej dawniejszej – byli dla mnie o wiele ważniejsi niż pisarze niemieccy”. O „swoich” Austriakach Sebald napisze blisko 30 esejów, których reprezentatywny zestaw dostajemy właśnie w „Opisie nieszczęścia”. Jego wybory nie są wszelako oczywiste, pomija niejednego mocarza i nie znajdziemy tu żadnej kobiety.

Małomiasteczkowa rzeczywistość wy-czuł go na los XX-wiecznych peryferii, na ich „makabryczny taniec śmierci”. Z całą złudnością idylli małej ojczyzny, bólem emigracji i niedowierzaniem tych, którzy myśleli, że „naprawdę są u siebie”. Takiego losu doświadczył sam Améry (właściwie Hans Mayer), którego Historia postawiła przed wyborem między je-dyną znaną ojczyzną a wygnaniem, czyli

→ szansą na zachowanie życia. Po latach Améry napisze, że nawet nie zauważył, jak szybko stał się człowiekiem, „któremu już nie wolno było mówić »my«”.

W latach 60. Sebald z uwagą śledzi ob-rachunkowe dyskusje o schedzie po nazi-zmie, zainicjowane po kilkunastu latach społecznej amnezji. Pozornie to czasy, kiedy w sporze o rząd dusz najważniejsza jest jeszcze literatura, ale już na pierwszy rzut oka widać, że wpływ pisarzy na świadomość polityczną wspólnoty jest niewielki. Do tego Sebald nie może wy-baczyć niemieckim autorom „ostrożnego zarządzania deficytem empirii”. Początkowo wadzi się nie tyle z tymi, którzy w ogóle nie chcą pamiętać, ile z pochleb-cami twórców przecenianych lub czyta-nych wybiórczo. Na studiach analizuje dyskusyjnych klasyków, ale z dystan-sem przyjmuje obowiązujące miary ów-czesnej germanistyki. Drażni go jej opor-tunizm, zachowawczość i nieznośny żar-gon. Otwiera się na nowe prądy, co wtedy oznacza czytanie dzieł Waltera Benja-mina i autorów ze szkoły frankfurckiej.

Sturm und Drang

Z czasem dostanie się od niego „literatu-rze ruin”, autorom, którzy jako pierwsi próbują przełamać niemiecką „niezdol-ność do żałoby” i samokrytycznie spoj-rzeć na skutki milczenia Republiki Fede-ralnej. W swojej krytyce Sebald zarzuca im przesadne skupienie się na „osobi-stych sprawach”, fetysz indywidualnej psychologii oraz zamykanie oczu na obiektywne realia wojennej hekatombi.

W „Campo Santo” (2003) Sebald nie-zbyt życzliwie czyta też „Z dziennika śli-maka” Güntera Grassa, a całej formacji nowych postępowych literatów zarzuca deficyt empatii i niewielką wiedzę o rze-czywistych losach żydowskich sąsiadów. Grassowi wypomina, że w opisie odysei Żydów z Gdańska zaciąga ogromny dług u historiografii izraelskiej. „Dzisiejsza li-teratura nie jest zdolna o własnych siłach dotrzeć do prawdy” – kończy gorzko roz-prawę z noblistą.

Wielu obserwatorów niebanalnej ka-riery Sebald do dziś dziwi osobista kru-cjata, którą na początku lat 90. pisarz pro-wadził przeciw Alfredowi Anderschowi, twórcy drugorzędnemu, który po latach nie obronił się jako ważny głos niemiec-kiej kultury. Polemizując z rzekomo zbyt przychylną biografią Anderscha autorstwa Stephana Reinhardta, w to-

W tekstach artystycznych

Sebald stawia na styl
pasożytnący na autobiografii,
reportażu, pamiętniku czy
tradycji powieści drogi.

nie prokuratorskiej wyższości Sebald de-nuncjował oportunizm pisarza z okresu III Rzeszy, a za wybielanie „dokonań” jej sił zbrojnych i przesadny nacjonalizm piętnował wydawane przez Anderscha i Hansa Wernera Richtera pismo „Der Ruf” (powołane do życia na bazie gazety tworzonej w amerykańskich obozach je-nieckich przez żołnierzy Wehrmachtu).

Temperaturę ówczesnego uporu Se-balda oddaje anty-Anderschowska tyrada, dołączona do tomu wykładów „Wojna powietrzna i literatura”. To zbiór, który dla wielu wielbicieli dorobku pisarza pozostaje niewygodną rysą. Stanowi bo-wiem próbę rozrachunku ze złą mił-czenia wokół opisu tragedii niemieckich miast, spustoszonych pod koniec wojny przez dywanowe naloty aliantów. Po la-tach Sebald wywoła jeszcze jedną kon-sternację, formułując krytyczny głos o Jurku Beckerze, ważnym autorze z Nie-miec wschodnich, który jako dziecko przeszedł przez łódzkie getto i doświad-czył losu więźnia obozów koncentracyj-nych. Problematyczny esej o białych pla-mach we wspomnieniach Beckera, na-pisany specjalnie do okolicznościowej książki ofiarowanej autorowi „Jakuba Łgarza”, redaktorzy jednak odrzuca.

Ucieczka z akademii

Duszna atmosfera niemieckich sporów z lat 60. popchnęła Sebald do decyzji o emigracji na Wyspy Brytyjskie, po stu-diach w Manchesterze w końcu zamiesz-kał w Norwich. To dobrowolne wygna-nie staje się dla „Maksa” (tak nazywają go przyjaciele, imiona Winfried Georg odrzucił jako zbyt obciążone brunatną prze-szłością; zostawił same inicjały) ażylem w podwójnym sensie: zapewnia Sebal-dowi status outsidera, który z zewnątrz recenzuje zmagania niemieckiej litera-tury z przeszłością, a jednocześnie po-zwala pracować nad odzyskaniem języka zdolnego oddać widmowy status indy-widualnej pamięci. Z jej uwikłaniem nie tylko w wpływ czasu, ale też kulturowe refleksy metafory, choroby psychicznej

czy fotografii zmagać się będzie całe życie. „Gdyby nie pamięć, nie byłoby literatury” – powie w jednym z wywiadów.

Własną osobność uzgadnia ze słabością do literackiej figury wyrzutka, samotnika i tułacza intelektualisty. W pracy krytycznej pociąg ten dotyczy nie tylko osobowo-ści w rodzaju Kafki, Rotha czy Canettiego, ale też „literatury poza literaturą”, igno-rowanej zwykle przez szanujących się fi-lologów. Utwory, które albo próbowano zepchnąć na margines „poważnej” twór-czości literackiej, albo zapomniano i od-kryto na nowo.

Najważniejsze przykłady to austriacki poeta Ernst Herbeck i Szwajcar Robert Walser, których skrupulatni akade-micy najchętniej zamknęliby w szufladzie z fiską *outsider art*. Obaj w pew-nym momencie życia doświadczają emocjonalnego kryzysu, którego źró-dła trudno w prosty sposób zrekonstru-ować (wspólna diagnoza schizofrenii jest tu niewystarczającym tropem). Herbeck większość życia spędza w zakładzie dla nerwowo chorych, w którym po kilkunastu latach pobytu tworzy zdumiewające figury językowe. Walser do zakładu trafia jako pisarz z dużym dorobkiem, ale zapo-znany. Na długo. Dla Sebald to nowator-scy artyści, z którymi łączy go duchowe powinowactwo. Poświęca im uwagę w esejach, ale umieszcza też w książkach w ścisłym sensie literackich. Jedną z czte-rech części „Czuje. Zawrót głowy” (1990) to relacja narratora ze wspólnego spaceru z Herbeckiem.

Za kulisami stale towarzyszy mu Lu-dwig Wittgenstein, z całym bagażem swojej patologicznej osobowości – „nie mogę się wprost napatrzeć, jeśli wolno się tak wyrazić, jego zdjęć”, wyznawał. Oczy Wittgensteina zerkają na nas z jed-nej z pierwszych stron powieści „Auster-litz” (2001), kilku bohaterów innych ksią-żek nosi wyraźne cechy filozofa, a aluzje do jego myśli i tematów – jak choćby ba-dania szoku pourazowego – rozproszone są w całym Sebaldowskim uniwersum.

Fascynacja Wittgensteinem łączy pisa-rza z Thomasem Bernhardem (pisarzem, który podobnie jak Sebald ma w Pol-sce status kultowy), do którego tematy-czne i stylistyczne aluzje daje w wielu miejscach. Zdarza się, że naśladuje jego frazę, lubi mowę zależną i zapośredni-czone relacje, które piętrzą opowieść. Łą-czy ich nie tylko myślenie w kategoriach przesady, ale też kulturowy pesymizm.

„Tak jak u Thomasa Bernharda – pisał George M. Hyde – pojawia się poczucie, że wszystko już zostało powiedziane, i że dziedzictwem naszym, tych którzy przyszliliśmy na świat za późno, są jedynie pozostałości, relikty kultury, a to może prowadzić jedynie do rezygnacji”. W „Opisie nieszczęścia” Sebald bada te tropy, poświęcając Bernhardowi tekst skupiony na odczytaniu „Zaburzenia”.

Jego eseje o literaturze to kolejny dowód odejścia od akademickiej ortodoksji. Sebald jest swobodny, raczej docieka, niż oznajmia. Metodycznie poluje na odpowiedź i coraz odważniej kluczy w labiryncie możliwych odczytań. Z lubością popelnia „grzech biografizmu”, miesza życie i dzieło, dowodząc konsekwentnie, że jedno jest świadectwem drugiego. Łuki w archiwum – jak choćby w przypadku wygnańczej tułaczki Jeana-Jacques’a Rousseau – śmiało wypełnia empatią i wyobraźnią. Nigdy nie poprzestaje na tym, co widać na powierzchni, szuka trudno poznawalnej podszewki rzeczywistości. Czytając Petera Handkego, sam ujmował to następująco: „literatura stanowi ostatnie schronienie przeciw ko-

lonizującym tendencjom dyskursu rozumu: królestwo metafizyki”.

Język w podróży

We własnych tekstach artystycznych Sebald stawia na styl pasożytny na autobiografii, reportażu, pamiętniku czy długiej tradycji powieści drogi. Piśmo oryginalną niemiecką, która przez lata emigracji płynie osobną strugą odrwaną od życia literackiego jego rodaków na kontynencie. „Miał poczucie, że język ten trzeba oczyścić z pewnych skojarzeń z przeszłości i odzyskać go jako język twórczości wielkich pisarzy, którymi zajmował się w swoich wcześniejszych pracach” – wspominała Amanda Hopkinson. Słuch Sebald wyczuł się na imitowanie mowy z różnych epok, co do dziś przyprawia o ból głowy tłumaczy na całym świecie. „Sebald wysłał język w podróż: przez czas i przestrzeń, pomiędzy różne okresy historyczne i w odległe kontynenty” – charakteryzował to Carsten Strathausen.

O swoich bohaterach Sebald pisze tak, jakby wszyscy dobrze się znali. Ich żywiołem jest z jednej strony droga, często zna-

czona wahadłowym ruchem wyjazdów i powrotów, a z drugiej błędzenie w melancholijnej niepewności co do statusu własnej przeszłości. Doskonałym tego przykładem jest fragment z „Wyjechali” (2003), w którym narrator – jeden z wielu sobowtórów Sebald – próbuje opisać swojego stryjecznego dziadka: „wuj Adelwarth miał wprawdzie niezawodną pamięć, ale opuściła go zdolność wspomnienia, która by go z tą pamięcią łączyła”. Ogniwem spajającym złożone warstwy czasu są wszechobecne w jego prozie fotografie. Zatrzymują narrację, wciskają się jako dopełnienie zdania, przemieszczają sens głównej opowieści. Chociaż często kłamią, zupełnie serio spajają życie i śmierć. Jednak nawet one nie gwarantują przywrócenia do istnienia znanego kiedyś świata. Patrząc na stare fotografie, widzi się tylko utracony czas i słyszy „ciche westchnienie rozpaczy”.

© KAROL FRANCAK

W.G. Sebald **OPIS NIESZCZĘŚCIA. ESEJE**

O LITERATURZE, przeł. Małgorzata

Łukasiewicz, postłowie Arkadiusz Żychliński, Wydawnictwo Ossolineum, Wrocław 2019.

Zmarli powracają

„CZY PRAWDZIWA WIELKOŚĆ

w literaturze jest jeszcze możliwa? – zastanawiała się w 2000 r. Susan Sontag. – Czy w dzisiejszych czasach, zważywszy na zubożenie literackich ambicji i równoczesny napór tego, co chłodne, pospolite i niedorzecznie okrutne – a co obecnie uchodzi w literaturze za wartość – może dojść do głosu szlachetny zamysł literacki? Jednej z niewielu twierdzących odpowiedzi udziela czytelnikom twórczość W.G. Sebald”. Sebald miał wtedy 56 lat. Dobrowolny wygnaniec, od młodości mieszkał poza Niemcami, a od blisko trzech dekad wykładał na University of East Anglia w Norwich. Prócz prac literaturoznawczych (często polemicznych wobec tradycyjnej germanistyki) wydał

już trzy tomy prozy: „Czuję. Zawrót głowy” (1990), „Wyjechali” (1992) i „Pierścienie Saturna” (1995). Jego talent był w rozkwicie, w następnym roku ukazał się „Austerlitz” – wśród wielbicieli pisarza wciąż trwa spór, czy to najważniejsza jego książka, czy może jednak „Wyjechali”, panuje jednak zgoda co do tego, że obie są arcydziełami. Wkrótce po wydaniu „Austerlitz” jego autor już nie żył – zginął w wypadku samochodowym. Dwa tygodnie przed śmiercią podczas zajęć ze studentami w Norwich, które jakoś się nie kleiły, zaczął im opowiadać o losie austriackiego pisarza Ödöna von Horvátha. Horváth po Anschlussie uciekł przed nazistami do Francji, tam wróżka ostrzegła go, że musi unikać pobytu w Am-

sterdamie, nie wsiadać do wind ani tramwajów i strzec się piorunów. Jak wspomina jeden ze studentów, Luke Williams, „wyciągnięty wygodnie w krzesło Sebald założył obie ręce za głowę i mówił dalej: Horváth wziął przepowiednie wróżki bardzo poważnie, ale pomimo całej ostrożności któregoś dnia na Champs Élysées z drzewa spadła gałąź i zabiła go na miejscu”. Jeszcze za życia Sebald ukała się w Polsce pierwsza jego książka („Czuję. Zawrót głowy” z postłowie Adama Zagajewskiego), przeszła jednak bez echa. Na szczęście Małgorzata Łukasiewicz, która znakomicie przekłada piekielnie trudną, bo zwodniczo przejrzystą prozę autora „Wyjechali”, okazała się osobą nieustępliwą, a Beata Stasińska, wtedy kierująca oficyną W.A.B., zdecydowała się podjąć ry-

zyko – i dzięki nim mamy polskiego Sebald. Strażnika pamięci o historii jako sumie ludzkich nieszczęść i splocie jednostkowych losów, mistrza melancholii, wskrzesiciela zmarłych. Twórcę opowieści działających słowem i obrazem, hipnotycznych i przywracających nam zdolność do zachwytu. „Sebald jest wielkim pisarzem – notowała w dzienniku 90-letnia wtedy Julia Hartwig. – Umie wypowiedzieć niewypowiedziane i na próżno siłę się, by to opisać. Ale zdobył mnie i coś we mnie odmienił, coś, z czym nie chciałam się rozstać”.

© TF

Wypowiedź Susan Sontag w tłumaczeniu Emilii Olechnowicz za „Zeszytami Literackimi” (nr 118); o notatkach Luke’a Williamsa pisze Magda Heydel („Sebald w Anglii”, „Dwutygodnik” nr 79/2012).

Przez dotyk

IRYNA WIKYRCZAK, POETKA I ASYSTENTKA OLGII TOKARCZUK:

Gdziekolwiek jestem, tęsknię za kanionem Dniestru. Meandry, uskoki, pęknięcia, groty. Historia świata w przekroju.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Jest jakieś słowo w języku polskim, które szczególnie Ci się podoba?

IRYNA WIKYRCZAK: Pieszczoty.

Nadaje się do wymówienia?

Teraz już tak. Polskiego zaczęłam uczyć się w 2014 r., później znajomość pogłębiałam na stypendium w Krakowie. Z okien wydziału filologicznego patrzyłam na Wawel. Jeśli z mówieniem nie mam już większych problemów, to polska pisownia jest dla mnie przerażająca. „Rz” i „ż” – żaby i rzeki, „h” i „ch” – herbata i chmura, „u” i „ó” – kury i ósemki...

Urodziłam się i wychowywałam w Zaleszczykach, które z trzech stron okala Dniestr. W domu mówiło się po ukraińsku, w telewizji słuchało się rosyjskiego. Moja babcia od strony mamy, która nie żyje od sześciu lat, a była bardzo ważnym dla mnie człowiekiem, używała polskich słów – w dialekcie zachodnioukraińskim są wpływy polszczyzny. Dotarło to do mnie, gdy zaczęłam uczyć się polskiego. Babcia mówiła „zupa”, a nie „sup”, albo „brytfanka”, a nie „skoworidka”.

Opowiedz więcej o babci.

Nazywała się Maria Dmytriwna. Miała niebieskie oczy, wysokie czoło, prawie nie używała kosmetyków, bo i bez makijażu dobrze wyglądała. Pracowała jako pielęgniarka w sanatorium w Zaleszczykach, ale też w przychodni lekarskiej oraz laboratorium. Co niedzielę chodziła do cerkwi, zabierała mnie ze sobą.

Na emeryturze była też wolontariuszką na budowie nowej cerkwi, pracowała w kuchni.

Zawsze miała ciepłe dłonie. Uczyla mnie podstawowych rzeczy, które przydają się na co dzień w życiu – gdy smażyć naleśniki, widzieć babcię, która pokazuje mi, jak najlepiej rozbić jajka, jak zamieszać je z mąką i mlekiem, jak nożem przewrócić na drugą stronę. Sama wychowała dwójkę dzieci, było jej ciężko. A mimo, że

została źle potraktowana przez dziadka, nie straciła zaufania do ludzi. Nie była sfrustrowana, przeciwnie: radosna i serdeczna, do końca zachowała w sobie zachwyt światem. W centrum Zaleszczyk miała dom z ogrodem. Raj. Winogrona, róże, lilie, grusze, jabłonie... I zwierzęta. Kury, kaczki, króliki, psy, koty... Każde zaopiekowane i wypieszczone.

A Twoi rodzice?

Są nauczycielami. Mama – fizyk, tata – biolog. Tata teraz jest naukowcem, bada florę i faunę kanionu Dniestru. W mojej rodzinie wszyscy zawodowo zajmują się naukami ścisłymi. Tylko ja podążam humanistyczną ścieżką.

I jako dwunastolatka napisałaś swój pierwszy wiersz.

A gdy miałam 16 lat, wygrałam konkurs i w nagrodę został wydany mój tomik „Rozmowa z aniołem”. Dziwi mnie jednak to, że teraz głównie mówi się o mnie jako o poetce. Jestem menedżerką kultury, to mój zawód. Gdyby mnie ktoś zapytał, czy jestem poetką, odpowiedziałabym, że tylko w takim sensie, w jakim dotyczy to każdego człowieka.

Czyli?

Czyli każdy może być poetą, kiedy przeżywa emocje – kiedy cierpi, kiedy go coś boli, kiedy płacze, kiedy kocha. Do mnie tylko wtedy przychodzi wiersze.

Iryna, na litość boską! Grafomani też kochają, cierpią i płaczą. I niestety piszą też wiersze.

W każdym razie ja nie zbieram specjalnie swoich wierszy, nie układam ich w książki, nie pokazuję redaktorom, nie wysyłam do wydawnictw. Słowem, nie zajmuję się tym tak, jakbym to robiła, gdybym była zawodową poetką. Satysfakcjonuje mnie moment, kiedy udaje mi się myśl ująć w lapidarną formę. Wystarczy.



Polscy pisarze?

Przed sylwestrem byłam w domu rodziców w Zaleszczykach, gdzie jest cała moja biblioteka. W związku z remontem musiałam zrobić w niej porządek. Znalazłam sporo książek, które przywiozłam z Polski. Olgii Tokarczuk, z którą teraz pracuję, „Prowadź swój pług”. To była pierwsza jej książka, którą przeczytałam jeszcze po ukraińsku. Potem czytałam po polsku jej opowiadania, bo są krótsze. Gdy pięć lat temu kupiłam „Księgi Jakubowe”, to nie dałam rady, za słabo znałam polszczyznę. Dopiero teraz mam językową zdolność, by przeczytać wszystkie książki Olgii, i cieszę się, że większość z nich jest jeszcze przede mną.

Jakie zachowałaś wspomnienia z pierwszego przyjazdu do Polski?

Jest rok 2000, mam 12 lat, w Zaleszczykach należę do zespołu, w którym tańczymy ludowe tańce ukraińskie. Jechaliśmy w trasę po Polsce; to dla mnie



GRAŻYNA MAKARA

Iryna Wikyrczak, Wrocław, luty 2020 r.

w ogóle pierwszy wyjazd zagraniczny. Zaczynamy od północy, od Gdańska. Idę przez ulicę Długą, na której odbywa się jakieś święto, mnóstwo straganów i ludzi, a ja mam poczucie, że znalazłam się w bajce. Uderzają mnie kolory, bogactwo, wystawność. A nie powiedziałabym, że miejsce, skąd pochodzę, jest szare czy depresyjne. Na Ukrainie Zachodniej jest przepiękna przyroda.

A! Wtedy jeszcze byłam zdumiona tym, że wszędzie, na polskich wsiach i w małych miasteczkach, domy i podwórka były udekorowane kwiatami. Ogromną ilością petunii.

Na Ukrainie całe lata 90. były do prze-trwania szalenie trudne. Nikt nie zajmował się dekorowaniem kwiatami balkonów. Dzień w dzień trzeba było walczyć o podstawy: by mieć co zjeść, w co się ubrać i zdobyć buty, w których można pójść do szkoły. Podziwiam pokolenie moich rodziców, ludzi urodzonych w latach 60., którzy godnie przeżyli tę epokę.

Kawał świata już widziałeś. Jako szesnastolatka wyjechałaś na stypendium do Stanów, potem mieszkałaś w Wiedniu, Berlinie. Całe Twoje życie toczy się na walizkach.

A gdziekolwiek jestem, tęsknię za kanionem Dniestru. Olga w mowie noblowskiej mówiła o tym, że krajobraz kształtuje wewnętrzną strukturę człowieka. A ja wyraźnie czuję, jak ważny jest dla mnie ten kanion: meandry, uskoki, pęknięcia, grotty, jaskinie i wodospady. Raz biegnący brzegiem wysokim i stromym, raz niskim i łagodnym. Kanion Dniestru był dnem prehistorycznego Morza Sarmackiego, 500 milionów lat temu będącego częścią oceanu Tajtis. Schodząc z jego brzegu w dół rzeki, zanurzasz się w głąb czasu. Widzisz pokłady przeszłości wymieszane z tu i teraz. Dniestr daje mi siłę do życia.

Skąd jeszcze ją czerpiesz?

Z dotyku – w zeszły weekend byłam w Nowej Rudzie, szliśmy na spacer przez

wzgórza. Cały czas chciałam dotykać kory drzew – znajomi się trochę ze mnie nabijali. Dla mnie dotyk jest takim samym źródłem postrzegania świata jak wzrok i słuch. Nie ma nic przyjemniejszego od dotykania ściany kilkusetletniego domu w południowym kraju. Ciepłego piasku na plaży. Delikatnych skrzydełek żuka. Kamienia na brzegu rzeki. Powierzchni wody jeziora. Piórka znalezione na chodniku. Eleganckich linii rzeźby. Kaszmirowego swetra. Okładek książek w bibliotece. Choć nie, książki najpierw się wacha.

A siła od kobiet?

Czerpię, i to bardzo. Mówiłam już o babci. W ogóle wierzę w kobiecą wspólnotę, w solidarność. Doceniam kobiety, które mnie wspierają i wspierały, z którymi czuję się bezpiecznie, z którymi mogę swobodnie rozmawiać bez obawy, że zostanę oceniona. W relacjach z kobietami pielęgnuję wzajemność, proporcje w dawaniu i braniu.

Kogo widzisz, patrząc na swoje rówieśniczki z Ukrainy?

Pierwsze pokolenie, które nie żyje w Związku Radzieckim. Które wzięło na siebie odpowiedzialność, a wraz z nią ciężar przepracowania skutku tego, że trzy poprzednie pokolenia spędziły życie w wartościach oraz sytuacji stworzonej przez komunistyczny reżim. To pokolenie, które otwarcie rozmawia o postradzieckich traumach – nasi rodzice i dziadkowie na ten temat milczeli. I jeszcze lęk przed samodzielnością, że nic się nie uda – kolejna postradziecka trauma. Dziewczyny muszą jak najszybciej wyjść za mąż i narodzić dzieci – to ma być dla nich jedyna szansa. Takie są skutki wychowania przez ludzi, którzy mieli doświadczenie tylko jednej, radzieckiej rzeczywistości.

Ale za mojego życia otworzyły się granice i kobiety zmieniły świadomość. Tata spełniał się jako podróżnik wyłącznie na terenie Azji, ja mogę już być na każdym kontynencie. A dzisiaj? Moja znajoma z Finlandii jechała autobusem z Polski na Ukrainę i przestraszyła się, kiedy na granicy ludzie z bronią zaczęli pasażerom odbierać paszporty. Była przekonana, że to początek wojny, bo w swoim życiu nie widziała takiej granicy.

A jak patrzysz na Twoje rówieśniczki z Polski, to kogo widzisz?



→ Kobiety śmielsze niż Ukrainki. I materialnie bardziej niezależne – w Polsce pod tym względem jest więcej możliwości. Na Ukrainie kobiety cały czas martwią się przyszłością, w Polsce są spokojniejsze.

W Twoim życiu jaki jest teraz czas?

Im jestem starsza, tym czuję się lepiej. W postradzieckim społeczeństwie funkcjonuje jeszcze jeden mit: dzieciństwo i młodość to najlepsza pora życia – sama zabawa i bez troska. A mnie, jak byłam dziewczyną, było trudniej niż teraz. Robiłam jednocześnie dwa fakultety – lingwistykę i turystykę – do tego pracowałam: uczyłam w studium języków obcych. Dużo się działo, za dużo. Wręcz zazdrości ci tego, że jesteś ode mnie starsza, że znasz znacznie więcej ludzi, masz swoje miejsce na świecie i spełniasz się zawodowo.

A mimo to bardzo często słyszę od mężczyzn reprimendy, jak powinnam pisać, co myśleć i jak mówić. To, że kobieta jest starsza i bardziej doświadczona, wcale jej nie chroni przed protekcyjnym poklepywaniem po plecach.

O tym, co mówisz, pisała też Rebecca Solnit w pierwszym rozdziale „Mężczyźni objaśniają mi świat”. Pamiętasz? Prawda, że to świetne?

Ale to też coś więcej. Istnieje kategoria ludzi, którzy mają ogromną potrzebę, by we wszystkim dominować. Czy to kobieta, czy to mężczyzna, musi pokazać, że jest mądrzejszy, starszy, „a ty sobie jeszcze pożyczysz dziecinco i zobaczysz, jak naprawdę świat wygląda”. Od małego nam mówią, że jak będziesz miał tyle a tyle lat, to będziesz dopiero wiedział.

Gdy myślisz o sobie za pięć lat, to kogo widzisz?

Spokojniejszą i szczęśliwszą siebie. Skoro czas działa na korzyść, to powinnam z latami czuć się coraz lepiej.

A Twoje ulubione ukraińskie słowo?

Mrija. Marzenie.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

IRYNA WIKYRCZAK (ur. 1988) jest poetką i menedżerką kultury. Założycielka Intermezzo Short Story Festival w Winnicy (2015). Była dyrektorką międzynarodowego festiwalu poezji Meridian Czernowit w Czerniowcach (2010-13) oraz dyrektorką Creative Europe Desk Ukraina (2016-17). Kuratorka ukraińskiej części Festiwalu Read My World w Amsterdamie (2016). Od listopada 2019 r. jest asystentką Olgi Tokarczuk, laureatki Literackiej Nagrody Nobla. Pracuje we Wrocławskim Domu Literatury.

Końska dawka

ANNA PIEKUTOWSKA

Śmiech jest środkiem, który ma na chwilę rozbroić widownię, odstąpić jej czułe punkty. Wtedy cierpienie uderzy znów, ze zdwojoną mocą.

NIE WIERZĘ W SIĘGANIE DNA. Niby wiele razy go sięgałem, ale zawsze znajdowało się kolejne, jeszcze twardsze – mówi BoJack Horseman, pogrążony w depresji i uzależnieniach aktor, tytułowy bohater animowanego serialu dla dorosłych. Ostatni, szósty sezon pojawił się właśnie na Netflixie.

„BoJack Horseman” zachwycił i widzów, i recenzentów. „Vanity Fair” uznało go za najlepszy serial dekady, a na podobnych listach umieścili go zgodnie dziennikarze „New York Timesa”, „Rolling Stone’a” czy „Timesa”. Wielokrotnie nazywano go jednym z najlepszych seriali animowanych w historii telewizji, stawiając w jednym szeregu z „Simpsonami” czy „Family Guyem”. Jest jednak poważna różnica. Serial o aktorze z depresją nie resetuje się z odcinka na odcinek, ma fabułę i złożone postaci. W serialu osobowość bohaterów ewoluuje, wątki się zazębiają i trwają po kilkanaście odcinków.

Na skraju załamania

„BoJack Horseman” to serial zabawny, a jednocześnie przerażająco smutny. Z jednej strony rzetelnie przedstawia temat depresji, a z drugiej co krok wbija szpilę show-biznesowi. Serial komentuje bieżące światowe wydarzenia, a jednocześnie piętnuje błędy, które każdy z nas popełnia na co dzień. Komediowe, sięgające absurdu wątki mieszają się z głębszym przesłaniem, wzruszenie – z rozbawieniem.

Tytułowy bohater serialu to przebrzmiała gwiazda popularnego w latach 90. sitcomu. „Rozbrykani” byli klasyczną komedią w stylu „Pełnej chaty” i „Bill Cosby Show”, która miała sprawić, że widz nie tylko się

roześmieje, ale przede wszystkim poczuje lepiej. W takim serialu bohaterowie znajdują oparcie w najbliższych, a wszystkie problemy rozwiązuje się w obrębie jednego odcinka, bez poruszania kontrowersyjnych tematów. Ale życie BoJacka kilkanaście lat po skasowaniu „Rozbrykanych” nie przypomina sitcomu. Depresja, alkoholizm, niespełnione ambicje, patologiczny egoizm i strach przed bliskością nie zostawiają mu dużo miejsca na szczęście. BoJack miota się między uzależnieniami i licznymi kryzysami.

Akcja rozgrywa się w Hollywood – świecie przypominającym prawdziwe Los Angeles, ale w którym na tych samych warunkach żyją ludzie i zantropomorfizowane, gadające zwierzęta. Główny bohater jest koniem, mieszka w wielkiej willi, którą kupił za pieniądze z roli w „Rozbrykanych”. Towarzyszy mu tam Todd – bezdomny hipster bez pomysłu na życie, a jednocześnie najserdeczniejsza osoba na świecie. BoJack nawet nie zauważa, co daje mu stała obecność Todda – dzięki niemu czuje się choć trochę mniej samotny.

Telefon milczy, fani na ulicy nie proszą o autografy, a BoJack nie może tego ścierpieć. Jego agentka, różowa perska kotka Princess Carolyn dwoi się i troi, ale nikt nie potrzebuje w show-biznesie podstarzałego konia. Co w takiej sytuacji robią celebryci? Oczywiście piszą książkę! Ghostwriterką historii życia BoJacka Horsemana zostaje melancholijna Diane, niespełniona pisarka, która staje się jego powiernicą i najbliższą przyjaciółką. Wydaje się, że dzięki pomocy Diane BoJack wychodzi na prostą – trochę mniej pije, książka odnosi sukces. Dostaje wymarzoną rolę w filmie o Sekretaria-



BoJack Horseman, pogrążony w depresji i uzależnieniach aktor – tytułowy bohater animowanego serialu Netfliksa dla dorosłych

cie, słynnym koniu wyścigowym. Ma nawet szansę na Oscara, ale nie wytrzymuje presji i spowodował na siebie katastrofę po katastrofie.

Upija niepełnoletnią dziewczynę, z którą poszedł na bal maturalny, i próbuje ją uwieść. Nękają go wspomnienia szczęśliwego dzieciństwa i niemożliwych do spełnienia oczekiwań matki. Dreczy się tym, że Sarah Lynn, serialowa córka z „Rozbrykanych”, zmarła z jego winy. BoJack poszukuje czegoś, co sprawi, że poczuje, że żyje, co zapełni jego wewnętrzną pustkę. Nie znajdując tego ani w alkoholu, ani w seksie, ani w antydepresantach, niszczy siebie i innych. Coraz trudniej odróżnić mu serial detektywistyczny, w którym gra główną rolę, od rzeczywistości. Na skraju załamania nerwowego atakuje swoją partnerkę z planu. Pogłębia się jego uzależnienie od alkoholu i leków.

Na dno i z powrotem

Z błażej historii o samolubnej i przebrzmiałej gwiazdce, która chce wrócić na świecznik, serial niepostrzeżenie staje się opowieścią o tym, jak ogromne spustoszenie niszczy depresja. Jak wpływa na samoocenę. Jak atakuje czułe punkty. Jak uparcie powraca. Jak sprawia, że chory czuje

się najsamotniejszym człowiekiem na świecie, a wreszcie – jak staje się najsamotniejszy, gdy wszystkich wokół niszczy i odpycha.

Trudno w to uwierzyć, ale animowany serial, którego bohaterami są zwierzęta, to jeden z najbardziej realistycznych portretów choroby psychicznej w popkulturze. Kiedyś depresję na ekranie przeżywał gangster Tony Soprano w jednym z pierwszych serialowych hitów stacji HBO. Problemy psychiczne miał też Don Draper z serialu „Mad Men”. BoJack jest z jednej strony ich spadkobiercą, z drugiej – przenosi opowieść o cierpieniu, uzależnieniu, depresji i autodestrukcji na wyższy poziom.

Cierpienia BoJacka nie kończą się na samotnych wieczorach nad szklanką whisky. Są za to powracające ataki paniki, przerażające brutalne ciągi alkoholowe i zohydowanie bliskim samego siebie. „BoJack Horseman” opowiada też o odwyku, wychodzeniu z uzależnienia i naprawianiu błędów. O potrzebie relacji nienaznaczonych błędami z przeszłości, jak ta z Hollyhock, odnalezioną po latach przyrodnią siostrą, która nie zdaje sobie sprawy ze wszystkich upadków konia.

BoJack w ostatnim sezonie, już czysty, zamknięty na pół roku w ośrodku odwy-

kowym, boi się wyjść na zewnątrz, bo wie, że dopadną go konsekwencje jego wszystkich czynów. Będzie musiał stanąć twarzą w twarz z tymi, których zranił. Pozostanie w trzeźwości oraz budowanie zdrowych relacji będzie dla niego wyzwaniem. Czy da radę? Wytrawnemu widzowi, przyzwyczajonemu do jazdy z koniem na dno i z powrotem, trudno będzie w to uwierzyć. Wszak od początku w serialu powraca motyw tonięcia, który nie tylko jest metaforą obezwładniających problemów, ale i zwiastunem samobójstwa.

Kibicujemy jednak BoJackowi, bo wzbudza współczucie, a nawet sympatię. Nie jest tylko łajdakiem. Jest też ludzki – chce być lepszy, nienawidzi swojej mrocznej strony i przebywa drogę pozwalającą odkryć, skąd wziął się w nim mrok. Poza tym, jak przystało na bohatera komedii, ma dar do wpłytywania się w absurdalne historie i wychodzenia z nich prawie obronną ręką. Potrafi sypać ripostami. Jest uczulony na głupotę i nieco cyniczny. To wszystko czyni z niego zarówno bohatera komediowego, jak i dramatycznego.

Śmiech i łzy

W „BoJacku Horseman” śmiech jest środkiem, który ma na chwilę rozbroić →

→ widzownie, odsłonić jej czułe punkty, by cierpienie ukryte pod powierzchnią uderzyło ze zdwojoną mocą. To typowy *sadcom*, czyli komedia poruszająca poważne tematy: problemy psychiczne, nałogi i życiowe porażki. Na uwagę zasługują dwie stosunkowo świeże produkcje, które podobnie jak „Bojack Horseman” są smutnymi komediami. Wszystkie znaczące nagrody (Emmy, Złote Globy) dla najlepszego serialu komediowego za 2019 r. zdobyła Phoebe Waller-Bridge, autorka i główna postać „Fleabag”, komedii o kobiecie uzależnionej od seksu, przeżywającej żal po śmierci matki i przyjaciółki. Głośno było też o „Afterlife” brytyjskiego komika Ricka Gervaisa, opowiadającym historię mężczyzny, który po stracie żony nieustannie rozważa samobójstwo. W żadnym z tych seriali nie ma śmiechu z offu i slapstickowych żartów, a jednak bawią, jednocześnie kłując w czułe miejsca. Koniec końców dodają otuchy – ich bohaterowie dostają drugą szansę, zamykają bolesne rozdziały lub postanawiają zmienić swoje życie.

Sadcom to gatunek z jednej strony bliski prawdziwemu życiu – wszak każdy boryka się z problemami – a jednocześnie podnoszący na duchu, przynoszący oczyszczenie. Po sukcesach „BoJack Horsemana”, „Fleabag” czy „Afterlife” można przewidywać, że *sadcomy* będą przełamywały kolejne tabu, opowiadały o coraz większych błędach i coraz bardziej bolesnych rozczarowaniach. I że będą coraz bardziej popularne. Bo na to, że ludzkość nagle wyzdrowieje z bycia okropną, chorowania na samotność i narkotyki – raczej nie ma nadziei.

© ANNA PIEKUTOWSKA



Wojna bez wygranych

ANITA PIOTROWSKA

W swojej wariacji wokół „Nędzników” Ladj Ly pokazuje, jak jeden upalny dzień na francuskich przedmieściach puścił z dymem cały tamtejszy koncept wielokulturowości.

TEGO ROKU, PO RAZ PIERWSZY W HISTORII Oscara, Francję reprezentował film czarnoskórego reżysera. Jego rodzice pochodzą z Mali, nazywa się Ladj Ly i wychował się w podparyskim Montfermeil, gdzie zresztą mieszka do dziś. Tu właśnie Victor Hugo osadził część akcji „Nędzników”, tu znajduje się szkoła podstawowa jego imienia, a lwia część jej uczniów stanowią dzieciaki pochodzenia afrykańskiego i wyznania muzułmańskiego. Na pytanie, co łączy Gavroche’a, Kozetę czy Valjeana z bohaterami jego filmu, Ly odpowiada: wszystko i nic. W swojej wariacji wokół „Les Misérables” pokazuje, jak jeden upalny dzień na francuskich przedmieściach puścił z dymem cały tamtejszy koncept wielokulturowości. Historia ta stanowi również ciekawy przypadek filmowy: osobiste i zbiorowe doświadczenia związane z życiem w getcie zostały przekute na gęste, energetyczne kino, tykające od pierwszych scen niczym bomba zegarowa. Opowiada o współczesnej wojnie, która nie bierze jeńców – bo nie będzie w niej wygranych.

Jeden z bohaterów filmu, chłopiec o imieniu Buzz, przy pomocy kamery

z drona obsesyjnie podgląda mieszkańców, szczególnie zaś mieszkanki osiedla. Gra go syn reżysera, Al-Hassan Ly, co uznać można za gest autotematyczny oraz deklarację przynależności. Oczyma znającego wszystko i wszystkich insidera patrzymy z dachu wieżowca na jeszcze jedno ponure blokowisko, gdzie skoszarowano niewygodny „element”. Z bliska rzeczywistość przedstawia się o wiele gorzej. Tę perspektywę, często skrzywioną uprzedzeniami i lękiem, oddaje Ly patrolującym okolicę policjantom. Wśród nich jest Ruiz (Damien Bonnard), który zalicza właśnie pierwszy dzień na służbie w niebezpiecznej okolicy. Trzyosobową jednostką specjalną – w cywilu, lecz w kamizelkach kuloodpornych – dowodzi brutalny Chris (Alexis Manenti), przezywany „Różową Świnia”, a towarzyszy im czarnoskóry Gwada (Djebril Zonga). Skład to zaiste symboliczny. We współczesnych „Nędznikach” spotykają się bowiem różne spojrzenia: przerażone i nienawistne, z bliska i z oddali, od środka i z zewnątrz. Nawet jeśli nie są wystarczająco pogłębione, to na pewno krzyżują się i komplikują. Przynajmniej od momentu,

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
głoszą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0

FM Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój

– 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów

– 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM |

www.radiokrakow.pl



MATERIAŁ PRASOWY

Kadr z filmu „Nędznicy”

gdy bawiący się dronem mały Buzz przez przypadek sfilmuje postrzelenie swego kolegi przez nadgorliwych stróżów prawa.

Patrzący na swoją „dzielninę” okiem krytycznego dokumentalisty, Ly stara się możliwie uatrakcyjnić filmowy materiał, na modłę kina akcji i zarazem greckiej tragedii. Oto absurdalny incydent, dziecięcy psikus, jakim jest kradzież lwiatka z wędrownego cyrku, uruchamia kaskadę zdarzeń, które odsłaniają funkcjonowanie imigranckiej enklawy. Kompleks mieszkań socjalnych zwany Les Bosquets to betonowa pustynia, rządzona przez Bractwo Muzułmańskie i zorganizowaną przestępczość. Między nimi i patrolującą teren policją istnieje rodzaj nieformalnego układu, który zapewnia chwiejny porządek. Niewiele jednak potrzeba, by zaniedbane, pozbawione perspektyw, odizolowane od reszty francuskiego społeczeństwa osiedle stało się rewolucyjną barykadą.

Reżyser ciągle ma w pamięci tutejsze lato 2005 roku, jak i niedawny bunt „żółtych kamizelek”. W mikroskali, w przebraniu fikcyjnej historii, odtwarza narastający gniew – jego paliwem, czy raczej oliwą dołaną do ognia, staje się w „Nędznikach” działalność „złych policjantów”. Dodajmy: jedynych przedstawicieli francuskiego państwa widocznych w tym miejscu. Prawdziwy chrzest bojowy idealisty Ruiza odbywa się w scenie, gdy jego przełożony zaczyna poniżać mieszkańców wyklętego blokowiska. I nie trzeba dodawać, że upokarzanie, rasizm i przemoc to podstawowe składniki przygotowywanych gdzieś w ukryciu koktajli Mołotowa. Spirala nakręca się

z dwóch stron. Lecz kiedy twórcy przywołują w finale dosłowny cytat z Victora Hugo, oskarżający „złych ogrodników”, zapewne mają na myśli nie tylko funkcjonariuszy policji.

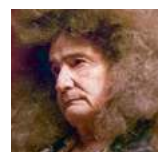
W ciekawy sposób obraca Ly pojęciem solidarności – zawodowej, środowiskowej, etnicznej. Karta pamięci z nagraniem policyjnych nadużyć zamienia się w istną kartę przetargową. Wchodząc w jej posiadanie można zniszczyć niezłomny dowód swojej winy, można zdobyć haka na skorumpowany aparat władzy, by chronić własne interesy, ale można też, jak wspomniany Ruiz, ponad koleżeńską lojalność przedłożyć sprawiedliwość. Pierwsze minuty filmu przywołują radosny korowód świętujący na Polach Elizejskich zwycięstwo Francji w mundialu. Marsylianek śpiewają wszyscy, również obecni tam „nędznicy” z Montfermeil. Czy spełnia się właśnie utopia harmonijnej wielokulturowości, czy po prostu kibicuje się swoim? Wszak w 2018 roku większość we francuskiej reprezentacji stanowili piłkarze pochodzenia afrykańskiego. W filmie pojawiają się pytania jeszcze trudniejsze – na przykład o to, co czuje podczas pacyfikacji sprawiającego problemy osiedla młody czarnoskóry policjant.

Reżyser, który ma za sobą kryminalną przeszłość, wie aż za dobrze, gdzie tkwi największy błąd systemu. Jego „Nędznicy”, czyli thriller policyjny nakręcony w prawdziwych dekoracjach, z aktywnym udziałem mieszkańców getta, nie przypadkiem, choć czasem zbyt nachalnie, igrza z dwiema motywami. Dwóch nieletnich rozrabiaków: Buzz, filmujący z ukrycia rozebrane dziewczyny, i Issa, który ukradł Romom dzikiego zwierzęcia, by pochwalić się nim na Instagramie, to przecież niewinne lwiatka, którym już za chwilę wyrosną kły i pazury. Dopóki jedyną alternatywą będzie dla nich „Koran i kałach”, miejsca w rodzaju Les Bosquets w Montfermeil pozostaną jaskinią lwa. A takie biografie, jak filmowego debutanta Ladj Ly czy Kyliana Mbappé, słynnego francuskiego piłkarza o kameruńskich korzeniach, ciągle będą stanowiły listek figowy.

NĘDZNICY (*Les Misérables*) – reż. Ladj Ly. Prod. Francja 2019. Dystryb. M2 Films. W kinach od 28 lutego.

WARTO ZOBACZYĆ W TV [29 II – 6 III]

1. Śmierć Ludwika XIV



Dramat, reż. Albert Serra, Francja/Hiszpania/Portugalia 2016, TVP Kultura, 4 III, 20.30

Na tle historycznych dekoracji twórcza „Liberté” uprawia slow cinema w najczystszej postaci. Nowofalowy aktor Jean-Pierre Léaud wciela się w postać Króla Słońce, któremu ostatnie chwile życia odbierają wszelki splendor. Na podstawie autentycznych raportów medycznych, w obrazach przypominających XVII-wieczne malarstwo, film odtwarza powolne obumieranie królewskiego ciała.

2. Kto zabił Malcolma X?



Miniseriał dokumentalny, reż. Rachel Dretzin, Phil Bertelsen, USA 2020, Netflix

Tytułowe pytanie zmusza do szczegółowej rewizji okoliczności, w jakich 55 lat temu zginął od kul afroamerykański aktywista. Twórcy dokumentu podążają za Abdurem Rahmanem, historykiem z Waszyngtonu, którego śledztwo, podobnie jak i sam film, może dzisiaj pomóc w oczyszczeniu niesłusznie skazanych.

3. Forman vs. Forman



Dokumentalny, reż. Helena Tréštková, Jakub Hejna, Czechy/Francja 2019, nc+ go

Z fragmentów znanych filmów oraz z oficjalnych i prywatnych nagrań archiwalnych wyłania się portret zmarłego przed dwoma laty twórcy „Amadeusza”. W jaki sposób dzieciństwo naznaczone Holokaustem, wieloletnia tułaczka i doświadczenie komunizmu wpłynęły na twórczość Formana? Fragmenty jego autobiografii czyta za kadrem syn Petr.

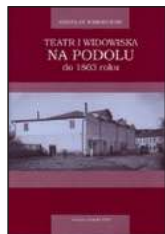
4. Parasite



Tragikomedia, reż. Bong Joon-ho, Korea 2019, Player, Cineman, vod.pl

Na ekranach kin i w internecie trwa wielki powrót zwycięzcy tegorocznych Oscarów. Przy tej okazji warto spojrzeć na koreańskiego „Pasożyta” nie tyle pod kątem jego diagnozy współczesności, co masowego odbioru. Satyryczna fantazja o „nieoczekiwanej zmianie miejsc” najwyraźniej trafia w społeczne nastroje, również za oceanem.

Lektor: Kim była Lady Makbet?



■ Jarosław Komorowski
**TEATR I WIDOWISKA NA PODOLU
 DO 1863 ROKU**
*Instytut Sztuki Polskiej Akademii Nauk,
 Warszawa 2019, ss. 276*

„...ZAKOŁYSAŁY SIĘ BASTIONY,
 huk straszliwy targnął
 powietrzem: blanki, wieże,
 ściany, konie, działa,
 żywi i umarli, masy ziemi
 – wszystko to, porwane
 w górę płomieniem,
 pomieszczone, zbite jakby
 w jeden ładunek, wyleciało
 w powietrze”. Tę scenę
 dobrze znamy. Potem
 jeszcze pogrzeb „Hektora ka-
 mienieckiego” w kolegiacie
 stanisławowskiej i hetman
 Sobieski, powitany przez
 księdza proroczym okrzy-

kiem „Salvator!”. Dzięki
 Sienkiewiczowi Kamieniec
 Podolski wszedł do katalogu
 mitów polskich.
 Co było potem? Ćwierć-
 wiecze rządów tureckich,
 minaret przy katedrze,
 oswojony później posągiem
 Matki Boskiej, powrót do
 Rzeczypospolitej i drugi
 rozbiór, po którym miasto
 wielu nacji zamknięte w pętli
 rzeki Smotrycz znalazło się
 w granicach Rosji. A kilka lat
 później powstał w nim stały
 teatr polski.

Książka Jarosława Ko-
 morowskiego, teatrologa
 i profesora w Instytucie
 Sztuki PAN, autora wydanej
 wcześniej analogicznej pracy
 o Wołyniu, odtwarza szcze-
 gółowo dzieje tego teatru,
 opisując także XVII- i XVIII-
 wieczną prehistorię działań
 teatralnych w Kamieńcu,
 których inicjatorami byli
 jezuici, oraz to, co działo
 się po 1861 r., gdy represje
 na terenie ziem zabranych
 sparaliżowały polską dzia-
 łalność kulturalną. A potem
 przenosimy się do innych
 miejscowości Podola. Do
 Mińkowiec, których ekscen-
 tryczny właściciel, Ignacy
 Marchocki, pragnął być
 wzorcowym „ojcem ludu”
 i organizował dożynki,
 będące wielkim całodziennym
 widowiskiem para-
 teatralnym. Do sławnego
 Tulczyna Potockich, gdzie
 obok istniejącego wciąż
 pałacu wzniesiono nieistnie-
 jący już teatr i gdzie działała

własna trupa teatralna.
 Ale też do wsi Berezówka,
 gdzie w 1860 r. nieokreślone
 „grono amatorów” odegrało
 w karczmie dwie komedie
 Józefa Korzeniowskiego.
 Autor zbiera bowiem wszel-
 kie ślady, od dokumentów
 urzędowych i afiszy teatral-
 nych po najdrobniejsze
 wzmianki pamiętnikarzy,
 a i tak pozostają luki, które
 dopełnić trzeba wyobraźnią.
 Luki i tajemnice. Oto w te-
 atrze kamienieckim odbywa
 się – bagatela! – polska
 prapremiera „Makbeta”.
 Podstawą jest schillerowska
 adaptacja w przekładzie
 Jana Nepomucena Kamiń-
 skiego (on także, również
 z niemieckiego, przełożył
 „Hamleta” wydanego
 w mińkowieckiej drukarni
 Marchockiego). Zachował
 się rękopis przekładu, mamy
 obsadę – ale nie wiemy, kim
 była pierwsza polska Lady
 Makbet, ukrywająca się pod
 inicjałami JK! ©

weź, czytaj w prenumeracie!

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
 Tygodnik Powszechny ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków Bank Pekao SA
 nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie,
 od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę
TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny
**Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83,
 tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl**

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na
powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska
 pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail:
kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	370 zł	450 zł
Półroczna (26 numerów)	220 zł	270 zł
Kwartalna (13 numerów)	120 zł	140 zł
Pokolenia**	333 zł	
Karta Dużej Rodziny***	333 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” NA 2020 ROK W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	430 zł	510 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	393 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	393 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ – ważny do odwołania

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

PAWEŁ

Bravo:

Kopiuuj, wklej, ugotuj



CZTERDZIEŚCI PIĘĆ LAT TEMU LARRY TESLER wprowadził do języka komunikacji z komputerem uruchamiane skrótem klawiszowym funkcję kopiuuj/wytnij/wklej. Jego niedawna śmierć została szeroko potraktowana przez wcale nie bran-

żowe gazety. Dlaczego? Owszem, miał zasługi w projektowaniu interfejsów przyjaznych dla użytkowników (w szczególności dla komputerów z jabłuszkiem). Ale interfejs jest przyjazny, kiedy użytkownik go właściwie nie zauważa, a błyski geniuszu ludzi, którzy przy tym dłubią, na ogół pozostają w cieniu.

Myszę o nim jak najcieplej, jako tłumacz i redaktor, wdzięczny za to, że jego sztuczka z wycinaniem i przeklejanym była mi tysiące razy przydatna przy rozbieraniu i lepieniu na nowo koślawych zdań. Stworzony przezeń edytor Gypsy, pierwszy z tą funkcją, był ulepszoną wersją wcześniejszego programu o nazwie Bravo. Ach, gdzież się znajdzie taki Tesler, który uczyni mnie chociaż odrobinę przyjaźniejszym dla użytkownika?

Żarty na bok. Tesler stał się po śmierci sławny, bo zrobił coś arcyważnego: posłużył duchowi dziejów za narzędzie, by dokończyć rewolucję w tym, jak człowiek operuje treściami i znakami, czyli narzędziami, które bezrefleksyjne przeżycie chwili zamieniają na doświadczenie, opowieść i sens. W latach 30. wyłapał tę rewolucję Walter Benjamin, opisując (i przewidując) zmiany w książce „Dzieło sztuki w epoce możliwości jego technicznej reprodukcji”. Łatwe przerywanie dowolnie długich ciągów zdań w tekście to tylko wisienka na tym epokowym torcie.

Europę od innych wielkich cywilizacji różni m.in. kultura, w której jedną ze sprężyn jest napięcie między tożsamością (szukaniem tego, co niezmiennie) a zmianą. Kiedy najbardziej przenikliwy włoski malarz XV wieku Giovanni Bellini malował swoje „Ofiarowanie w świątyni”, na pierwszy rzut oka takie samo jak to, które jego prawie równie genialny szwagier Andrea Mantegna popełnił kilka lat wcześniej, to nie tylko pociągnął nieco błuźnierczą zabawę z mieszaniami świętej rodziny z własną rodziną. Chciał przypomnieć rzecz oczywistą: że niezmiennosc i powtarzalność tworzą ramy, w których różnice opowiadają nam prawdziwą treść życia.

Zachwianie równowagi w odwiecznym meczu między replikacją a interpretacją na korzyść tej pierwszej ma dalekosieczne skutki dla komunikacji i relacji ludzkich. Żeby o tym pisać, trzeba by mieć łeb godny Benjamina, ale i siedząc na kuchennym zydelku to i owo widzę: cywilizacja kopiu-

/wklej stoi za ogromnym sukcesem knajpianych sieciówek – których pełno nie tylko w segmencie fastfoodowym. Usieciowione mamy wszak całkiem wykwintne (przynajmniej tak się pozycjonują) lokale z sushi, włoskie trattorie, tajskie knajpy... Od strony właścicielskiej ich rozkwit jest banalny, w tym biznesie marże bywają tak niskie, że tylko efekt skali może przynieść większe zyski. Ale mnie ciekawi to zjawisko od strony klientów: fakt, że jesteśmy gotowi płacić za zero niespodzianek w restauracji (bo placówka sieciowa ma nam podać to samo, co jedliśmy rok temu w innym mieście), jest wcale nie taki oczywisty, biorąc pod uwagę naturę ludzką. Na pewno zdarza wam się prosić bliską osobę, by zrelacjonowała wam własnymi słowami historię, którą już słyszeliście od innych – dla przyjemności obcowania z jej głosem. Żeby się przekonać, co dodała, co dodała, co ujęła „po swojemu”. Sieciówka i jej wierni klienci to świat, w którym „po swojemu” zostaje wyeliminowane, bo to błąd i szkaza systemu.

Może inaczej już nie będzie, ale marzy mi się restauracja działająca na opak: gdzie podkreśla się przygodność, ulotność, niepowtarzalność potraw. Nie tylko z powodu zmiany sezonów czy różnych dostawców pozornie tych samych składników. Ale także z racji różnego temperamentu kucharzy, ich stylu pracy, drobnych przyzwyczajęń i odruchów. A nawet jeśli kucharz jest ten sam, to ileż zależy od jego nastroju i samopoczucia. Te wszystkie czynniki zmienności są zawsze obecne, tylko zwykle są raczej chowane pod obrus, by zwabić ludzi ceniących – jak się wydaje coraz mocniej – bezpieczeństwo powtarzalnych doznań. Bezpieczeństwo, owszem, za cenę oddania innym kontroli nad naszym doświadczeniem. ©P

Pisząc ten felieton użyłem funkcji kopiuuj-wklej kilka razy i jestem wdzięczny, że nie musiałem pisać zdań od zera na nowo. Ale siadając do stołu wolę wcisnąć ctrl+N i zacząć nowy dokument. Nawet w domu, kiedy zabieram się za jedno z dań, które robię na pamięć, na autopilocie, niby zawsze tak samo, lubię ze stołownikami odkrywać potem, co wyszło inaczej. Cz-

sami to jest kwestia niuansów w proporcjach albo

w sile przypraw – w tym numerze „Tygodnika” zaczy mój kolega Kuźmiński pisze o papryczkach i skali ich mocy – otóż ja prawie nigdy nie pamiętam, która jest która, i gdy robię spaghetti aglio olio e peperoncino, daję ją na czuja. Zresztą smak czosnku różni się ogromnie wedle miejsca pochodzenia i sezonu (jeśli nie macie dobrze

ususzzonego polskiego, to o tej porze najlepiej sprawdzają się portugalskie lub hiszpańskie z pewnej sieci dyskontów). Przypomnę wam sprytny sposób, jak sobie utrudnić życie przy robieniu tego arcyprostego dania. Można je bowiem zrobić metodą „na risotto”. Podgrzewamy na oliwie, jak zwykle, ząbki czosnku (po 1 na osobę) i papryczkę – im dłużej, tym lepiej, byle nie spalić. Gotujemy makaron, po upływie trzech czwartych podanego na opakowaniu czasu przekładamy makaron na patelnię z czosnkiem, którą w międzyczasie wstawiliśmy na mały ogień, i kończymy gotowanie, jakby to był ryż na risotto – dolewając w miarę potrzeby chochelkę zachowanego wrzątku z garnka. Skrobiona z klusek stworzy rodzaj kremu wiążącego lepiej wszystkie składniki.





STRZAŁ ROZKOSZY

Odczucie pikanterii wywołuje substancja drażniąca, uruchamiając receptory bólowe. Tak jest, ostrość to wrażenie bólowe. Ból, który lubimy.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

DOPROWADZĘ CIĘ DO ŁEZ – PANI PIM NACHYLA SIĘ NAD STOLEM i śmieje się promieniście. Ta doświadczona tajska szefowa kuchni gotowała poprzednio dla ambasadorów swojego kraju, a od przeszło dziesięciu lat namawia krakowian na dania tak ostre, jak w ojczystym oryginale.

– Ciągłe jeszcze się boicie – mówi. – Ale klienci coraz częściej proszą, żeby ich nauczyć jeść *Thai spicy*, czyli tak pikantnie, jak w Tajlandii.

Bo w stosowanej dla wygody przez restauracje pięciostopniowej skali ostrości trójka to „średnio ostre” dla Europej-

czyka i zupełnie łagodne dla Taja. Dla siebie pani Pim przygotowuje „szóstki”.

– Gdy zaczynaliśmy w 2009 roku, zużyliśmy przez pierwszy miesiąc tylko sto gram chili w proszku. Dziś zużywamy ponad kilo tygodniowo – opowiada.

I znika w kuchni, przygotować kurczaka z tajską bazylią, czyli *horapa*, do której, jak poinstruowała, wyjątkowo dobrze pasuje pikantność.

Jeszcze się tylko raz upewnia, czy na pewno ma być szóstka.

Chemia uśmierzenia

ZBYT PIKANTNE? Nie popijaj wodą. Częsteczki wody są spolaryzowane (czyli na jednym ich końcu ładunek elektryczny jest dodatni, a na drugim ujemny), częsteczki kapsaicyny – nie są, a stara chemiczna reguła powiada, że podobne rozpuszcza się w podobnym. Potrzebujemy więc niepolarnego rozpuszczalnika, np. tłuszczu. Pełne kazeiny mleko nada się znakomicie. Pani Pim zdradza inny trick – radzi przegryźć kawałkiem limonki. Faktycznie – kapsaicyna jest alkaloidem, a te są związkami zasadowymi, są więc zobojętniane przez kwasy. Pomaga w kilka sekund.

Suszenie papryki chili niedaleko rzeki Jamuna w mieście Bogra, Bangladesz, marzec 2019 r. Dzienny zarobek to ok. 1 dolara za 10 godzin pracy.

MUSHFQUL ALAM / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Chili jest dziś najpopularniejszą przyprawą świata. Stanowi codzienny składnik kuchni jednej czwartej ludzkości. Uprawia się go przeszło 33 mln ton rocznie, z czego niemal połowę w Chinach – to prawie sześć razy więcej niż w drugim co do kolejności Meksyku, choć to Ameryka Południowa jest ojczyzną tej rośliny. Następne są Turcja, Indonezja i Indie – światowy lider produkcji suszonego chili.

Jak do tego doszło, że papryczki kryjące piekielną pikantność zawojowały świat? Co jest w tej najpóźniej odkrytej dla świata przyprawie, że kultury i narody od Meksyku po Koreę, od Hiszpanii po Chiny, od Węgier po Tajlandię, przyjęły ją za ikonę swoich kuchni i namiętnie parzą nią sobie usta? I co w tym właściwie przyjemnego?

Rarytas bogatych

„*Axí, ques su pimienta*” – tak ją nazywał Krzysztof Kolumb w swoim dzienniku pod datą 15 stycznia 1493 r. Owego *axí* przypominającego mu pieprz, pisał, jest na Hispanioli (dziśszej Kubie) taka obfitość, że można by go sprowadzać. Na-

wet 50 karawel rocznie, bo warte są więcej niż pieprz, jedzą je tu wszyscy i są bardzo zdrowi. Już niespełna trzy miesiące później, 3 kwietnia, *aji* skosztowali Ferdynand II i Izabela Kastylijska – i, jak odnotował kronikarz López de Gomara, poparzyli sobie języki. Katalońską nazwę *aji* lub *axí* Kolumb zaczerpnął z karaibskiego *ahi*. Ale światową karierę roślina zrobi pod aztecką nazwą *chili*.

125 lat później na obrazie Velázqueza suszone chili leży sobie już swojsko obok główek czosnku i misy z czterema rybami w kuchni, na ścianie której wisi obrazek z Marią, Martą i Zbawicielem (a może to lustro lub okno do sąsiedniej izby?). Chili – zaznacza Silvia Malaguzzi w książce „Jedzenie i uctowanie w sztuce” – symbolizuje tu agresywność, złość. Wyparło z tej roli czarny pieprz, który te cechy dotąd w sztuce symbolizował. Owszem, gotująca kobieta na pierwszym planie ma minę taką, jaką musiała mieć sama ewangeliczna Marta, gdy pojęła, że jej kuchenne wysiłki na wieki wieków kwitowane będą jako „wybór gorszej części”. Za to papryczka na tym stole to już nie zamorska ciekawostka, lecz codzienność: u końca XVI wieku chili zna już niemal cała Europa.

Ale Stary Świat przed Kolumbem też gustował w ostrym. Europejskie przepisy z XIV i XV wieku, jak notuje węgierski historyk Ottó Gecser, wymieniają półtora tuzina przypraw, w tym wiele pikantnych: pieprz czarny, długi i kubeba, afra-mon madagaskarski już przez Pliniusza zwany „rajskim ziarnem”, galangal i imbir, a ówczesni kucharze zalecają liczne dania przyprawiać ostro (przy czym niekiedy historykom trudno orzec, czym konkretnie, bo część przepisów ujmuje rzecz ogólnym słowem „przyprawy”).

Pieprz znali już starożytni i, jak pisze Maguelonne Tous-saint-Samat w „Historii naturalnej i moralnej jedzenia”, Rzymianie lubowali się w pieprzu długim, dodając go nawet do deserów. Pieprz o okrągłych ziarnach pojawia się w Europie w XII wieku, by w przeciągu 200 lat wyprzeć poprzednika. Już od czasów rzymskich był produktem luksusowym i wielokrotnie pojawia się w historii w randze kruszcu: król Wizygotów Alaryk, wkraczając do Rzymu, obok złota i srebra otrzymał 3 tys. funtów pieprzu. Skrzynię pieprzu wysyła też Teodozjusz II Attyli. Przez kolejne wieki pieprz jest składnikiem nie tylko elitarnych dań, ale też okupów, grzywien i posagów.

Owszem, w XIII-wiecznej Francji dają się zauważyć początki demokratyzacji pieprzu, bo jego cena spada, gdy tamtejsza wysoka kuchnia odwraca się od niego na rzecz mody na „rajskie ziarna”. Jak pisze Gecser, pieprz pojawia się wtedy nawet w studenckich bursach Prowansji, a XV-wieczne źródło z Leuven nazywa sos pieprzowy „chłopskim”, podawanym z fasolą i grochem. Jednak w Europie północnej i środkowej, w tym w Polsce, skąd dalej było do portów Wenecji, Genui czy Barcelony, pieprz pozostawał rarytasem bogatych.

Oto więc pierwsza przyjemność płynąca z pikanterii: kto gościom serwował pieprzną potrawę, dawał popis możliwości, zarówno w finansowym, jak i symbolicznym sensie: ostry, palący smak kojarzony jest – sugeruje Toussaint-Samat – z męsnością, siłą, władzością godną Alaryka czy Attyli.

Aż nastaje ów kwiecień Roku Pańskiego 1493, i pierwsza karawela z chili na pokładzie zawija do wybrzeży Europy. Wszystko się zmienia.

Ostrość dla ludu

→ Kapsaicyna – to ta substancja nadaje ostrość papryczkom. Jest alkaloidem, związkiem z tej samej grupy, co kofeina, nikotyna, kokaina czy strychnina: substancji wytwarzanych przez rośliny dla samoobrony przed ssakami.

Nie jest trucizną, lecz substancją drażniącą (choć w bardzo dużych dawkach jest w stanie zadrażnić nas na śmierć), a jedynym znanym nauce ssakiem, który zdołał się na nią genetycznie uodpornić, jest mały chiński wiewiórecznik *Tupaia belangeri*. Kapsaicyna nie drażni też ptaków, jako że ich receptory, które u ssaków reagują na jej obecność, działają nieco inaczej. Jest w tym głęboki ewolucyjny sens: ptaki łykają ziarna w całości i potrafią latać, co umożliwia roślinie efektywne rozsiewanie się. Ssaki zaś mają przykry dla roślin zwyczaj miażdżenia pokarmu zębami trzonowymi.

Choć w programach kulinarnych zwykle usłyszymy, że aby pozbyć się nadmiernej ostrości z papryczki, trzeba usunąć pestki, to nie w nich kryje się najwięcej kapsaicyny. Na cały strąk papryczki 80 do 90 proc. tej substancji mieści się w białym miąższu, do którego pestki przystają. Co ciekawe, w miąższu owocu najwięcej jest jej na koniuszku, od którego podgryzanie papryczki zaczynają zwykle gryzonie.

U ssaków kapsaicyna działa na receptory zwane w skrócie TrpV1, które odpowiadają m.in. za odczuwanie temperatury wyższej niż 43 st. C oraz wysokiej kwasowości. Gdy receptor zostaje pobudzony, wysyła do mózgu sygnał: „Uwaga, piecze! Pali!”. Kapsaicyna przekonuje nasz mózg, że jest nam gorąco, a ten uruchamia procedurę gaśniczą: pocimy się, żeby obniżyć temperaturę, a krążenie krwi w skórze przyspiesza. Ten sam efekt wykorzystuje przemysł farmaceutyczny, dodając kapsaicynę do maści i plastrów rozgrzewających.

Za ostrość pieprzu odpowiada natomiast zawarta w wierzchnich warstwach jego ziaren piperyna. To bardzo podobny do kapsaicyny alkaloid, tyle że działa około stu-krotnie słabiej. I jakby przez analogię, przybywszy do Starożytności, chili w wielu rejonach dowiodło swojej przewagi nad pieprzem: bo czy to nie piękne, dysponować swojej przyprawą wielokrotnie odcień intensywniejszą, którą w dodatku można tanio uprawiać na miejscu, zamiast taszczyć z zamorskich krajów i płacić za nią krocie?

Według cytowanego przez Gecsera niemieckiego botanika Leonharta Fuchsa w 1542 r. chili uprawiano w całych Niemczech w doniczkach i „wielu używało go zamiast prawdziwego pieprzu”. Podobnie francuski lekarz i botanik Karol Kluzjusz notuje, że w 1585 r. chili rosło w obfitości w ogrodach morawskiego Brna, a rolnicy nieźle na nim zarabiali, bo „zwykły lud używał go regularnie” (rzecz jasna, w efekcie selekcji wyhodowano również odmiany łagodne, służące jako warzywo). Ówczesni, aby nieco złagodzić ostrość – i rozmnożyć przyprawę – suszyli strąki, tłukli i mieszały z chlebowym ciastem, które po upieczeniu kruszono, otrzymując pikantny i wygodny w użyciu proszek. Bywało, że nieobytym z kolonialnymi wiktuałami konsumentom ze wschodu oszuści sprzedawali suszone chili jako... pieprz.

W panikę wpadli Portugalczycy, którzy – odkąd w 1498 r. Vasco da Gama odkrył morski szlak do Indii – liczyli na ogromne profity z importu pieprzu. Jak pisze Stefan Halikowski-Smith z Uniwersytetu w Swansea w opublikowanej na łamach „Journal of Ethnopharmacology” pracy o rozprzestrze-

nianiu się chili po świecie w XVI i XVII wieku, rynek pieprzu w Lizbonie przeszedł zapaść. W pierwszych pięciu latach XVI wieku jego cena spadła z 40 do 20 dukatów za kwintal. Portugalia nakazała niszczenie upraw chili. Co innego Hiszpania, której import i promocja substytutu pieprzu były widać na rękę: import chili dawał zarobić, szkodził konkurencji i przydawał narodowej dumy. Jak zauważa Gecser, Hiszpanie w Nowym Świecie pokochali chili i miłość tę przywieźli do domu. „Prawdę rzekłszy, *ají* jest lepsze do mięsa i ryby niż najprzedniejszy pieprz” – pisał konkwistador i historyk Gonzalo Fernández Oviedo y Valdés.

Jednak w północnych rejonach Europy pieprz pozostał przyprawą pańską, chili natomiast odegrało inną rolę. Z końcem XVI wieku ostra papryka kosztowała w Frankfurcie nad Odrą cztery srebrne grosze za funt, podczas gdy pieprz – przynajmniej szesnaście. To nie była przyprawa znamionująca status, zauważa Gecser. To była pikanteria dla ludu.

Podobnie jak to było z pieprzowym sosem chłopów z Leuven, którzy – gdy pieprz staniał we Francji – urozmaicali nim grochówkę, tak i chili pojawia się jako ulubiona przyprawa wszędzie tam, gdzie podstawą żywienia są monotonne źródła skrobi. Ameryka Południowa dosmacza nim kukurydzę, Daleki Wschód zaś – gdzie chili dotrze wkrótce za sprawą europejskich żeglarzy – ryż. Chili pobudza wydzielanie śliny, sprawia więc, że jedzenie zdaje się smaczniejsze.

Oto więc druga przyjemność płynąca z pikanterii, tym razem demokratyczna: tanie źródło smakowych pobudzeń czyliło dietę biedaków atrakcyjniejszą.

My, paprykożercy

Na Węgry ostra papryka dotarła wzdłuż Renu i Dunaju, z północnych Włoch, bądź poprzez imperium osmańskie. Bratanek z wdzięcznością niejaki porządek w polszczyźnie, bo nasze słowo „papryka” pochodzi z węgierskiego i tylko z daleka pobrzmiewa „piep rzem”. W innych zaś językach utrwaliła się trudna relacja chili z pieprzem: Kolumb pisał o *pimiento*, w angielskim czy włoskim papryczki też przejęły nazwę od pieprzu (*peppers*, *peperoncino*), podobnie stało się w językach Indii, a językowej konfuzji przydawał fakt, że mało kto wówczas wiedział, skąd papryczki faktycznie pochodzą. Zwano je więc pieprzem tureckim czy gwinejskim, a Fuchs pisał o „pieprzu kalkutańskim” – chociaż, zauważa Halikowski-Smith – słowo *Calecutischer* oznaczało wówczas tyle, co „egzotyczny” (na marginesie: łacińska nazwa rodzajowa *Capsicum* pochodzi od *capsa* – „torebka”).

Niestety, na północ od Karpat, zauważa historyk ze Swansea, chili nie zawędrowało. Nie ma o nim wzmianek w polskich źródłach jeszcze w XVIII wieku. Polskich chłopów uciechy pikanterii na długo ominęły. W pracach Oskara Kolberga próżno szukać jakichkolwiek wzmianek o tym, by nasza wieś próbowała urozmaicać smak mdłych, zbożowych bryjek, które stanowiły podstawę diety.

Tymczasem do północnej Afryki przywędrowało prosto z Hiszpanii, wraz z wygnanymi stamtąd w 1609 r. Moryskami, muzułmańskimi potomkami Maurów. W Indonezji czy Indiach niemal z miejsca staje się podstawą kuchni. Zdomawia się globalnie, zyskuje własne nazwy i znaczenie. Jak



Chińscy turyści biorą udział w zawodach jedzenia papryczek chili.
Hangzhou, Chiny, wrzesień 2019 r.

Skala pikanterii

MIARĘ PIKANTNOŚCI papryki stworzył w 1912 r. amerykański chemik Wilbur Scoville. Wynik na skali Scoville'a (SHU) oznaczał stopień rozcieńczenia ekstraktu z danej papryki, przy którym ostrość jest niewyczuwalna. Stodka papryka ma wartość 0, odmiana Jalapeño – do 8000 (czyli ekstrakt trzeba było rozcieńczyć 8 tys. razy, żeby przestał palić), czysta kapsaicyna – 15 do 16 mln SHU.

Dziś oznacza się wynik na skali mierząc zawartość kapsaicyny za pomocą chromatografu.

Wartość dla czystej kapsaicyny gwoli tradycji przyjęto jako 16 mln.

Potrawę uznaje się za ostrą, gdy osiąga 500–1000 SHU. Peperoncino osiąga 1000, Piment d'Espelette – 4000, węgierskie papryki – 2,5 do 8 tys., tajskie chili – 50 do 100 tys., habanero – 100 do 350 tys. SHU.

Najostrzejszą odmianę papryki, Pepper X, wyhodowano w 2018 r. Liczy 3,180 mln SHU.

Źródła: pepperseeds.eu, Wikipedia

daleko od *ahí* czy *chili* są słowa takie, jak północnoafrykańskie *harissa*, mozambickie *piri-piri*, indonezyjskie *sambal*, czy koreańskie *gochu*...

I tu wydarza się jeszcze coś ciekawego: Hindusi dowodzą, że w Wedach znajduje się prาดawne sanskryckie słowo świadczące, iż w Indiach chili rośnie od zawsze. Podobnie w Korei, gdzie chili zawędrowało w XVIII wieku przez Filipiny i Japonię, badacze doszukali się słowa *gochu* w pismach o setki lat poprzedzających wyprawę Kolumba. W takim dowodzeniu „odwiecznej indyjskości” czy „odwiecznej koreańskości” chili Halikowski-Smith widzi przejaw nacjonalizmu (i zauważa, że w przypadku Korei doszło po prostu do przeniesienia nazwy z jednej rośliny na inną). Skoro ostra papryczka jest podstawą narodowej kuchni, to i jej proveniencja musi być narodowa.

Dla Meksykanów chili wyznaczało granicę między ich światem a Stanami, bo ich ostrość uznawano za niezdolną dla *gringo*. Także Kalabryczyków we Włoszech i Basków z Espelette we Francji pikantna kuchnia odróżniała od sąsiadów – wylicza francuska antropolożka Esther Katz w wydanej przez Uniwersytet w Guadalajarze pracy o kulturowej roli chili.

Skonfliktowana z cesarzem XVIII-wieczna szlachta węgierska, pisze badaczka, w poszukiwaniu wyznacznika narodowej tożsamości sięgnęła, jak na romantyków przystało, do chłopskiej kuchni, i wynalazła tradycję jedzenia paprykowego gulaszu, żeby odróżnić się od Austriaków.

Niezwykle, jakie znaczenie zyskuje niepozorna papryczka. Z palącej przyprawy staje się znakiem tożsamości. Kulturową ikoną. Tym, co pozwala się ludziom identyfikować w kategoriach „my” i „oni”. Sprawą polityczną.

Trzecie źródło przyjemności z ostrego jedzenia tkwi więc w poczuciu przynależności: „my” to ci, co jedzą pikantne. Parząc się kapsaicyną, jestem wśród swoich.

Czemu jednak istoty ludzkie urozmaicają sobie skrobiową nudę i dostarczają poczucia tożsamości z takim poświęceniem? Nie wystarczyłoby posolić danie, a chili umieścić na fladze? Bo jeśli nie jest to jeszcze jasne, powiedzmy wyraźnie: ostrość, pikanteria to nie s m a k – nie jest odbierana receptorami smakowymi na języku, jak słodycz, słoność, gorycz, kwasowość czy umami. Odczucie pikanterii wywołuje substancja drażniąca, uruchamiając receptory bólowe.

Ostrość to wrażenie bólowe. Ból, który lubimy.

Szczęście w nieszczęściu

– Wielbiciele ostrego smaku czują ból, ale ich mózgi interpretują ten sygnał inaczej – mówi „Tygodnikowi” prof. Paul Rozin, psycholog z Uniwersytetu Pensylwanii, badacz mechanizmów preferencji i awersji żywieniowych.

Istnieje wyjaśnienie, jakoby ludzie lubili pikantne dlatego, że w reakcji na spowodowany kapsaicyną ból organizm wydziela endorfiny, czyli „hormony szczęścia” – taki nasz wewnętrzny narkotyk o euforycznym działaniu. Tymczasem prowadząc badania w Meksyku prof. Rozin zauważył prosty fakt: wioskowe psy i świnię, które na co dzień żerują w śmieciach, trafiając też tam na resztki pikantnego pożywienia, zjadają je tylko, jeśli muszą. Mając zaś wybór, zawsze wybierają nieostre. Tymczasem każdy z 1,5 tys. mieszkańców wioski powyżej 5. roku życia wprost szalał za pikantnym. Gdyby chodziło tylko o endorfiny, działałoby to też u zwierząt. W grę wchodzi więc inny mechanizm.

– Stwierdziłem, że to fenomen unikalny dla człowieka – tłumaczy „Tygodnikowi” psycholog. – My, ludzie, mamy umiejętność zamieniania nieprzyjemnego bodźca w przyjemny.

Paul Rozin nazwał ów fenomen *benign masochism*, łagodnym masochizmem. – Wywołują go też inne czynniki. Np. oglądanie smutnych filmów albo jazda na rollercoasterze.

→ Żaden pies nie chciałby jeździć na rollercoasterze – komentuje profesor.

Zdaniem Rozina zjawisko to ma miejsce, gdy nasz mózg otrzymuje od ciała sygnał o grożącym nam niebezpieczeństwie, ale my wiemy, że żadnego zagrożenia nie ma. Dochodzi wtedy do hedonistycznego odwrócenia: niemiły bodziec staje się przyjemny.

– Jednym z najlepszych dowodów na to jest odnotowany w naszych badaniach fakt, że ulubiony poziom ostrości u wielbicieli pikanterii to ten tuż poniżej ich granicy wytrzymałości na ból. Testują oni swoje granice wytrzymałości – tłumaczy profesor.

„Ludzie zdają się lubić swoje fizjologiczne reakcje na negatywne doświadczenia. Są one prawdopodobnie częścią odpowiedzi obronnej ciała, mającej zredukować negatywne doświadczenie – napisali Rozin z zespołem w publikacji z 2013 r. zatytułowanej uroczo „Glad to be sad” (w wolnym tłumaczeniu „Jak mi dobrze, gdy mi źle”). Lubimy, wyliczają badacze, czuć jak serce ze strachu wali nam niczym młot czy chlipać na filmach. Albo gdy od chili łzawią nam oczy i oblewa nas pot. Tu tkwiłaby istota przyjemności z ostrego jedzenia: człowiek to istota, która potrafi znaleźć szczęście w nieszczęściu.

W dodatku łączy się to z wcześniej wytropionymi źródłami przyjemności – nie tylko dlatego, że z chili nawet nudny ryż, kluski czy kukurydziany kleik stają się atrakcyjne. Także ze względu na ów międzyludzki aspekt. Prof. Rozin zauważa, że krytycznym warunkiem, aby do tego hedonistycznego odwrócenia doszło, jest otoczenie społeczne.

Pani Pim, szefowa kuchni krakowskiej restauracji Samui, nie wie, jak wytłumaczyć, dlaczego Tajowie lubią pikantne: – Tak po prostu jest. Od dziecka jesz ostre, wszyscy w rodzinie jedzą ostre, więc ty też.

Opowiada, że ostrego probują już dwulatki, najpierw po trochu. Je się przy wspólnym stole, więc dzieci mogą sięgać po to, co starsi. Jej syn już jako czteroletek lubił tak pikantne jak dorośli.

– Takie społeczne uczenie też nie zachodzi u zwierząt – zauważa prof. Rozin. – Dziecko patrzy, jak ostre smakuje jego starszemu rodzeństwu, i samo zaczyna to lubić.

Nieco pikanterii

– Moja mama ma 97 lat i nigdy nie była w szpitalu. Jest zdrowa dzięki chili – przekonuje pani Pim. Coś może być na rzeczy. Papryczka jest bombą witaminy C, w 100 gramach zawiera 173 proc. jej dziennej dawki. Wiadomo, że kapsaicyna pobudza ślinienie i wydzielanie kwasów żołądkowych, pomaga więc w trawieniu. Dawkowana na skórę, pobudza krążenie, zmniejszając ból mięśni.

Co zaś do popularnego przekonania, że chili działa bakteriobójczo i grzybobójczo, nauka jest ostrożna: jeśli nawet w badaniach widać taki potencjał, to nie zawsze wiadomo, czy za sprawą kapsaicyny, czy innych składników papryczki.

Albo okazuje się, że bakteriobójcze działanie kapsaicyna wprawdzie niekiedy wykazuje, ale przy dawkach dalece przekraczających próg bólu u jej najdzielniejszych entuzjastów. Ale badania trwają i wiele

z nich niesie obiecujące wyniki. Jak piszą np. eksperci z wydziału nauk o żywności i żywieniu Uniwersytetu w St. Paul, takie odkrycie byłoby bezcenne w czasach, gdy przybiera patogenów żywności opornych na antybiotyki.

Ach, i jeszcze jedno w temacie przyjemności: w wielu kulturach chili jest uznawane za afrodyzjak. Czy to za sprawą endorfinowego strzału, który wyzwala się w reakcji na pieczenie (oraz przy orgazmie), czy po prostu koralowego koloru, czy skojarzenia cielesnych efektów jego spożycia z miłosnym uniesieniem (nabrzmiwają wargi, robi się gorąco, krew szybciej krąży...), czy skojarzeń raczej symbolicznych („gorące” chili jawi się jako źródło sił witalnych, zauważa Esther Katz) bądź wreszcie skojarzeń niedwuznacznych (nie da się ukryć, że ma mniej lub bardziej falliczny kształt).

Tylko, na Boga, ostrożnie: kapsaicyna jest oleista, trudno ją zmyć z palców, a – jak przytomnie zauważa popularyzator nauki Harold McGee – jej drażniące działanie jest przyjemne w ustach, lecz niekoniecznie gdzie indziej.

Gdy nasz mózg otrzymuje od ciała sygnał o niebezpieczeństwie, ale my wiemy, że żadnego zagrożenia nie ma, niemiły bodziec staje się przyjemny. Człowiek to istota, która potrafi znaleźć szczęście w nieszczęściu.

Działa!

Horapa pani Pim pachnie białym pieprzem i rześką, anyżową nutą. Kawałki kurczaka, papryki, cebuli i tajskiej bazylii lśnią od grudek chili i mieszanki sosu ostrygowego, sojowego i cukru (nie je się tak po prostu ostrego, powie wcześniej szefowa kuchni, Tajowie zawsze łączą pikantność ze smakiem kwaśnym, odrobiną słodkiego i słonego).

W pierwszym kęsie po ustach rozlewa się ogień. Chili działa na wargach i języku, pieprz – w gardle. Odruchowo je się coraz szybciej i trzeba się ze wszystkich sił powstrzymać, żeby nie sięgać po wodę (patrz ramka na początku tekstu). Po pięciu minutach w nosie rozmięka, oczy łzawią, a endorfiny musują już w tętnicach. W dwunastej minucie wilgotnieje czoło, po kręgosłupie przebiegają dreszcze, w ustach pełga żar. Gdy talerz jest pusty, po skórze za uchem sunie kropla potu.

Jest rozkosznie.

© MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Wydanie specjalne – już w sprzedaży!

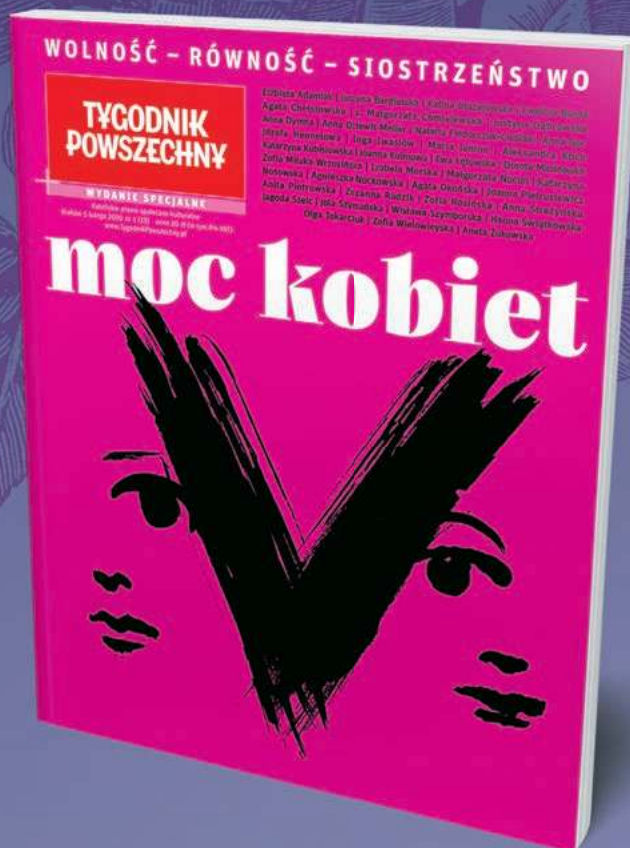
„Moc kobiet” – w sklepach z dobrą prasą i na powszech.net/mockobiet

O miesiączce, porodzie i nie zawsze łatwym przeżywaniu macierzyństwa. O stereotypach w życiu zawodowym. O wykluczeniu ze względu na płeć i niezłomnej walce o spełnienie, swoje prawa i własne miejsce – także w Kościele. Jak również o doświadczeniu wspólnoty i siostrzeństwa.

Zapraszamy także do wysłuchania podcastu zainspirowanego wydaniem specjalnym „Moc kobiet”.

Bez tabu, bez lukru, za to z dużą dawką zaangażowania o kobiecym losie rozmawiają: Justyna Bargielska, Justyna Dąbrowska i Zuzanna Radzik

Podkast Powszechny do wysłuchania na powszech.net/podkast



powszech.net/podkast



Współwydawcą Podkastu Powszechnego jest Fundacja Tygodnika Powszechnego. Podkast jest zapisem debaty, która odbyła się w ramach cyklu „TrzePak w Nowym” w warszawskim Nowym Teatrze.

WYDAWCA



WSPÓŁWYDAWCA



PARTNERZY



OPRACOWANIE DŹWIĘKOWE



STANISŁAW

Mancewicz: Noc kabaretowa



JEDNAK, RZEC TRZEBA, WCIAŻ ZDARZAJĄ SIĘ w naszym życiu cudowne chwile erupcji żywego, klasycznego komizmu. Wszyscy się teraz okropnie śmieją, że oto Mariusz Kamiński, Człowiek Roku „Gazety Polskiej” za rok 2007, zamknął w areszcie Tomasa Kaczmarska, Człowieka Roku „Gazety Polskiej” za rok 2009. Stało się to zapewne nie bez wiedzy innego, wielokrotnego laureata tej wspaniałej nagrody, zwanego też Gospodarem. Przypadek? Nie sądzę – powiedziałby klasyk. Fajne jest to, że partia rządząca zamyka wyłącznie albo swoich byłych, albo obecnych wielbicieli. Słowem, dopóki człowiek nie zapisze się do partii rządzącej, może w zasadzie spać spokojnie. Chcesz siedzieć, zostań członkiem naszej partii – bardzo świetne, wreszcie świeże hasło.

W tradycyjnie nieciekawie zapowiadającej się kampanii wyborczej, której oczywistym elementem miały być rytualne wizyty w wędliniarniach bądź piekarniach, gdzie główny kandydat robi niby zakupy, powinna pojawić się autobusowa tura po aresztach polskich, gdzie ów kandydat odwiedza byłych kolegów partyjnych, wsadzonych przez innych jego kolegów partyjnych. Owa groźba/propozycja, krążąca od lat po prawicowych forach, a sumująca się w bon motcie „Cela plus”, nabiera nieoczekiwane ciała. Mądrość ludowa głoszająca, że ludzie dzielą się na tych, co siedzą bądź będą siedzieć, zdaje się bardzo praktyczna. Musimy w tym miejscu powtórzyć – jest to wszystko tak okropnie śmieszne, że doprawdy, bylibyśmy bardzo chętni, by sobie pojeździć Dudabusem,

tropem pisowskich kibitek. Takiej oferty nie ma żadne biuro turystyczne na naszej gasnącej planecie. W trakcie tych jazd, pośród pól malowanych zbożem rozmaitem, można by posłuchać wykładów urzędującego prezydenta na tematy ekonomiczne. A ściślej rzecz ujmując, na temat inflacji i drożyzny. Ton tych wywodów każe uznać, że najpewniej uważa on wybory za absolutną formalność, że ich wynik jest dla niego oczywisty, że nic nie może sprawić, by czuł się po nich rozczarowany. Stąd – to jasne – puszcza beztrósko wodze dowolnego mniemania, bo uważa, że już wygrał.

Z innych spraw. Trzeba odnotować efekt spotkania marszałkini Sejmu z obecnym prezesem Naczelnej Izby Kontroli. Druga osoba w państwie poradziła mu, by sobie ów poszedł złożyć skargę w sądzie na kipsz urządzony w jego nieruchomościach przez Centralne Biuro Antykorupcyjne, któremu zresztą powinno się z nazwy odjąć słowo „anty”. Wygląda więc, że pani marszałek pomyliła pana Banasia z szarym obywatelem RP, pełnym jak wiadomo naiwnych marzeń i widzeń, zawsze niespójnych z rzeczywistością. Pan Banaś, cokolwiek by o nim powiedzieć, jest już zdaje się człowiekiem bez żadnych złudzeń. Choć nie, jednak nie, już sam fakt, że poprosił o to spotkanie, każe mniemać, że ma on jednak nadzieję i miękkie serce, wielkości i dobroci szynki. W tym sensie jego sławna „pancerność” jest przereklamowana.

Gdzie by nie spojrzeć, nie jest smutno, choć powinno. Owe gminy, które w swym przedziwnym heroizmie uchwałyły dokumenty konstytuujące strefy wolne od LGBT, zbierają tego żniwo zupełnie dla nich nieoczekiwane. Są to pisma od gmin Zachodu, zrywające z tego powodu przyjaźń czy współpracę. Zdumienie i poczucie krzywdy temu towarzyszące są szokujące. Świadczą o tym, że niemała część obywateli nie rozumie żadnej zależności pomiędzy przyczyną a skutkiem. Coś to przypomina: niekojarzenie zdarzenia, jakim jest odebranie prawa jazdy z wcześniejszym piciem wódki. To wszystko w mikroskali ilustruje, czym w tutejszym mniemaniu jest polityka, każda, w tym oczywiście i zagraniczna, to wyłącznie płacz nad rozlanym mlekiem. Śmieszne? Śmieszne.

©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



WCESNE KONCEPCJE INTERNETU

**W marcu 2020 roku świętujemy
75-lecie „Tygodnika Powszechnego”**

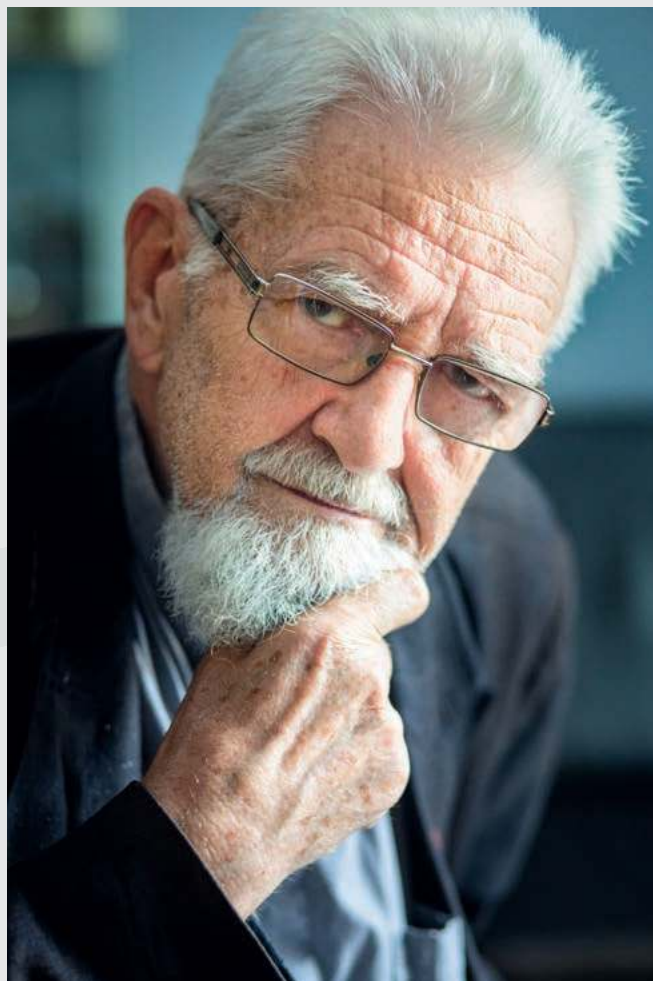
Przyjaciele!

Bez Was i Waszego wsparcia nie
moglibyśmy robić takiego pisma,
jakie byśmy chcieli Wam dać
i jakiego oczekujecie.

Szczególnie w tym roku, naszego
75-lecia, prosimy o przekazanie nam
1% w rozliczeniu rocznym, a także
o darowizny – aby „Tygodnik” mógł
trwać kolejne 75 lat, tak jak do tej
pory, niezależnie od okoliczności.



ks. Adam Boniecki



FOT. GRAŻYNA MAKARA

**Przełącz 1% podatku na działalność Fundacji Tygodnika Powszechnego,
która dba o dziedzictwo i rozwój „Tygodnika Powszechnego”.**

Wpisz w zeznaniu podatkowym

nr KRS 0000125605

a w rubryce Cel szczegółowy 1%: TP75

Więcej informacji: powszech.net/jedenprocent

Zachęcamy także do bezpośrednich wpłat na rzecz Fundacji:

Santander Bank Polska S.A.

31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

Więcej informacji (przelewy w dolarach i euro, IBAN): powszech.net/dar



NOWE & PIFANIE